

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM VIII.

POEZYE JULIUSZA SŁOWACKIEGO

OGŁOSZONE ZA ŻYCIA POETY.

WYDANIE DRUGIE ILLUSTROWANE JUBILEUSZOWE

PRZEJRZAŁ

KS. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM IV.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI, SP. Z OGR. POR.

1911.

UTWORY MISTYCZNE.

LILLA WENEDA.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

DO AUTORA IRYDIONA.

LIST DRUGI.

Kochany Endymionie poezyi, drzemiący w cieniu gajów laurowych, z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów niepokojnych. Wstań! wstań, mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łąką, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można; a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski, w złotej zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą; oto jest wzgórze okryte zieloną murawą, na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych kamieni i trzy-

nasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu białowłosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane... to straszne wzgórze zwierciadło — to krew narodu. Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych na zemstę rycerzy. Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluksa złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz mający dwie dusze i dwa ciała; nie-szczęście narodu; przeznaczenie dowodzące potępionemu przez Boga ludowi... Wódz z dwojakiem i nie śmiesz-nem już więcej nazwiskiem; oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości. Czy go widzisz?

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swemi nogami. Eumenida eschyłowska krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo. Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszce olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki już pustej źrenice, powoje owinęły ją dokoła. Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz rafaelowski Boga Rodzicy. Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze modlitwa? Lecz — o! biada, o! losy... słowo świętego starca, miecz rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. Cóż, mój Galilejczyku?

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości; kontusz mu włożył i buty czerwone, gdy wróci

z piorunowej walki siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje... bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewczka skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa w osobie Ślaza. Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada; a czasem szczebioce Alfierego językiem. Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja ujrawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytých, usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieśczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem terażniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcyę, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okraszyć, tyle razy maryl zjawione krzyczały z krajów przeszłości: „serca nasze były zdrowe i ciała, w mowie naszej nie było niespodziewanych *concelli*. Choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżycy, choć synowie królewscy, pędziliśmy woły na paszę. Ossyan usłyszał naszego zgonu historyę, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru wzdychającego po mogiłach, ani więc ruszył harfy na omszonym dębie wiszącej, ale odpędził nas w mgłę niepamięci rozpaczne. Lecz ty, mówiły dalej maryl, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu, ty, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra królewna płótno bieliła matczyne, mów o nas prosto i z krzykiem.“

Tak namówiony, wziąłem pół posagową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg

mi pozwoli, to na tej nieco marmurowej podstawie, oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedye; tylko ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie śród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafałowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem; jedną taką postać jak nimfa uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi; a że jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował. Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna: ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni śpiewany przez poetę. Na Odyna! niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającymi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonać.

A teraz, słyszę, że mnie pytasz, skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiała... posłuchaj. Przed pięciu laty mieszkalem nad jeziorem Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czaro-

wało mię swoją wiejską i spokojną pięknnością; na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? kilka małych domków, białe odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią owieszone mnóstwem chłopiat, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych mnóstwem owoców spłonione. Takim jest dzisiaj to miasteczko; lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samym miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski ucinający głowę starca i słowo: S. P. Q. R. błyszczące na rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całej owej historyi został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULIA ALPINULA

TU LEŻĘ.

NIESZCZĘŚLIWEGO OJCA NIESZCZĘŚLIWA CÓRKA,

BOGÓW AVENTYŃSKICH KAPŁANKA.

WYPROSIĆ OJCA OD ŚMIERCI NIE MOGLAM.

NIESZCZĘŚLIWIE UMRZEĆ W LOSACH JEGO BYŁO.

ŻYŁAM LAT XXIII.

Mój Irydionie, ta młoda dziewczica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąca się tak cicho a tak przeraźliwie z przeszłości, ona to zamieniła się w Lillę Wenedę; chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie stracić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, na odłamie skały stawała przede mną, teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia

się historyę; cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilii wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedyi wniknęło, zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wypowiadał, usiądź na ułamku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy; usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamysłona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą i piękniejszą sto razy, i niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydionie, że tworząc ów mit jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie.

P a r y ż, dnia 2. kwietnia 1840 r.

OSOBY.

Lech.

Gwinona, żona Lecha.

Lechon,

Krak,

Arfon,

} synowie Lecha.

Derwid, król Wenedów.

Lilla Weneda,

Róża Weneda,

} córki Derwida.

Polelum,

Lelum,

} synowie Derwida.

Sygoń,

Gryf,

} Lechici.

Święty Gwalbert.

Śláz, jego sługa.

Dwunastu harłarzy,

Dwunastu wodzów,

} Wenedzi.

Orszak dziewic Gwinony. — Rycerze Lechici.

Z czasów bajecznych. — Blizko Gopła.

PROLOG.

Obszerna grota wróżki wykopana w ziemi; w ścianach okragłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca.

*Róża Weneda i Lilla Weneda.**Lilla Weneda.*

O! siostro moja, jak ty zadumana!

Idź, spojrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.

Róża Weneda.

Na nic nie przyda się tu czar szatana.

Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!

Ojczyzna nasza kona i na wieki ...
Widzę umarła ...
I ty umarła ... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj ... na tamten świat ... o! nieszczęśliwa!

Lilla Weneda.

Mówisz i wichur się zrywa
I płacze nade mną biedną.
Więc ja mam umrzeć? o! Boże!

Róża Weneda.

Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łożo
I Gopło zaczerwieniła.
Będiesz ty jak płaczka wyła
Nad sobą, gdy rycerze konają?

Słychać dźwięk harf.

O! cyt, harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę ...
Wszystko stracone!

Lilla Weneda.

Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.

Róża Weneda.

Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posepny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?

Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie dane przez mnie szkieletom!
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz, o krasna.

Lilla Weneda.

Ty, mówisz, lecz twoja twarz
Jak księżyc smutna choć jasna,
Jak księżyc, umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia, obrońce,
Czy wiesz, co z niemi się stało?

Róża Weneda.

Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpale.

Wchodzi dwunastu starców ze złotemi harfami.

Proszę was, przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem.
I powiedzcie, co stało się z Wenedów ludem.

Lilla Weneda.

Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?

Harfiarz.

Starce, z takim pędem
Szlśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera

Lilla Weneda

O! wy nie chcecie mówić.

Harfiarz.

Niestety! Niestety!

Lilla Weneda.

O! bracia moi! O! mój drogi ojciec, gdzie ty?
Ci ludzie milczą... mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.

Harfiarz.

Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

Lilla Weneda.

Starcze! ty na mnie, starcze, tak spoglądasz
Jak na siostrę.

Harfiarz.

Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada!
Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada
Otoczyła go z harfą jego złotą,
Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,
Rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięli.

Lilla Weneda.

Więc nie umarli?... o! mówcie mi jeszcze!...
Więc nie umarli?...

Róża Weneda.

Nie, ale przekłęci!

Lilla Weneda.

O! nie mów tego! o! nie mów, przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O! błogosław ty mi, siostro moja,
Ty smutna, byłaś mi wesołej matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych co są w kajdanach.
O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;

Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb
 Co, biały jak ja, swą mnie siostrą mniema;
 I ten jest za mną co nad gołębiami
 W nieba błękicie jeszcze wyżej lata;
 A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
 Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
 I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
 Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą...
 A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny.

Wychodzi.

Róża Weneda.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...
 Cóż wy myślicie, harfiarze?

Harfiarze.

Wszystko stracone!

Róża Weneda.

Na jad węża, co w tej czarze
 Karmi płomienie czerwone,
 Zaklinam się wam, o! starzy,
 Że kości z pobojowiska
 Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.

Harfiarze.

Wstaną i zginą raz drugi. .

Róża Weneda.

I trzeci raz jeszcze zginą,
 I przejdą po nich zapomnienia pługi,
 I stokrocie się rozwiną
 Na krwawym umarłych stepie;
 I cóż!... czy płakać?

Harfiarze.

Słuchaj, tam wrony zaczynają krakać
 I wiley gryzą śpiące na oszczepie
 Ciała rycerzy.

Róża Weneda.

Za trzy dni sto piorunów uderzy,
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomieszają z umarłemi,
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

Harfiarze.

O! cud!... Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.

Róża Weneda.

Te harfy uczuły krew
I drżą...

Harfiarze.

O! chodźmy tą pieśnią jak skrą
Ożywić ludy po siołach.

Róża Weneda.

Dębowe wieńce na czołach
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe
Co budzą narodów lwy;
To są harfiarze! to wy!

Harfiarze.

Włóś nam ogień do łez...

Róża Weneda.

Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;

Za trzy dni wszystkiemu kres,
Walka i zgon!

Harfiarze.

Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.

Róża Weneda.

Uciszcie wy rękami rozplakane lutnie,
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu;
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

Harfiarze.

Więc za trzy dni noc płomieni?...

Róża Weneda.

I noc okropności mściwa
I wiek haraczu...
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,
Drugą głowę trupa wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią:
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mnie zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,
A łóżem ślubnem będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny;
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga...

Harfiarze.

Idźmy! wrózkę szal porywa.

Wychodzą.

Róża Weneda.

O wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce... Lecz noc już... już ciemno!
Chodźmy umarłych palić... Duchy, ze mną!

Wychodzi.

A K T I.

SCENA I.

Pole nad Gopłem.

Lech, Gwinona, Sygoń, Gryf, wchodzą zbrojni.

Lech.

Zapalić ognie na pobojuwisku
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

Wchodzą *Derwid* z harfą złotą w rękę, *Lelum i Polelum*
w łańcuchach.

Sygoń.

Z ręki mu złotej harfy nie wydarto,
Jest to Wenedów król z dwoma synami.

Lech, do Derwida.

Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy,
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj,
Okup się starcze, łyzy brylantowemi,
Bo ci czekaniem łeb roztrzaskam siwy.

Do *Lelum i Polelum*.

Cóż to szczękacie jak psy łańcuchami?
Cóż to, niedźwiedzie, uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? Ten mi człowiek plunął w oczy.
Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie.
Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły.
Ja komar, i krew z niego wycodziłem

I wycisnąłem w rękę jak cytrynę.
 Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
 Poślę mu tego starca w podarunku,
 I tych dwu młodych poślę królewiców,
 Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

Gwinona.

Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią.

Lech.

Psy, łatwiej zmusić ich, aby jęczyli.

Gwinona.

Ta harfa musi być zaczarowana.

Lech.

Na Boga! prawdę mówisz, moja lwico,
 Ta harfa **musi** być zaczarowana.
 Stary! czy w harfie twojej siedzi dyabeł,
 Że tak o nią dbasz? Na Boga! to mruki!
 My tu przed niemi jak na nitce wróble,
 A oni patrzą z góry jak na frygi.
 Gryfie, odprowadź ich do rzymskiej wieży,
 Jak się wygłodzą, to głos odzyskają.

Dericid, Lelum, Polelum, wychodzą pod strażą.

To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono,
 I głuchoniemy król. Na koń! hej, na koń!
 Ufundujemy na trupach królestwo.

Wychodzą wszyscy.

SCENA II.

Cela pustelnika podobna kształtem do wnętrza czaszki olbrzymiej.
 W głębi obraz Najśw. Panny na dnie złotem.

Święty Gwalbert i Ślaz.

Święty Gwalbert.

Splamileś moje oczy, mości Ślazię,
 Wlażłem za twoją poradą na sosnę,
 Splamileś moje oczy krwi widokiem.

To sprawa dyabła, przybyłem nawracać
 A jacyś ludzie przybyli wycinać;
 Wycięli prędzej, niż ja nawróciłem;
 Za to się trzeba aż do krwi biczować
 Mnie, jako panu, tobie, jako słudze,
 A obu jako sługom Pana Boga.

Ślaz.

Et fit voluntas tua.

Święty Gwalbert.

Tak, tak, Ślazier,

Et fit voluntas Tego, co na niebie.
 A jednak szkoda, że ten lud wycięto,
 Bo lud był dobry, choć niechrześcijański.

Ślaz.

Domine, wszyscy więc poszli do piekła?

Święty Gwalbert.

Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła,
 Z tej krwi, wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
 Śmierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.
 Narody będą wkrótce okupione;
 Widziałeś, Ślazier, komety czerwone
 Z długimi chwosty, co tu wróżą zmianę,
 Komety, co jak wiedźmy rozczochrane,
 Gonily za mną aż do Jeruzalem,
 Grożąc mi chłostą, krzyżem, albo palem.
 Cóż mi zrobiły? Kiedy będzie trzeba,
 Te straszne gwiazdy palcem zetrę z nieba.
 Bóg swemu słudze, za wiek długi trędów,
 Przerazających da godzinę cudów.
 Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
 Nowy Faraon, wejdę z nim w zapasy,
 Złamię i różdżkę ognistą otrupię;
 A potem jedną łą gorącą kupię
 Żywot dla niego wieczny i zbawienie.

Ślaz.

Domine, z czego, proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie.

Święty Gwalbert.

Są ze mnie,
Z mojej wewnętrznej wiedzy i z anioła,
Co w ciele mojem pali się tajemnie.

Ślaz.

Myślałem, że te płomieniste koła
Są z włosów?

Święty Gwalbert.

Ergo nie byłyby z duszy?

Ślaz.

Domine, a kot kieły się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.

Święty Gwalbert.

Są ludzie głupi jak ty, co się trużą
Perównywaniem dwóch natur w stworzeniu.

Ślaz.

Domine, wiara jest w mojem wątpieniu.

Święty Gwalbert.

Wątpienie z dyabła jest.

Ślaz.

Więc mię on szuka?

Święty Gwalbert.

Obacz no, Ślazi, ktoś do chaty stuka.

Ślaz otwiera, wchodzi Lilla Weneda.

Lilla Weneda.

W imię Maryi.

Święty Gwalbert.

Patrzcie, to królewna,
To neofitka moja. Cóż tak rzewna?
Cóż tak splakana? Córko, czemuś drżąca?

Lilla Weneda.

Przyszedłam do ciebie, mój ojczy, płacząca,
Mój ojciec, bracia moi są w niewoli;
Chcę ich ratować, lecz mi serce boli
A nie podaje żadnej mądrej rady.
Świat cały teraz dla mnie smutny, blady,
Za łez strumieniem nie widać mi słońca.
Ty mój poradnik jedyny, obrońca.
Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli,
Braci w kajdanach.

Święty Gwalbert.

Cóż ja ci poradzę?

Lilla Weneda.

Już w ostatecznej się widzę niedoli.
Powiedz, o! powiedz, czy ten Lech ma władzę
Ojca mego zabić?

Święty Gwalbert.

To człek srogi.

Lilla Weneda.

Powiedzże, czem są twoje wielkie Bogi,
Jeśli nie mogą mi dopomódz biednej?

Święty Gwalbert.

Bluźnisz, dziewczeczko, Bóg w osobie jednej.

Lilla Weneda.

O! ja wiem! ja wiem! ty mnie uczył długo,
Nie zapomniałam wcale twojej nauki;
Lecz teraz naucz, jak ocalić ojca.

Święty Gwalbert.

Gotowaś jest ślub czystości uczynić?

Lilla Weneda.

Mój ojczy, jeśli tem ojca wybawię,
 Ja będę czystą jak marcowe śniegi,
 Jak po moczarach białe konwalije,
 Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
 I brudnej ziemi nie widzą i giną.
 Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
 Pobłogosławi i obleje łzami.

Święty Gwalbert.

Zrób więc intencję przed obrazem Matki
 Boga na krzyżu... ukrzyżowanego.
 Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca.

Lilla Weneda.

Jakże mam mówić?... O! niebios Królowo!
 Oddaj mi ojca, ja Ci dam siebie
 Jako białego gołębia bez plamki,
 I nic nie będę więcej pożądała,
 I nic mię nigdy na świecie nie splami.

Święty Gwalbert.

Teraz, dziewczeczko, ona będzie z nami.
 Śluz, daj mi kostur. Gdzież obozem leży
 Ten Lech?

Lilla Weneda.

On, ojczy, mieszka w rzymskiej wieży.

Święty Gwalbert.

Na stare nogi droga niedaleka.

*Święty Gwalbert i Lilla Weneda wychodzą.**Śluz, sam.*

Dyabeł mi każe służyć u człowieka,
 Co mnie suchemi korzonkami głodzi.
 Wychudłem jak szczep... człowiek się raz rodzi,
 Pamiętaj o tem dobrze, mości Śluzie,
 Żeś się urodził... I raz się umiera,
 Pamiętaj dobrze na to, mości Śluzie,

Że raz umiera i że się raz rodzi.
 Ergo, ponieważ się już urodziłeś,
 Więc-że korzystaj z tego, mości Ślazier.
 Ergo więc, nogi zapas i w świat jasny!...
 A zrób intencję z czystości... A na co?
 Czy masz w niewoli ojca, panie Ślazier?
 A jak się w tobie zakocha królewna
 A ty w czystości jak w błocie po uszy!
 Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
 I z tego zrobić votum Panu Bogu,
 Aby mi trochę sprzyjał na początek.
 Naprzykład, zrobmy votum z przywiązania
 Do mego pana... ot i lżej na sercu...
 A teraz niech tę celę biorą dyabli,
 Już niepotrzebna mi, niechaj się pali.

Podkłada ogień pod ściany... i z zapalającej się celi wychodzi.

SCENA III.

Sala w rzymskiej wieży.

Lech i Gwinona wchodzą.

Lech.

Cóż robić z temi ludźmi żelaznemi?
 Uledz mi niechęcią. Cóż robić, Gwinono?

Gwinona.

Rada jest moja, zbyć się ich na zawsze.

Lech.

Co? pozabijać?

Gwinona.

Znów się wzdrygasz, mężu,
 I w czynach boisz się ostateczności.
 Dwa razy, przez tę naturę kobiecą,
 Straciłeś kraje już podbite prawie;
 Rycerzy ledwo ci zostaje garstka.
 Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę
 I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca

W niebezpieczeństwa: a nie myślisz o tem,
Że mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski przedadzą za szeląg.
Jeśli ich w życiu nie postanowimy
Na dobrze, stale zbudowanym tronie.

Lech.

To wszystko prawda.

Gwinona.

Patrz na brata Czecha:

Jemu się także ty oszukać dałeś,
To też postąpił z tobą jak z dzieciną:
Sam zabrał kraje we dwóch pokonane
A ciebie wysłał aż w północne lody.
Cóż, moja frygo z rozpalonej stali,
Kto cię pokręci, choć dłoń sobie sparzy,
Kontent, bo ty się kręcisz za to długo.

Lech.

Widzę to czasem, że mnie oszukują.

Gwinona.

Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.

Lech.

Cóż ty ze starym zamyślasz Derwidem?

Gwinona.

Co? Zdaj to na mnie, sam idź do sokołów,
Ty dobry w boju i na polowaniu:
Ale gdy trzeba robić, to co nudzi,
To się ty wzdrygasz. Ty masz lwią naturę:
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

Lech.

Ja to do siebie znam.

Gwinona.

Cóż, mój tygrysie!

Dajże na moją już odpowiedzialność
Tych jeńców... jeśli zrobię źle, wylajesz.

Lech, daje znak, że zezwala i wychodzi.

Gryf, przyprowadź mi tutaj Derwida.

Derwid wchodzi jako więzień z harfą w ręku.

Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto,

Wy się boicie wszyscy tego starca.

Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. Derwid podnosi harfę, jakby nią chciał uderzyć.

Derwid.

Precz!

Gwinona.

O! widzicie! on mię chciał uderzyć.

Nie zabijajcie go, ja z nim pomówię.

Człowieku! chcesz ty mnie nauczyć czarów?

Słyszałam, że ty masz w tej harfie ducha,

Który zgaduje przyszłość, czy to prawda?

Derwid.

Mam w harfie ducha co zgaduje przyszłość.

Gwinona.

Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę.

Derwid.

Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie.

Gwinona.

A jak ty umrzesz?

Derwid.

Do nieba uleci.

Gwinona.

Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.

Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze,

Przynieście jemu pić, niech się ożywi.

Do Derwida.

Ty mi wywołasz z harfy tego ducha,

Inaczej, klnę się na Hekatę i trzy

Starki, co w piekle krwawemi nożami

Nić przecinają ludzkiego żywota,

Że zginiesz.

Derwid.

Nigdy! o! nigdy, piekielna!

Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
Łez nie wyleją, póki te łzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.
O! nie — nigdy wy z króla niewolnika
Nie uczynicie służalca harfiarza.
Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne
I wścieklistą swą ducha ojczystego
Dawała mieczom zęb, co gryzł wam kości
I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli.
Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,
I wasze trupie twarze rozczzerwienić;
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić.
O! spróbuj! połóż twe palce na strunach,
Czy wywołają z nich co więcej, niż dźwięk
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom targającym żyły
I z mego jęku zrobię pieśń? O! jędzo
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój, co jak jeden człowiek,
O! nie, jak jeden trup leżał na polu,
Myślisz że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
Nad krew, co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed memi ludy... Nie, ja nie mam ludu!...
Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz;

Weźże krew moją do twojej gotowalni,
Czarna kobieto, i co dnia jagody
Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał
I nie zobaczył, że masz krew zieloną.

Gwinona.

Skończyłeś, starcze?

Derwid.

Nie jeszcze! nie jeszcze!

Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania
I ciebie mi tu da za niewolnicę,
I z twego trupa mnie pokonanemu
Tron nowy zrobi. Stój tu! ja ci łono
Osuszę, piersi napelnię popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobietą — gorzej niż to wszystko,
Bo bym ci oczy twe napelnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą.
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami;
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażebym piekło całe było w tobie.

Gwinona.

Ten starzec śmierci chce. Wydrzeć mu oczy.

Derwid.

Czekaj, niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Temi oczyma, co będą wydarte.

Gwinona.

Precz z nim.

Derwid.

Przez oczy moje wylupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg.

Żołnierze wyprowadzają Derwida.

Gwinona.

To dziwnie.

Te oczy siwe ze srebrnemi rzęsy
 Serce mi do krwi ugryzły... Mój Gryfie,
 Zawołaj mi tu Kraka i Arfona,
 Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
 A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
 Oczy wydarte, niech z niemi poigra.

Wchodzi święty Gwalbert. — Lilla Weneda.

Święty Gwalbert

Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

Gwinona.

Cóż to za człowiek? czemu tu wpuszczony?

Święty Gwalbert.

Straż twoja cudem pokonana drzymie.

Gwinona.

Ty jak Hekate masz księżyc czerwony
 Na siwych włosach. — Co to jest za człowiek?

Święty Gwalbert.

Ja ciemne chmury zdieram z ludzkich powiek
 I światło niosę dla duszy słoneczne,
 Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
 Ktokolwiek jesteś, schyl przede mną głowę.

Gwinona.

Jakiś czarownik.

Lilla Weneda, do świętego Gwalberta.

O! panie, mów za mną.

Święty Gwalbert.

Przyszedłem tutaj w imię Boga mego
 O pogwałconych ludzi się upomnieć.
 Oto jest córka króla tej krainy,
 Która ma braci i ojca w niewoli
 I przyszła prosić za niemi.

Lilla Weneda.

O! pani,

Ja przyszedłam prosić za ojcem i braćmi.
Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.
Ja przyszedłam twoje nogi rościć łzami,
Ja będę za to twoją służką; będę
Płótno twe bielić, twoje krowy doić,
Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
Że w dzień i w nocy będą dziękowały
Za moich braci, za mojego ojca.
Ja z moich oczu ci zrobię zwierciadła,
W których się będziesz ty widziała piękną,
Wesołą, dobrą i pełną litości;
I sama siebie, widząc, będziesz kochać;
A ja cię więcej jeszcze będę kochać,
Niż się ty możesz kochać sama siebie.

Gwinona.

Za późno przysłaś

Lilla Weneda.

O! nie mów! o! nie mów!

Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci.
I gdyby nie ten stary człowiek, pani,
Jużbym tu była dawno zawieszona
Na szyi mego ojca. Gdzie mój ojciec?

Derwid wchodzi z wylupionemi oczyma i podnosi ręce nad
Lillą Wenedą.

Derwid.

Puście mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.
Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę,
O! bądź przeklęta!

Lilla Weneda.

Ojcze! to ja, ojciec.

Derwid.

Co? To głos mojej córki, o! niebiosa!
Ja córki mojej nie widzę.

Lilla Weneda.

Mój ojcie,
 Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
 Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojcie?
 Poczekaj, krew ci obetrę włosami,
 I nigdy moich włosów nie obmyję;
 Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone,
 I w tej koszuli okropnej uklękne
 Skarżyć się Bogu. Ojcie nieszczęśliwy!
 O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!
 Pani! ty jesteś niewinna? co — prawda?
 Tego nie mogła uczynić kobieta?
 Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga,
 Dajże mi teraz, pani, tego starca!
 Wszakże ty widzisz, że on nie ma oczu,
 Tylko te biedne moje dwie źrenice,
 Które lez pełne. O! dajże mi teraz
 Mego ślepego ojca.

Derwid.

Mój słowiku,
 Cicho bądź! jędzy tej nie ruszaj.

Do Gwinony.

A ty,
 Wściekła kobieto! jeśli cię ten widok
 Ślepego starca i córki, co widzi
 Czerwone ojca swego oślepienie,
 Dręczy? jeśli cię dręczy ta męczarnia?
 A musi dręczyć, bo cóż ty zdobyłaś
 Tem okrucieństwem prócz kilku perełek,
 Co z oczu mojej córki upadają,
 I kilku tych lez okropnych, co ciekną
 Z mej próżnej czaszki. Więc jeśli cię dręczy
 Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja,
 Spróbuj, czy moja cię śmierć nie uleczy
 I tygrysiego serca nie nakarmi.

Gwinona.

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

Lilla Weneda.

Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy!
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą,
Trzy razy wszystko wymyślisz na próżno.

Do świętego Gwalberta.

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
Będzie mnie bronić razem z aniołami
I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą:
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
Przeciw rozpacz mojej ostatecznej.

Gwinona.

Dziwne wyzwanie! słyszeliście wszyscy,
Ta mnie dziewczyna wyzywa. Już miałam
Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
Stał mi się wcale niepotrzebny; teraz
O niego będą toczyć się turnieje.
Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dzióbią kruki; dla większej męczarni,
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

Lilla Weneda.

Gdzie król? ja pójdę do króla ze skargą.

Gwinona.

Idź.

Święty Gwalbert.

Kłątwa Boga ~~na~~ tym krwawym domie.
Wyobodzą.

Chór.

Dwunastu harfiarzy.

Oczy wydarto staremu królowi,
 Pęka się córki bursztynowe serce,
 A w naszą starą kość strach idzie mrowi,
 Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
 Gotowi ludziom rzec: zwycięstwo nasze!
 Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!
 Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasie,
 Czasze nalane krwią, serca zozpaczą,
 Z ust się wydiera krzyk o zemstę Boga,
 Czekamy wszyszy, drżąc, na piorun z chmur,
 A kiedy milczy niebo — śpiewa chór.
 A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

A K T II.

SCENA I.

Pobojowisko, noc. *Róża Weneda.* w głębi pali kości rycerzy
 i śpiewa.

Ślaz wchodził.*Ślaz.*

Dalibóg! trupów tu jak maku: głupcy!
 Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
 Dlaczego teraz się nie mogą ruszyć?
 Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
 Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
 W mym pacierzowym ogonie; i każdy
 Miałby wymówkę; ze mną tak nie będzie.
 Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
 Będzie, jak Bóg chce i jak chce pan Gwalbert.
 Cóż to za wiedźma przed stołem z płomieni
 Trupich piszczeli ogniem oświecona?

Róża Weneda.

Czar się nie robi, tu jest człowiek żywy.

Ślaz.

Jezu Marya! gotowa mnie zabić.

Róża Weneda.

Wężu, kto jesteś?

Ślaz.

Umarły ze strachu.

Róża Weneda.

Gdzie idziesz?

Ślaz.

Wszędzie, gdzie każesz waćpani.

Róża Weneda.

Ja wiem, czem jesteś... ty będziesz zabójcą.
Mam tutaj sztylet.

Ślaz.

Jakaś waryatka!

Róża Weneda.

Przed tobą płynie krwi bolesnej rzeka,
Z tych trupów cieknie i płynie,
Za tą wodą dom człowieka,
Ten człowiek zginie;
Życie jest jego dla mnie jak psa życie.
Ty go zabić powinien.

Ślaz.

Ja?

Róża Weneda.

O świcie

Go zabijesz, idziesz po to.
Słuchaj! — jesteś złodziejem.

Ślaz.

Ja?

Róża Weneda.

I złotą

Harfę ukradniesz mego ojca.

Ślaz.

Pięknie!

Róża Weneda.

I słuchaj, jeśli z bólu harfa jęknie,
Jeżeli jęknie, ojcę mojemu kradziona,
Ty ją utulisz w płaczu jak dziecko — i skona
Ojciec mój, ale harfa zwycięży narody!
Pamiętaj!

Ślaz.

Dobrze.

Róża Weneda.

Lub z głazem do wody
Rzuć się i toń, bo serce ci wydrę i oczy.
Oddała się w głąb do płomieni.

Ślaz.

Rozumiem, ukraść harfę i zabić człowieka,
A to mi wcale piękna awantura!
Wylazła z trupów i z płomienia mara
I mówi do mnie: Ślazi, jesteś zbójcą.
Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz
O mojej cnocie. A do mnie ta znowu:
Mój mości Ślazi, waść jesteś złodziejem.
Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień
Jak salamandra; szukajże z nią ładu!
Gdyby przynajmniej była powiedziała,
Czy mnie powiesz, jak będę złodziejem?
Co teraz robić?... Widzę tam na górze
W złocistej zbroi nieboszczyka — pójdę.
Obedrę zbroję i na siebie włożę.
Może cokolwiek znajdę w niej odwagi.

Wychodzi.

Róża Weneda, śpiewa.

Trzaska w płomieniach kość,
W czaszkach się warzy mózg,

Tu kwiatów będzie dość
I liliowych różg
Z kwiatami o! z białymi kwiatami...
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Ja palę trupy wciąż.
Tu mój kochanek był,
Do czaszki przylazł wąż,
I krew mu z oczu pił,
I do czaszki wlał krwawemi ustami.
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Oddala się — płomienie gasną.

Ślaz wchodzi w zbroi, sam.

Otóż ubrany jestem jak na święto,
Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło,
A tu są ludzie, co chcą spać. Naprzykład
Ten obywatel, co mi dał tę zbroję
Chciał spać, musiałem dobić nieboraka.
Ergo ta wiedźma powiedziała prawdę;
Bo jeśli dobić — żyć nie mogącego,
Znaczy to samo, co odebrać życie,
Więc ja zabiłem... nie — tylko dobiłem.
Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj,
A gdyby nawet było w przykazaniach,
To ja nie wierzę w boskie przykazania
I tak... a jeszcze na moją obronę
Mógłbym przytoczyć, że mię ten nieboszczyk
Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem...
Temi wyrazy... widzisz tu Salmona
Z połamanemi kośćmi — więc dobij.
Więc ja dobiłem go i rzecz skończona.
A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem.

Wychodzi.

SCENA II.

Sala w zamku Lecha.

*Lech i Sygoń.**Lech.*

Więc ty widziałeś, jak mój Salmon zginął?
Opowiedz jego śmierć.

Sygoń.

Kiedy się, Lechu,
Za ostatniemi Wenedy puściłeś
Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
Ujrzawszy wzgórze, na którym dwunastu
Stało druidów, z harfami złotemi,
Tak, że z tych starców i z harf pagórkowi
Była korona, rzucił się z dobytym
Mieczem na owo wzgórze Salmon młody,
I nie znajdując żadnego oporu,
Króla Derwida wziął za siwą brodę
I ciągnął z tronu kamiennego gwałtem:
Gdy oto nagle, harf złotych dwanaście,
Jako dwanaście siekier podniesionych,
Na hełm Salmona spadło... a jam słyszał
Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu...
Przybiegłem... wzgórze całe było puste,
A na niem leżał cichy trup Salmona.

Lech.

Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego rycerza.

Sygoń.

Już się królowa zemściła na królu.

Lech.

I cóż?

Sygoń.

Kazała mu wylupić oczy.

Lech.

Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza.
Chciałbym ten kielich cały krwią napelnić...
Rycerz rozbity jak garnek, nie bronią
Ale harfami!... pfu!... zgroza. Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.

Wchodzi Lilla Weneda.

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?

Sygon.

Córka starego króla.

Lech.

Tego starca,
Który mi zabił Salmona?

Sygon.

Tak, panie.

Lech.

Czegoż ode mnie ona chce?

Lilla Weneda.

Litości.

Lech.

Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce: twój ojciec jest mi jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.

Lilla Weneda.

Więc nie litośny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych:
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący.

Przez olzawione oczy widzieć niebo,
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesolą
I twarz umila nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko prócz serca córki nieszczęśliwej.
Idź, Lechu... obacz go... a będziesz płakał!
Idź, Lechu!... on tam na twoim dziedzińcu
Za siwe, święte włosy przywiązany...
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z mojem nieszczęsnym ojcem... ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litośnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.

Lech.

Sygonie, moja Gwinona się biesi,
Ona tu miarę przebrała.

Lilla Weneda.

O! panie,
Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mego im nazywa królem,
A to maleństwo za matką świegoce:
Król, król, i w mego ojca oczy puste
Niegodziwemi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarż tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki,
Z tych dziątek będą potem królobójce,
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
Tak jak zwa dzisiaj ojca mego królem:
Król, król, jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...

Lech.

Wszak niema w tem grzechu,
Sygonie, mojej milej podciąć skrzydeł...

Wychodzą.

Lilla Weneda.

On mi uwolni ojca z rąk straszydeł...

Wychodzi.

SCENA III.

Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian widać cień. *przy-*
wiązanego Derwida do gałęzi dębu. Na przedzie sceny

Gwinona, Krak i Arfon.

Krak.

Mamo, ja nie chcę więcej tego starca
Bić kamykami. On się już nie rusza.

Gwinona.

Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

Krak.

Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem sławnym jak mój papa.

Gwinona.

Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś jak psiątko: — nie, mamo,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka.
Wstydź się, czyżykiem jesteś nie chłopakiem.

Krak.

Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

Gwinona.

Co? nie pamiętasz już, Krak, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.

Krak.

Ten stary zabił Salmona?

Gwinona.

A widzisz?

Już rączki ściskasz w kulak, jużś gniewny...

Arfonie, daj łuk braciszкови... daj mu.

On lepiej strzela niż ty.

Arfon.

Ja sam trafię.

Gwinona.

Idź, baw się z harfą, daj łuk braciszкови.

Dając Krakowi łuk.

Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?

Krak.

Wiem, mam, bo mi teraz głośno puka.

Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Derwid...

Wchodzi Lech, Sygoń i Lilla Weneda.

Lilla Weneda.

O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca

Lech.

Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!

Bo go tu zetnę szablą jak makówkę.

Cóż to?... czy ojciec jest tu u was niczem?

Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę... spuść łuk!

Gwinona.

Spuść łuk, mój Krak, papa tobie każe...

Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?

Lech.

Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,

Kiedy tu widzę moje własne dzieci

Uragające z niedoli królewskiej,

Jedzące mięso jak orlątka młode.

Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika?... precz mi stąd, szczeniaki!

Dzieci odchodzą.

Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.

Gwinona.

Ty panem,

Każ go odwiązać.

Lech.

Cóż to? jużes gniewna?

Gwinona.

O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu,
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałej żądz.
Lepiej mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Nixów albo Farfadetów
Małżonką: lepiej o! lepiej sto razy,
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi
I nie być pewną dnia, że mąż mnie kocha.
Bo jakże kocha mnie ten lew ryczący?
Serce mi ciągle gryząc, albo głaszcząc
Dłonią żelazną — jakże mi pochlebia?
Z rana pochlebia, a wieczorem karci.
Jakże mi wierną miłość wynagradza?
Co mi da z rana, odbierze wieczorem;
Tak, że ja nie wiem, żoną ja czy służą
Jestem u niego? miłą czy mu gorzką?
Szlachetną w jego myśli, albo podłą?
O! jeśli tak ma być zawsze, o! Lechu!
To mię odegnaj i ja pójdę bosa
W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
Pochlebiać, łasić się, prosić o litość.

Wstydzisz się; nie mi już nie odpowiadasz?
Bo ty szlachetny i wiesz, że ja mam słuszość.
Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida,
Pierwszy raz rzekłam: on mi przecie ufa!
A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
Chodźcie tu wszyscy! patrzcie, jak Lech rycerz
Żonie danego dotrzymuje słowa.
Ja w słowie jego zaufana święcie
Na jego słowo dałam moje słowo:
Teraz on swoje święte słowo łamie;
A ja się muszę oszkalować sama
I zaprzysiężeń moich nie dotrzymać...
Chodź tu, dziewczyno! wyzwalaś mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Że twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnej.
O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O której honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, tej dziewczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie!
Islandzką jestem królowną, pamiętaj!
Do obelg takich nieprzyzwyczajona.

Chce odchodzić.

Lech.

Stój!

Gwinona.

Idę z wieży się rzucić.

Lech.

Kobietol

Gwinona.

Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej,
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał... albo wichor islandzki przyleci

Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta przekleństwem wyjące.

Lech.

Za nadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą.

Chce odchodzić.

Lilla Weneda zatrzymując go.

O! mój panie.

Lech.

Czego ode mnie chce ta wiedźma! wszyscy
Przeciwko mnie są.

Lilla Weneda.

Więc mój ojciec skona?

Lech.

Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą... i niech
Więcej nie słyszę o nim.

Lilla Weneda.

Ach! okrutny!

Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku!

Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!

Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić

Zemsty łaknące serca, taki sposób,

Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,

Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie

Na samą pierwszą myśl tej okropności.

Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec

Ma dzieci... dzieci te u was w niewoli,

Dwóch macie synów tego starca w rękach:

Otóż wybierzcie z nich którego losem,

Dajcie mu w ręce topór wyostrzony,

Niech o sto kroków stanie i toporem

Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?

Gwinona.

Przywieść tu jeńców.

Lilla Weneda.

Lecz, królu! lecz królu!

Jeżeli brat mój rzuciwszy toporem
 Starcowi tylko włos ustrzyże siwy;
 O! patrzaj... ten włos, co tak przezroczysty
 Jak błądy gwiazdy błękitnej ogonek,
 Pomiędzy drzewem a starego głową:
 Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
 To więźnie będą wolni... czy przyrzekasz?

Lech.

Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.

Lilla Weneda.

Oba?

Lech.

Tak, oba...

Lilla Weneda.

I mój ojciec?

Gwinona.

Ojciec

Do mnie należy... zbaw go tak trzy razy
 A będzie wolnym.

Lilla Weneda.

Ach! czyliż niedosyć

Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

Wchodzi Lelum i Polelum. Oba łańcuchem złączeni, tak że prawa
 pierwszego ręka do lewej ręki Polelum przykuta.

Gwinona.

Otóż są więźnie; mów, czy się podejmą?
 Ty siostra, srogi targ zrobiłaś za nich.

Lilla Weneda.

O! mówcie do nich wy... ja cała drżąca.

Lech.

Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.

Lilla Weneda.

Nie zechcą! oni nie zechcą!... Polelum
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano ani pić... on skona!
On was nie widzi... wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy,
Jeżeli umrze... o śmierć nielitośną
Swego własnego syna nie posądzi...
Polelum... topór weź, ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało.

Polelum.

Daj.

Lilla Weneda.

Ale go nie rań.

Polelum.

I cóż mam robić?

Lech.

Psie! ty godzisz we mnie.

Polelum.

Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?

Lech.

Zgnijesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.

Polelum rzuca topór na ziemię.

Lelum.

Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu,
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl... ty dobrze władasz tym żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił;
Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny;
Przykuty do mnie za twą lewą rękę
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej:
Ty cały jesteś moją ręką prawą:
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą, i nigdy,
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika.
Polelum! zemsty!... Ja skonam w więzieniu...
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach! bądź odważny.

Polelum.

O! bogi piekielne!
Z jednej mi strony brat cierpiący kona...
Tam ojciec nędzny... tu mi dają topór...
Co robić!

Lilla Weneda.

O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich.

Polelum.

Daj topór. O! Boże!
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia.
Więc trzeba włosy te odciąć... te włosy...
Te siwe włosy?... Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmią. Okropnie!

Czy wy jesteście pewni, że mię ojciec
Nie widzi... tylko czy jesteście pewni?

Lilla Weneda.

On ma wydarte oczy.

Polelum.

Przez błysnięcie

Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.
Ach! dosyć było taką rzecz wymyśleć
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzył na zabójcę syna.
O! do czegoż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę!... O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata
Muszę być ojca mego męczennikiem.
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci.

Gwinona.

Cóż to, więc nie masz odwagi?

Polelum.

Bezczelna!

Ja się odwagi mojej własnej boję...
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tem ciśnięciu straszliwym Weneda
Będzie wam śnić się...

Prowadza okutych razem braci na metę rzutu — zasłona spada.

Chór.

Dwunastu harfiarzy.

Niestety! niestety!

Gdzie sprawiedliwość boska? gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca,
Niebo się całe ćmi krwawemi łuny,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca

Piorunów deszcz okropny... świat się wzdryga!
 Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
 Topór, co w drżącej ręce syna miga:
 O! synu! serce twe z boleści pęknie,
 O! córko, ojca twego krew cię splami!
 O! biada wam! o! biada! niewolnicy!
 Miesza się wasza krew z waszemi łzami,
 Serca dajcie krew pod dziób orlicy,
 Ona wyściela gniazdo waszemi włosami.
 O! niewolnicy!
 Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

A K T III.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

*Lech i Sygoni.**Lech.*

Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
 Wiesz, jak ciskają od oka toporem?
 W uszach mi dzwoni okropne żelazo;
 Ażem był jęknął trwogą zadławiony,
 Gdy nad Derwida głowę zobaczyłem
 Drzazgi z żelaza rozsypane skrami.
 Jużem się lękał, że w topora jęku
 Zarąbanego starca jęk usłyszę:
 Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
 Jak widmo, z włosem równo odrąbanym,
 Odstał; krwawemi łzami zapłakany,
 Z obliczem pełnem boskiego uśmiechu...
 Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
 Nasze mogiły... Czy wiesz co? Sygonie,
 Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
 Niechaj na twoich włosach zaprobuję
 Oka i miecza!

Sygoń.

Lechu, jestem łysy.

Lech.

Ty łysy, prawda, to sęk! lecz ja muszę
 Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną:
 Dziś spać nie mogłem; a kiedy nad rankiem
 Zamknąłem oczy, to widno Salmona
 Jawiło mi się i mówiło do mnie
 Samemi tylko urągowiskami.

Słysząc trąbkę rycerską.

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?
 To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
 Jakże — mówiłeś mi, że Salmon zginął?

Sygoń.

Klnę się na Boga, żem go widział trupem.

Lech.

Ale to Salmon, patrz, stoi przed bramą.

Sygoń.

Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.

Lech.

Stare masz oczy, nie poznajesz zbroi?
 To Salmon... o! mój Salmon! Chodź, to Salmon!
 Wychodzą.

S C E N A II.

Sala taż sama.

Gwinona, wchodzi.

Co słyszę? Salmon zatrąbił... O! Boże!
 Gdy ja tortury straszne wymyśliłam,
 Aby się pomścić za niego — on żyje.
 Także to pewna, że serce przywyka
 Do konieczności, choć najokropniejszej,
 I z jakiegokolwiek bądź rozpaczy — nie chce

Powracać w przeszłą radość i z trupami
Powróconemi znów się zapoznawać;
Także to pewna, że osierocone
Przez zmarłych miejsca, gdy raz już są puste,
Muszą pozostać tak, dla niezmiennienia
Naszych nadziei, które jak pajaki
Wnet zarabiają sieć, gdzie los przeleciał,
By w niej nie widzieć pustki i rozdarcia.
Zaczęłam się mścić za niego... on wraca.
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny,
A już jest rzeczą zaczęta. Więc znowu
Do mego serca miłości nieczystej
Wraca gorący wąż na dawne miejsce,
I na wystygłe miejsce znów powraca.
Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo
I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

Lech, Ślaz, w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy, Sygoń.

Sygoń.

Salmon! niech żyje Salmon!

Lech.

O! Gwinona!

Witajże ty go... przynieście puhary...
Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu!
Jakżeś, Salmonie mój, uniknął śmierci?

Ślaz.

Zaraz opowiem, tylko mnie postawcie
Na moje nogi, na me własne nogi.
Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
Zaczarowany Salmon, lepszy Salmon
Niż tamten Salmon niezaczarowany;
Jestem Salmona dusza w innem ciele.

Lech.

Odsłońże hełmu, niechaj cię zobaczę.

Śluz.

O ba! mój także hełm zaczarowany,
Jakem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę...
Przeklęta klatka!

Lech.

Co mówisz?

Śluz.

Niech zginę,
Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę,
Ale hełm ze mną włóczy się po świecie
I będzie trzymał, aż mu się spodoba
Uwolnić moją głowę, aby jadła.
Ten hełm jeść nie chce i ust nie otwiera;
Przeklęta, dyabła machina, panowie,
Na ogłodzenie człowieka.

Gwinona.

Rycerze!

Zrąbcie mu głowę z karku, to nie Salmon.

Śluz.

Przysięgam! mości panowie, ja Salmon.

Gwinona.

Salmon zabity był wczora.

Śluz.

Ja wczora

Byłem zabity, do śmierci zabity.
Nie dobywajcie mieczów, mospanowie,
Bo jak mnie teraz zabijecie, to już
Gotówem nigdy nie żyć. Zabijanie
To na raz sztuka; raz mi się udało,
Drugi raz może mi się już nie uda
Chodzić po śmierci.

Lech.

Cóż więc? jesteś duchem?

Ślaz.

Schowajcie miecze a powiem czem jestem.

Lech.

Jeśliś nie Salmon, to śmierć!

Ślaz.

Jestem Salmon.

Lech.

Więc mów jak Salmon.

Ślaz.

Otóż to jest sztuka
Mówić jak Salmon zaczarowanemu.

Lech.

Któż to na ciebie rzucił takie czary?

Ślaz.

Kto? Wczoraj martwy leżałem na polu;
Wtem jakaś wiedźma, co paliła trupy,
Przyszła i wzięła mię za nogi; to nic,
Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa;
Aż mię ta straszna olbrzymka dlatego,
Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień;
Więc ja zacząłem krzyczeć... więc ta wiedźma
Puściła moje nogi, więc ja wstałem —
Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie: wyjęła oczy
I dała inne oczy na pamiątkę,
Oczy wydarte z kota, szare, kocie,
Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmienila,
I bocianowi wzięwszy dziób, przypięła
Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę... więc potem
Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica

Nie chciała; i tak — szlachetni rycerze,
Jeżeli teraz chcecie się przekonać,
Jak ja okropnie jestem odmieniony
Czarami wiedźmy tej, to z łaski waszej
Przyłbicę mi tę otwórzcie.

Gwinona, otwierając hełm Ślaza.

O nieba!

Ślaz.

No, cóż? i jakże wy mnie znajdujecie?

Gwinona.

Straszdyło chude!

Ślaz.

Co chude, to chude!

Mój pan już na mnie został anatomem.

Gwinona.

O jakim panu ty mówisz?

Ślaz.

O jakim?

O Panu Bogu.

Lech.

Ale ci ta wiedźma

Mężnego serca nie zaczarowała?

Ślaz.

Serca? to byłoby już bez potrzeby
Czarować serce; i cóż? — czy nie dosyć
Takiego nosa?

Lech.

Tyś był najpiękniejszy

Z moich rycerzy, dziś brzydki straszliwie.

Ślaz.

Tylko mi dajcie jeść a obaczycie,
Że jak utyję, to nie będę szpetnym.

Lech.

Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

Gwinona.

To jakiś oszust w Salmona zbroicy.

O! jak rycerze są ci łatwowierni!

Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;

A choć szychową nic zobaczą, nie chcą

Wyciągnąć kłębka; jedni przez lenistwo,

Drudzy widzący w tem może pożytek,

Albo zabawę: i tak oszukani

Potem przez dobroć rosnać pozwalają

Falszu krzewinie, wstydząc się za ludzi,

Którzy się wstydzić powinni. O! głupi

Lud z rąk rycerskich i z głów niemyślących;

Któremu chciałabym wlać moją twardość,

Inaczej... pierwsza burza... a już po nich.

Pokażę im myśl skierowaną wiecznie

Jako sztyletu ostrze w serce wroga;

Pokażę, co to jest kobieca wola,

Jaka głuchota na postronne jęki,

Jakie wlepienie oczu w samo łono

Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.

Jeśli niczego nie nauczę — biada!

Wychodzi.

SCENA III.

Pole przy lesie.

Lilla Weneda, Lelum i Polelum w łańcuchach.

Lilla Weneda.

Wolni jesteście. Niech Róża Weneda

Rozewie wam te na rękach łańcuchy,

A ja do ojca idę niewolnika.

Za trzy dni ojca wam żywego wrócę.

Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,

Dziś jestem smutnej śmierci narzeczoną,
 I może więcej nigdy nie powrócę,
 I może nigdy się nie zobaczymy.
 Pamiętaj o mnie, o! pamiętaj o mnie!
 Ja cię kochałam jako siostra twoja,
 Ja cię kochałam jak wierna kochanka,
 Dzisiaj cię kocham jak ta, co ma umrzeć.
 Pamiętasz, jak my dziećmi maleńkiemi
 Z obu stron ojca harfy ukłękniemi,
 Przez złote struny dawaliśmy sobie
 Pocałowania; dziwiąc się, że każdy
 Nasz pocałunek strun się kończył jękiem;
 Była to dziwna losu przepowiednia!
 Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

Lelum.

Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
 Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.

Lilla Weneda.

Harfa naszego ojca jest w niewoli,
 A ja nie jestem jeszcze zaślubioną,
 Ust moich ci dać nie mogę płonących.

Lelum.

Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy,
 Schowaj się za nie, jako za strunami
 Harfy ojcowskiej... niechaj przez warkocze
 Twych koralowych ust dotknę ustami...

Lilla Weneda.

O! nie, jak prosty gołąb ja się rzucę
 Na wasze łono... kochajcie mnie, bracia,
 Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...
 Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi.
 Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
 Mówcie: umarła.

Odchodzi.

Lelum.

Bracie mój! słyszałeś? ona ma umrzeć...

Polelum.

Całe piekło we mnie.

Nie więcej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w rękę przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli. Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

Lelum.

O! Polelum,

Ty po mnie zostaniesz.

Polelum.

Po tobie?

Lelum.

Dlatego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona, żyć będziesz po Lelum.

Polelum.

Ja zadam kłamstwo wróżbie... ja nie będę
Z waszemi groby żył w kraju niewoli.
Świadcę się tobą, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mnie żywym na brata kurhanie.
To natęż tak twe oczy, światła Boże,
Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydney
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim,
Ostatnią będzie jaka kobieta,
Albo rzecz jaka żywa jeszcze słabsza,
Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpacz
Władzy skonania — to będzie ostatniem.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,
Że nie ma komu świecić, tylko gadom
I tym, co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
Chodź! wróżka powie nam, jak mamy skonać.

Wychodzą.

SCENA IV.

Sala w zamku Lecha.

*Gicinona, Rycerze, Lech.**Gwinona.*

Tak być nie może, nie, tak być nie może.
 Z tym starcem trzeba skończyć... przyprowadźcie
 Króla Derwida, i z mego pokoju
 Przynieście harfę. Klnę się wam na duszę,
 Że ta dziewczyna cierpi pomieszanie;
 Lub pomieszanie cierpi lub fałszywa;
 A w jej białości tyle jest kolorów,
 Jako na szyi gołębia... harfiarka!
 Dumna, że czoło mi stawia... żebraczka!
 Otóż mój człowiek.

Derwid, wprowadzony przez rycerzy, staje przed królową, przy
 nim stawiają harfę.

Postawcie go tutaj,
 Blżej, przy harfie postawcie. Człowieku!
 Widzisz, że wolę mam żelazną... słuchaj!
 Błysnął ci topór synowski nad głową,
 Ale miał litość nad tobą i synem
 I tylko trochę urąbał warkocza,
 A głowę dla mnie zostawił nietkniętą...
 Widzę w tem jednak czarodziejską sprawę;
 Topory wasze muszą mieć na ostrzu
 Synowskie oczy; harfy — córek serca;
 Ta harfa twoja dzisiaj postawiona
 Przy łożu mojem o każdej godzinie
 Nocnej budziła mię jękiem bolesnym,
 Choć nawet wichur nocy ją nie trącił,
 Ani się ciche dotknęły motyle.
 Naucz mnie twego czarodziejstwa, powiedz,
 Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie?
 A z córki twojej uczynię królowną,
 Synowi memu starszemu zaślubię,
 Ty będziesz teściem królewica. I cóż?

Derwid.

Harfa jęczała!... co mówisz, jęczała?
Przy tobie stojąc jęczała?

Gwinona.

Cóż, starcze?

Derwid.

Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona.

Gwinona.

Szalony starzec! śmiercią mi zagraża.

Derwid.

Ty, ty za trzy dni umrzesz.

Gwinona.

Ha?

Derwid.

Słyszałaś.

Gwinona.

Nędzarzu!

Derwid.

Trumno!

Gwinona.

Nieszczęsny!

Derwid.

Śmiertelna!

Gwinona.

Mój niewolniku!

Derwid.

Królowo trzydniowa!

Gwinona.

Umarły!

Derwid.

Jak pies zachrząpląs od krzyku.

Gwinona.

Śliny mam dosyć...

*Plwa na starca.**Derwid.*

O! Bogi! o! Bogi!

Dajcie mi oczy moje, będę płakał...

Gwinona.

Ha! zczzerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

Derwid.

Tys mię oplwała krwią.

Gwinona.

Patrzcie, rycerze,

Ten człowiek królem był!

Derwid.

Patrzcie, rycerze,

Oto gadzina ta — była kobietą!

Gwinona.

Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

Derwid.

I ta kobieta miała niegdyś ojca...

Gwinona.

Proś w mego ojca imię, toć przebaczę.

Derwid.

W imię cię ojca potępiam, przeklinam,
I Bogom daję piekielnym za trzy dni...

Gwinona.

Za to, żem ciebie zabiła?

Derwid.

Że dręczysz.

Gwinona.

Ha! więc ty czujesz?

Derwid.

Ha! więc ty się cieszysz?

Gwinona.

Już nacieszyłam się, teraz zabiję.

Derwid.

Ukąsisz tylko i umrę z wścieklizny.

Gwinona.

Lękasz się mego zęba?

Derwid.

Nie, choroby.

Gwinona.

Rycerze, proszę, zlitujcie się nad nim.
To człowiek biedny... to człowiek szalony.
Harfiarzu, klęknij!

Derwid.

Rzuć tu na podłogę
Twe czarne serce, pod moje kolana.

Gwinona.

Nudzi mię kłótniarz ten... Daj mu policzek.

Derwid.

Stój! splamisz ręce, ja mam twarz oplwaną.

Gwinona.

Cóż to, ja sama mam bić tego króla?
Masz!

Uderza go.

Derwid.

Nikczemnico! niech cię Bóg obali.
O! serce moje! o!

Mdleje.

Gwinona.

Wynieście trupa.

I rzućcie węzom.

Rycerze wynoszą Derwida.

Gryfie! ty dopilnuj,

Niech do węzowej wieży rzucą starca.

Gryf wychodzi.

Głupie, bez serca rycerstwo patrzyło,
Gdy we mnie wzbierał gniew; kiedym ja wrzała,
To stali cicho, jak uliczne chłopcy,
Sykaniem szczwając psa mojego gniewu.
Milczeli wszyscy. Gdyby tylko jeden
Na starca słowem uderzył gryzaczem
I mej bezsilnej kobiecej wściekłości
Przyszedł z pomocą, byłabym ostygła.
Lecz nie, milczeli; a jam się rzucała
W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
Znienawidzona i nienawidząca;
Z całego serca ich nienawidząca!

Lilla Weneda wchodzi.

Lilla Weneda.

Pani! gdzie ojca mego niosą?

Gwinon.

Na śmierć.

Lilla Weneda.

Powiedz, na jaką śmierć ty go skazałać?

Gwinona.

Kazałam rzucić na pożarcie wężom.

Lilla Weneda.

Wężom?

Gwinona.

Spojrzałam wczoraj w jedną wieżę,
Która przy zamku stoi zrujnowana;
Spojrzałam: z gadzin okropne powoje —
Błyszczące, pełne ślin, pną się na ściany;
A w głębokości gniazda wężów leżą,
Błyskają oczy, wiją się ogony,

I ciągly slychać świst, sykanie, gwary,
 Jak w garnku wrącym. Tam, w ciemność okropną,
 W tę sykającą ciemność, w to węzowe
 Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
 Twojego ojca.

Lilla Weneda.

O! Boże! o Boże!

Mój ojciec węzom jest rzucony głodnym!
 Węże nie będą mieć nad nim litości!
 O! więc mi skonać!

Gwinona.

I cóż, gołębico?

Żadnego teraz ratunku, wybiegu,
 Tu nie pomoże topór twego brata,
 Tu nie pomogą twoje łzy... pożarty
 I rozszarpany między gadzinami
 Twój stary ojciec.

Lilla Weneda.

Ta harfa go zbawi.

Chwyta za harfę i wybiega.

Gwinona.

Harfa... Idź z Bogiem, waryatko smętna,
 Czegoż dokazesz harfą uzbrojona
 Przeciwnko zemście węzów i kobiety?

Wychodzi.

SCENA V.

Sala też sama. — *Lech i Sygon* wchodzą.

Lech.

Sygonie, człowiek ten nie jest Salmonem.
 Przy uczcie jeden mu dał w łeb talerzem.
 Ten człowiek, widząc krew ciekącą z czoła,
 Zawołał: octu! Gdyby to był Salmon,
 Byłby zawołał: szabli. Wiesz, co myślę?
 Już postawiłem go na straży w bramie,

Zmieniwszy zbroję, razem nań wpadniemy;
 Jeżeli, zamiast bronić się jak Salmon,
 Będzie o życie błagał na kolanach,
 Każę go jak psa powiesić i ścwiczyć.

Goniec wchodzi

Goniec.

Lechu! nowiny są okropne z pola.
 Wenedy znów się rzucają do broni.
 Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
 Na drugiej stronie Gopła ze stu ludźmi,
 Wzięty w niewolę.

Lech.

Nie mówić Gwinonie!

Ona miłuje bardzo tego syna.
 Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,
 W ostatniej walce dzidami pokłute...
 To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty...
 O! syn mój biedny!... Ale te psy wściekle
 Nie będą śmieli jeńca zamordować?
 Nie mówić tylko nic o tem Gwinonie,
 Syna odbiję, nim się ona dowie.

Goniec.

Różne biegają straszne przepowiednie
 O przyszłej walce między Wenedami;
 Wszystkie te wróżby sieje czarownica
 Młoda i piękna, co na łysej górze
 Ma wykopany loch, podobny gniazdom
 Rzecznych jaskólek.

Lech.

Cóż za wróżby, powiedz?

Goniec.

Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
 Dwa serca, oczu czworo płomienistych,
 Lecz jeden tylko oszczep, jedną tarczę.

Lech.

Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy,
Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca;
Lepiejby wyszli, gdyby miał dwie tarcze
I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden.

Goniec.

Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

Lech.

Dobrze, będzie widno.

Goniec.

Ta czarownica z góry zapowiada,
Że po tej walce, martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

Lech.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie...
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy,
I wódz ten z dwoma głowami i mściciel.
Dosyć! już ciemno, dosyć już tych bredni!
Bić się będziemy i to jest najlepsza...
Chodźmy Salmona wypróbować męstwo.

Wychodzą.

SCENA VI.

Dziedziniec w zamku *Lecha*.

Ślaz, na straży przy bramie. — Noc.

Trzeba Salmoństwo to skończyć... dalibóg!
Salmoństwo moje bardzo niebezpieczne
I różnych rzeczy wymaga; na przykład:
Odwagi. Gdybym wiedział, że ze zbroją
Spadają na mnie takie obligacye,
Byłbym nie tykał jej... ani tych rzeczy,

Które rycerza są... Co widzę? Chryste!

Pan mój dawniejszy prosto w bramę dąży.

Wyda się kłamstwo... po radę do głowy...

Słychać stukanie do drzwi. — Ślaz otwiera drzwi i ujrzawszy

Świętego Gwalberta, zatrzymuje go halabardą u wejścia.

Ktoś ty?

Święty Gwalbert.

Domowi temu niosę pokój.

Ślaz.

A więc nie wejdiesz, my żyjemy z wojny.

Święty Gwalbert.

Puść mię do Lecha, puść, mężny rycerzu,

Niech cię *Spiritus Sanctus*... O! pohańcze!

Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa.

Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi;

Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi

Białością, cała powietrzem tęczowa,

Z gwiazdy sinemi, matka Chrystusowa

Pokazała się — ukląknęłam, a ona:

Idź, bo stary Derwid kona,

Córka jego, mój gołąbek,

Z bólu umiera.

Tak mówiąc, w tęczy się rąbek

Owinęła postać święta,

I uniosła ją anielska sfera

Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni.

Ślaz.

Czemuś nie nabrał tych gwiazd do kieszeni,

Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.

Święty Gwalbert.

Zapłacić? święci nie płacą.

Ślaz.

Czemu?

Święty Gwalbert.

Bóg daje wszystko temu, kto jest z Bogiem.

Ale nie trzymaj mnie przed zamku progiem,

Twój upiór sługę mego przypomina.

Śluz.

Co to za człowiek był?

Święty Gwalbert.

At, łajdaczyna!

Śluz.

Gdzież jest?

Święty Gwalbert.

Już teraz dyabeł wziął do piekła.

Śluz.

Już w piekle?

Święty Gwalbert.

W piekle.

Śluz.

Hum . . . dobra nowina.

Święty Gwalbert.

Miałem łajdaka sługę, skradł mi wszystko
I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
Z której ja sobie uczyniłem celę:
Tak że w tej czaszce, gdzie niegdyś mieszkały
Bogi Walhalli, teraz się świeciła
Czystość dziewicza w gwiazdzistej koronie
I odzywała się czysta modlitwa.

Śluz.

To jakiś sługa niewierny!

Święty Gwalbert.

Bies sługa!

Teraz ja myślę, że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał.
Lecz nie przełamie dyabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemogą.
Jeżeli jeszcze ten dyabeł bezwstydnym
Jest w ludzkiej skórze, to pod dyscypliną . . .
Lecz zdaje mi się, że to nie był dyabeł,
Rycerzu, on był na dyabła za głupi.

Śluz, na stronie.

Wolałbym, żeby trzymał się był o mnie
Pierwszej opinii. Ach! Ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona.

Głośno.

Chodź tu, staruszkę święty!

Święty Gwalbert.

Dzięki Bogu,
Poganin zaczął już przezierać w światło.
Nazwał mię świętym, — do chrztu niedaleko.

Śluz, na stronie.

Ja ciebie ochrzczę, dalibóg, że ochrzczę!
Usalmonuję ciebie.

Głośno.

Przewielebny,
Już noc, Lech teraz śpi.

Święty Gwalbert.

Pokaż mi drogę,
Ja go obudzę.

Śluz.

Pomyśl! to lew srogi,
Gotów się rzucić na ciebie i poźrzeć.

Święty Gwalbert.

Więc mi to będzie wieniec męczennika.

Śluz.

Staruszkę, ty masz oczy bazyliuszka
W świętym czerepie, mnie oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży,
Choć za to można jak nic zgubić głowę,
Lecz na usługi twoje jestem gotów.

Święty Gwalbert.

Uczyń to, uczyń, a nagroda w niebie.

Ślaz.

Więc mi oddadzą w niebie moją głowę?
Ja wcale innej nie żądam nagrody,
Ja moją głowę bardzo kocham, cenię;
Jeśli przyrzekasz, że jak głowę stracę,
To ją odzyskam, pojde budzić Lecha.

Święty Gwalbert.

Przeczuwasz prawie święte pismo Boże.
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.

Ślaz.

Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?

Święty Gwalbert.

Głowa jest niczem, gdzie chodzi o duszę.

Ślaz.

Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale niema bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę niż duszę.

Święty Gwalbert.

Nędzni'ku!

Ja ci dowiodę, że światowe szczęście...

Ślaz.

Ty mi dowodzisz a twój Derwid ginie.
Lepiej-że moją zbroję weź na siebie
I postój za mnie na straży przy bramie,
To pójde Lecha obudzić i wróce.

Święty Gwalbert.

Rycerzu, daj mi zbroję i zbudź Lecha.

Ślaz.

Stój-że tu, stary, dzida w ręce prawej
Przeciwko wrogom, tak... hełm na łysinę.

Na stronie.

A teraz-że mu zamknąłem przyłbicę.
Jeśli otworzy, będzie mądry.

Głośno.

Stój tu...

Jeśli spytając: Kto? odpowiedz: Salmon.
Ja jestem Salmon... Za chwilę powrócę.

Wykrada się za bramę zamku i ucieka.

Święty Gwalbert, w zbroi, chodząc wielkim krokiem.

Więc-że to, Boże, i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie, dobrzy, choć poganie.
Otóż włożyłem rycerską kolczugę,
Najświętsza Panno, patrz na twego sługę.
Oto jak rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym Gedeon w szyszaku,
Trąbą mi teraz tylko walić mury
I piorunować grzeszniki i króle.
Cóż to za zbrojni ludzie z latarniami?

Lech i Sygoń, z latarniami, zbrojno.

Lech.

Tu był na straży Salmon.

Święty Gwalbert.

Jestem Salmon.

Lech.

Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił.
To jakiś możny jest czarownik. Mówisz,
Że jesteś Salmon; Salmon straci głowę,
Jeśli się wyda, że nie jesteś Salmon.

Święty Gwalbert.

O! nieba... jestem Salmon.

Lech.

Patrz no, Sygoń,
Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,

Króciutkie nogi w łapciach z pod puklerza,
 To jakiś możny dyabeł, możny dyabeł.
 O! czarowniku, jeżeliś ty Salmon,
 Po śmierci w ciało ubrany dyabelskie,
 To na kawałki potnę twoje ciało,
 Aż dusza twoja w ogniu gorejąca
 Nie będzie miała w co się ubrać... broń się!

Napada z mieczem.

Święty Gwalbert.

O! panie! ja nie Salmon!

Lech.

Któż ty taki?

Święty Gwalbert.

Nazywają mnie powszechnie Gwalbertem,
 Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę,
 Bo ja nie umiem tej klatki otworzyć.

Lech.

To tak jak tamten. Wymówka ta sama.
 Nędzniku, wzięłeś na się inną postać;
 Przebiegły jesteś... włos ci czarny zbielał;
 Jam ciebie chudym widział przed godziną,
 Teraz żołądek masz pełny, i może
 Płonących węgla masz pełny żołądek.
 Na Boga! czarów nie będę igraszką.
 Do mnie, rycerze.

Klaszcze, wchodzi kilku rycerzy.

Weźcie tego dyabła.

Sygoń, niech rzuca go węzom, do wieży.

Święty Gwalbert.

Święta Maryo! broń twojego sługi.

Żołnierstwo wynosi świętego Gwalberta, który krzyczy i wyrывa się.
 Sygoń wychodzi za nimi. Na krzyk starca wbiega Gwinona.

Gwinona.

Co to jest za zgiełk? co to są za krzyki?

Lech.

Kazałem węzom rzucić czarownika.
Ten Salmon, żono, to był zły duch mocny.

Gwinona.

Węże niegłodne, dziś jadły człowieka.

*Sygoń wraca.**Lech.*

Sygonie! cóż to, powróciłeś blady?

Sygoń.

Panie! powracam z nad węzowej wieży.

Gwinona.

I tam widziałeś poszarpane członki
Człowieka, w paszczy węzowej trzeszczące?
I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?
I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,
Która nad straszną wieżą nachylona,
Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,
Skrzydełek tylko lekkim trzepotaniem
Okazywała strach?

Sygoń.

Ja tam widziałem
Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.
Przy wieży biała księżycem dziewczica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W krąg stoją węże tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną;
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne;
Ale już widać, że jej białe ręce
Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy
Z życiem harfiarki w głodnych węzów paszczy.

Gwinona.

Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...

Sygoń.

Pusta.

Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary.
Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
Są słuchaczami córki.

Gwinona.

Zwyciężyła!

Dobądźcie z wieży starego Derwida.
O! głupie węże! o! przekłête gady!
Córce odebrać harfę i wypędzić.
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;
Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.
Czy go nakarmi córka, zobaczycie.

Sygoń.

A z tym Salmonem co zrobić?

Lech.

Zamknąć go

W jednym więzieniu z Derwidem... zamorzyć;
Oba są warci zgonu czarownicy.

Wychodzą.

Chór dwunastu harfarzy.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słyhać dźwięk tej harfy cudu,
Co węzom dała łyzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala,
Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzuca was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc się hańba leże?

Już czas wam wstać!

Już czas wam wstać i bić i truć orężem.

A K T IV.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

*Lech, Gwinona, Gryf. Wchodzi Lilla Weneda.**Lilla Weneda.*

W niezawiazanej przychodzę koszuli,
 Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
 Lecz wy mnie puście do ojca mojego,
 Który od dwóch dni jest morzony głodem.
 Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią,
 Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnani.
 Dlatego głowę ubrałam w lilije,
 W te wodne kwiaty, które u nas kładną
 Dziewicom zmarłym na ostygle czoła.
 O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
 Ja biedna zimne węże rozczuliłam,
 I tak się do mnie gady przywizały,
 Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
 Jak pies wyjący smutnie z przywizania.
 I cóż ja winna, że węże wołały
 Słuchać mej pieśni niż mojego płaczu?
 A żem ja węże zimne rozczuliła,
 Dlaczegoż w tobie powiększyłam srogość?
 Czy ty zazdrościsz mi, pani, zwycięstwa,
 Które mi ojca mego wybawiło?
 O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
 A ja go będę na śmierć skazywała,
 A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
 Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni.
 Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,
 Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
 A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
 W czoło chcę tylko pocałować zimne,
 Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
 Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.

O! patrz! koszula moja niezwiązana,
Nie niosę chleba, ani żadnej strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci za mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje?... O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... Ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, kaźcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego.

Lech.

Gwinona,

Na Boga, te łzy miecz mi rozhartują.

Gwinona.

I ty jej wierzysz? to są łzy zmyśłone,
Ona dwa razy tak płakała głośno,
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieję ze mnie, jeśli ojca zbawi.

Lech.

I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

Gwinona.

Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią;
Więcej on strącił koron z głów posępnych,
Niż ci się zdaje; o! śmiech to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kasa, kasa, do krwi kasa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie waży;
Ci ludzie mają królestwo nad temi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani.

Lilla Weneda.

Królowo! czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niem jaskółka uwinęła gniazdo:
Więc ty masz litość: a czy kto się śmieje,
Że ty masz litość nad jaskółką? Pani!
Więc ja znalazłam w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, pani, zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te splakane oczy,
A potem zlituj się nade mną ślepą
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.

Gwinona.

Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.

Lilla Weneda.

O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.

Gwinona.

Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jej morzony głodem.

Lilla Weneda i Gryf, wychodzą.

Lechu! na twoją to zrobiłam prośbę.
Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?

Lech.

Gwinono, syn nasz w niewoli.

Gwinona.

W niewoli?

Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?
Nie... ty mię straszysz... Nie wiesz sam, co mówisz.
On mi się dzisiaj śnił... O! Boże! Boże!
Na syna mego zgubę pracowałam.

Syn u Wenedów, Lechon u Wenedów!
Lechon... on nie ma takiej córki!

Lech.

Żono!

Ja go odbiję.

Gwinona.

Trupa ty odbijesz!

O! Lechu, na koń! na koń! na koń, Lechu!
Wszyscy rycerze! zbierz wszystkich rycerzy!
Jeśli wróćcie żywi bez Lechona,
Ja się zabiję... będę plwała w oczy!
Ja się zabiję... Cóż, wy tchórze? na koń!

Wybiega.

Lech.

Niech się wykrzyczy, krzyk nic nie pomoże,
Dziś za mego Lechona stu trupem położę.

Wychodzi.

SCENA II.

Błonie.

Ślaz, wchodzi.

Moja nieboszczka matula mówiła,
Że kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo,
Co mi matula mówiła o kłamstwie —
Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tem fortunę:
Umarła goła jak Lazarus, a ja
Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
Na wieki wieków; to szczęście, że jakoś
Mojego pana zrobiwszy Salmonem,
(Niechaj mu światło wiekuiste świeci!)
Uciekłem z zamku i dobrze się stało.
Gwalbertus, mój pan, został męczennikiem
I pod imieniem świętego Salmona
Króluje w niebie, więc dobrze się stało.
Lecz to jest kwestya... quomodo uniknąć

Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
 Już próbowałem chrześcijańskiej paszy,
 Już próbowałem rycerskiego chleba,
 I zawsze chudy jak słomka... więc ergo,
 Pan Ślaz niech rusza do dziczy — rzecz prosta!
 Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
 W jakim kolorze? W kolorze Wenedów.
 Jako szpieg? a fuj — nie szpieg, lecz nowiniarz,
 Zemsty nowiniarz, blekotnik nowiniarz;
 Człowiek ognistej mowy, krwawych zębów
 I czerwonego języka... więc ergo,
 Gdy zapytają: czy widziałeś Lecha?
 Widziałem; a co robi?... Gdy go widział,
 To jadł Weneda z solą. A Gwinona?
 Gwinona we krwi się dziątek kąpała.
 A cóż się stało z naszym starym królem?
 A ja pokażę tak: język wywałę
 I zamknę oczy: wasz król est finitus.
 A jego córka? A ja lzy jak z wiadra
 Popuszczę na to i nic nie odpowiem,
 Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo,
 Takie żałosne kłamstwo, że uwierzą
 I jeść mi dadzą... za to, że się spłakał.

Wychodzi.

SCENA III.

Sala w zamku Lecha.

Lech, Gwinona, Rycerze.

Lech.

Na Boga! bądźże cierpliwą! na Boga!
 Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.

Gwinona.

Ty gadasz! a tam mój syn roztargany?
 O! straszna! głupia jest cierpliwość twoja!
 Jak nienawidzę w ludziach cierpliwości!

Często im wcale czekać niepotrzeba,
Ale dlatego, że ktoś prosi: *śpiesz się*,
To oni różne wynajdują zwłoki,
Aby pokazać wyższość i rozwagę,
I nad pałacem się sercem panować.
Lechu! czy wiesz ty, ile chwil potrzeba,
Aby zabito bezbronnego jeńca?
Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
O! Lechu, jeśli mój syn biedny zginie,
To w dzień i w nocy będę ci krzyczała:
Tys syna twego zabił cierpliwością!
Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwą,
Cierpliwie będę ci kasała serce;
We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość... o! kacie!
O! kacie twego nieszczęsnego syna!
Ach! Boże, daj co gryźć mojemu sercu,
Bo jabym teraz serce męża gryzła.
Ja wiem, co powiem: Lechu! jesteś tchórzem!

Lech.

Tchórzem nie jestem.

Gwinona.

Więc ojcem nie jesteś!
Czemże ty jesteś? ... kawałkiem żelaza?

Lech.

O! tego nadto! nadto! ... Ty dotychczas
Byłaś w domostwie samowładną panią,
Jam ci ulegał, bojący się wrzasku,
Ty napełniałaś mój dom okrucieństwem.
Na Boga, już mi to się wreszcie nudzi.
Rycerzy moich garsteczka maleńka,
Podjazdem i te siły rozerwane;
A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.
Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;

Tam są Letoni, co na hełmach noszą
 Rogi żywemu wyrwane turowi;
 Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,
 Co głowy jako szczygły ubierają
 W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
 Migocące się niosą pióra pawie;
 Nad temi tłumy dwunastu harfiarzy;
 Nad harfiarzami straszna prorokini,
 Na samym szczycie ludzkiej piramidy
 Błyskawicami gadająca — a ja
 Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?
 Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczętu?
 Nie czekać, aż mi w noc błyskawicową
 Z nieba lejące pomogą pioruny?
 Szalona jesteś... szalona, kobieto!

Gwinona.

O! widzę, że już ciebie nie przełamie!
 Widzę już! widzę mego syna trupem!

Lech.

Syn twój powróci, syn powróci, nie płacz.

Gwinona.

O! jużem ja go teraz opłakała.
 O! rozpacz! rozpacz!... o! rozpacz! on skonał.

Lilla Weneda wchodzi bez wianka liliowego na głowie.

Lilla Weneda.

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
 Mój ojciec do mnie należy, królowo!
 Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wienca,
 W lilijach było mego ojca życie;
 Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
 Jego zbawieniem ukoronowana.
 Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
 Lilije wodne nas od głodu bronią,
 Ilekróć zboże roku nie dotrzyma.
 Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały

Zdziecinnialemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój!... jam go zbawiła.
Iechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

Gwinona.

Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mię przyszła zagłuszyć radością;
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja nieszczęsna myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpacz, i
To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu.
Weź ojca swego! weź!... ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości.
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
Miodem litości... a sosen szumowi
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O kaźcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.

Rycerzy kilku wychodzi.

Lilla Weneda.

Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra.
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła;
Ale że ty mi dałaś mego ojca.
Obaczysz! jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

Derwid wchodzi i rycerze.

Ojcze, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcze, chodź na słońce,
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowa,
Chodź, ojcze!... Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

Derwid.

Córko! a moja harfa?

Lilla Weneda.

O! królowo!

Widzisz, mój ojciec cały drży z radości.
 Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
 Że ci nie może dziękować oczyma,
 Więc ja za niego leję łzy... i jeszcze
 Za ojca mego muszę być natrętną:
 Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
 Którą mój ojciec miał od swego ojca;
 O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

Gwinona.

Przynieście harfę, którą ja kazałam
 W cedrowej skrzyni uśpić rozplakaną.

Lilla Weneda.

Ojczy, ty harfę mieć będziesz.

Derwid.

Oddała?...

Gwinona, na stronie do Lecha.

Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
 To z jego powiek wybiegły czerwone
 Dwie łzy, ogromne łzy, — czy uważałeś?
 To były straszne łzy...

Lech.

I cóż, kobieto?

Gwinona.

Co?... nie rozumiesz... Córka albo harfa
 Zostanie tutaj zakładnicą... widzisz,
 Ten człowiek musi wybrać między dwiema,
 A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną:
 Rozumiesz? Gdyby nie te łzy czerwone,

Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.

Lech.

Już widzę, już widzę.

Gwinona.

Milcz.

Do Derwida.

O! Derwidzie, czy, Wenedzi macie
Nienasycone serca... Przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba...
Lecz teraz w miarę łask żądania rosną,
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał...
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...

Derwid.

Każ odprowadzić mnie więc do więzienia;
Trupy się nie mszczą.

Gwinona.

O! twardy człowieku,
Nigdyż twoje serce przede mną nie zadrży?

Derwid.

Wyjm je i zobacz.

Gwinona.

Ja ci daję wolność...

Derwid.

I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe,
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Że mnie przed tobą powalą?... Nie, jędo!
Nie! nie! nie!... Cóрко, daj mi rękę... Jędo!
Przed tobą skonam stojąc i zastygnę,

Wtenczas tve dziecko mnie paluszkien trąci
I padnę... padnę... ale pókim żywy,
To jestem równy tobie... król i człowiek.

Gwinona, do wnoszących harfę.

Postawcie przy nim bliżej harfę złotą,
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.

Stawiają harfę przy Derwidzie, Starzec jedną rękę na harfie,
drugą kładzie na głowie córki,

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem;
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały... obie jak córki... o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie... i będzie zakładem.

Derwid.

Córko! co ona mówi?

Lilla Weneda.

Ojcie drogi,
Ta pani harfę ci oddaje złotą.

Derwid.

Tę harfę?

Lilla Weneda.

Ojcie, harfę.

Derwid.

Już oddała?

To chodźmy córko.

Lilla Weneda, do *Gwinony*.

Pani, ja powrócę,
i będę twoją niewolnicą... Ojcie!
Chodźmy już.

Glotuona.

Harfę porzucasz, Derwidzie?...

Lilla Weneda.

Nie mów tak głośno... jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś... zlituj się nade mną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.
Serce mi pęknie i będziesz tu miała
Trupa, nie córkę, o! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie,
Lecz wszystkie pękną od razu z bóleści
Jednym wyrazem ojcowskim stargane...
I nad nim także litość miej i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!

Gwinona.

Będziesz li zawsze jak mała ptaszyna
Skrzydółkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeśli wyrzekła... to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, że je gryzła?
Wytlómacz ojcu sama, czego pragnę.

Lilla Weneda.

O! nielitosna... Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecko.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze...
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze,
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz, kochaj...

Derwid.

Niebiosa!... córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku,

Chodź i ślepego prowadź. Córko... prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd... Córko, a harfa?

Lilla Weneda.

O! harfa skarży się, żeś ją opuścił.

Trąca o struny.

Derwid.

Harfa się skarży na mnie?

Lilla Weneda.

Ojcie, jęczy.

Derwid.

Jęczy!... Gdzie moja harfa?... czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozplakanej
Stoi przede mną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba... Ha!...

Lilla znów porusza struny.

I znów.

Słyszycie! harfa jęknęła... słyszycie?

O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!

Dajcie, to córka królów rozplakana.

Chwyta harfę, obejmuje i ucieka.

Gdzie drzwi?... rycerze, gońcie mnie z mieczami!

O! ja tej harfy nie dam... Harfy nie dam!

Pada piersią na harfie.

Lilla Weneda.

Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.

Wstań, dobry ojcie... O! patrzcie! o patrzcie!

Usta położył na strunach, całuje,

A te niedobre struny i niewdzięczne

Usta mu krwawią... O! struny! o! struny!

Wy nie jesteście córkami... Królowo,

Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli

Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę

Dlatego, że mnie ojciec mój porzucił,

O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość
Wyrywa z oczu moich łzy, to radość.
Niechaj nikt ojca mego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec liliami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.

Gwinona.

Odebrać starca od harfy.

Lilla Weneda, podnosząc ojca.

Widzicie,

On już łagodny jak baranek.

Gwinona.

Starcze!

Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim, a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.

Derwid.

Harfa?

Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

Lilla Weneda.

O! pani!

Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami,
Oddaj mu harfę, a mnie weź. Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy... tylko odprowadzę ojca,

A sama wrócę; a że ja powrócę,
 To niech ci harfa ta będzie zakładem.
 Ale przysięgnij, że za niewolnicę,
 Królowną harfę wypuścisz z niewoli;
 A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
 Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
 O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

Gwinona.

Jakiż mi zakład z córki niekochanej?

Lech.

Na Boga! dosyć, Gwinono! już dosyć!
 Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
 Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
 To weźmie harfę, Lechona i moje
 Błogosławieństwo; jeśli wróci sama,
 To i tak za nią, przysięgam na bogi!
 Oddasz kawałek płaczącego drewna.

Gwinona.

Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

Lilla Weneda.

Dzięki wam! dzięki! — Ojczy, dziś wieczorem
 Harfę ci twoją postawię do grania.
 Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
 A teraz... o! królowie, do widzenia.
 Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica.
 Chodź, dobry ojczy.

Derwid.

A harfa?

Lilla Weneda.

Ta idzie

Za nami, ojczy.

Do Lecha.

Szlachetny rycerzu!

W twojem więzieniu został smętny starzec,
 Także niewinny. Odchodzi z ojcem.

Lech.

Ha... to ten czarownik.

Sygonie, każ go wypuścić na wolność.
 W ludziach anielstwa tyle, że nie można
 Traktować jak psów... wypuścić go z wieży.
 A teraz chodźmy stroić się do walki.

Wychodzi.

Gwinona.

Położcie harfę w skrzyni cedrowej... ta harfa
 Dla mnie jest teraz Lechonem... Nie kładźcie
 W tej trumnie z drzewa harfy... bo pomyślę,
 Że syn mój drogi, Lechon, w trumnie leży;
 A jeśli stanie się jakie nieszczęście
 Z mojem kochanem dzieckiem, to przypomnę
 Tę harfę w trumnie i będę myślała,
 Że sama syna położyłam w trumnie.
 Natura może stąd wziąć pochop i to
 Wtrumnienie harfy strasznie naśladować
 Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną.
 Okropny zachód słońca — i te mury
 Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie,
 Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą.
 Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.

Wychodzą.

SCENA IV.

Grota wróżki, oświecona czerwonym blaskiem.

Róża Weneda stoi przy otworze grotty i do zachodzącego słońca
 śpiewa runiczną inwokację. — *Dwunastu Harfarzy.*

Róża Weneda.

Do krwi, złote słońce! do krwi, słońce!
 Ty, ostatnie słońce, we krwi gaśnij!
 Tu na walkę, wrony! kruki! orły!
 Tu na walkę, psy wyjące smutnie!
 Tu na walkę, chmury z piorunami!
 Tu, szumiące wichry!... słońce, gaśnij!

Kruki! orły, wichry i pioruny,
Dajcie hasło! chmury, dajcie hasło!

Słychać daleki grom.

Harfiarz.

Grom usłyszał i odzywa się głucho.

Róża Weneda.

Do mnie! do mnie! do mnie! tu, pioruny!
Tu, nad głową moją jako wieniec.
Niech ja mściwa z was mam włos — pioruny!
Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
Gdy za ojca mego stanę tronem,
Słuchająca jęków i czerwona
W krwi wyziewach, w koronie z błyskawic.

Harfiarz.

Cóż ci mówią wróżby? cóż wyrzekły?

Róża Weneda.

Człek na człeka jak pies pójdzie wściekły.
Grom czerwony się gryźć będzie z błękitnym.
Krew poniesie z sobą tron Derwida
I król będzie płynął z harfą, z tronem,
Jako kawał kry.

Harfiarz.

O! biada! biada!

Róża Weneda.

Okropniejszą rzecz widziałam blada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucał,
A pioruny je paliły w powietrzu.
Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.

Harfiarz.

Cóż wyrzekły wróżby, powiedz, straszna!

Róża Weneda.

Wczoraj kości warzyłam na polu,
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych,
Pomazałam krwią zamknięte oczy...
I nagle!
Widmo straszne wyszło z ognia do mnie
I zawiodło mnie na walkę duchów.
Słuchajcie!
Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle jako trup zawarła,
Spadła na nią iskra piorunowa;
I ta głowa smętna, już umarła,
Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
Rozpłakaną tułowu koronę.
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się jak od gasnącej główki,
Od półmartwej osoby.
I tam stali ludzie w szyku, równi,
Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: giniemy!
I tysięcy sześć... nietkniętych żelazem...
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł... Nadeszłam z nożem...
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta
I rozciąłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca... I pierś trzecią rozdarłam
I pojrzałam w nią... lecz była pusta!
I nie było w niej serca! Jak chusta

Zbladłam we śnie i we śnie umarłam,
Widząc, że w niej serca nie było!

Harfiarz.

Cóż to znaczy?

Róża Weneda.

Nad naszą mogiłą
Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

Dwunastu wodzów wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach turze, drudzy jelenie mają rogi, u innych tylko pióro pawie lub czaple. Pancerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach.

Róża Weneda.

Oto wodzę są... Cóż piorunowi?
Wiele ludu?

Wódz.

Dwanaście tysięcy.

Róża Weneda.

Pijcie z czaszek tych i bladej śmierci
Urągajcie się, pijąc -- niech wyje.

Wódz.

Cóż ci mówiły wróżby?

Róża Weneda.

Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą na kamiennym tronie
Zagra pieśń, owę straszną pieśń, od trzech pokoleń
Niesłyszana; to przy nas zwycięstwo.

Wódz.

Twój ojciec

I harfa jego złota w niewoli.

Róża Weneda.

Bez wiary!...

Ojciec mój na tronie czarnym stoi
Za swą harfą, jak za słońcem czerwonym.
Każdy harfy ton jak rycerz w zbroi

Na rumaku wybiega szalonym;
 Jako rycerz-duch głos każdy leci,
 I obala z rumakami rycerzy.
 Ile strun, tyle węzów wybieży
 Z harfy ojca i oczyma zaświeci,
 I skrzydłami ognistemi okręci
 Wojsko Lecha.

Wódz.

Gdzież wódz jest dwugłowy?

Róża Weneda.

Nie wierzycie mi, ludzie przekłęci?
 Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
 W kręgu trupich głów wodza postawię.

Wódz.

Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

Róża Weneda.

Ty, co nosisz złote piórko pawie,
 Migocące od pierwszych błyskawic,
 Odwał kamień, ten kamień olbrzyma...
 Cóż? nie możesz?... Więc dwanaście prawie
 Niech ten kamień odwali... choć ruszy.

Wodze.

Nie możemy.

Róża Weneda.

Więc rękami go duszy

Ja podniosę... i niech idzie do piekła.

Wodze.

Cudy! słowo zakłęte wyrzekła
 I ten kamień wstał.

Róża Weneda wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu
 i wyprowadza Lelum i Polelum, przykutych łańcuchem do siebie.

Róża Weneda.

I wódz się zjawił.

Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,

Z dwóch uczynił jednego człowieka...
Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka...
Włożę wam zbroję.

Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja
jak jednego rycerza... Tarcza olbrzymia na rękę Lelum zawieszona
obu braci zakrywa. Polelum w prawą rękę, wolną od łańcucha,
miecz bierze... Róża Weneda, zawieszając tarczę, mówi do Lelum:
Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

Do Polelum.

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą...
Biada! kto swego nie dopełni! biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żalorny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi
Jedna zostanie żalność w tej ojczyźnie,
Nierozróżniona, jako w sercu matki...
Krwi! krwi ofiarnej!

Polelum.

Weź z mojego łona.

Róża Weneda.

Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.

Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę Lechona.

To syn królewski. Patrzcie! jaki blady.

Lechon.

Zlitujcie wy się ludzie mej młodości!
Ta grota pełna przerażeń i wasze
Twarze są blade i przygotowane
Do zemsty. Wiem ja, że wy macie prawo
Mścić się nade mną i odebrać życie:
Lecz gdyby tutaj była moja matka,
Królowa dumna i sroga kobieta,
Onaby was tu przekonała łzami,
Że ja potrzebny jestem na tym świecie

Jak słońce, księżyc... jej i wam potrzebny.
 Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
 A życie moje jeszcze może zdać się...
 Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!
 Król wasz u mego ojca niewolnikiem,
 Za syna swego ojciec odda króla;
 Za mój włos każdy da wam ziemi włokę...
 A patrzcie, jakie ja mam gęste włosy;
 Matka je moja nieraz całowała...
 Czy tu nikt niema matki?... A więc jeszcze
 W sierotach większa być powinna litość.

Róża Weneda.

Krwi tej nie wezmę... za podła. Idź jęczeć!

Wpycha Lechona do lochu.

Czerwienszą znajdę krew w sercu gołębia.

Ślaz wchodzi wprowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy.
 Cóż to za człowiek?

Ślaz.

Ja tu dobrowolnie

Przychodzę, proszę wierzyć... dobrowolnie.

Róża Weneda.

Lechitą jesteś?

Ślaz.

O! gdyby nie respekt
 Dla was rycerze, i dla tej mocarki,
 Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie,
 Że ja pies... dobrze; mówcie, że ja sowa...
 Dobrze; mówcie, że bocian... doskonale!...
 Lecz mówić, że ja Lechita!... mnie?... w oczy!...
 Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
 Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
 Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
 Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
 Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
 Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

Zwyczaj przysięgać in *verba magistri*?
 Owczarstwo? ... czy to wszystko mam na twarzy?
 Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą,
 Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

Róża Weneda.

Milcz.

Do Wenedów.

Gdzie pojмалиście tego człowieka?

Rycerz Wened.

Dążył od strony Lechitów i wiele
 Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
 On widział króla naszego Derwida
 Zameęzonego, siostrę twą zabita.

Róża Weneda do Ślaza.

Piekielny! kłamiesz.

Ślaz.

Knę się na te czaszki,
 Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę;
 Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
 Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę.

Szlochając.

Ten król szanowny! ten starzec sędziwy!
 Ta niebotyczna królewna! ... miecz dajcie,
 Jeśli potrzeba wodza -- będę wodzem;
 Jeśli człowieka tylko trzeba -- jestem;
 Jeśli tygrysa, adsum; jeśli księdza --
 Do usług; jeśli Ganimeda -- zgoda.

Róża Weneda.

Mówisz o zemście? ... tu zemsta pod ziemią.

Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechon zamknięty.

Polelum.

Lelum, noc blizka.

Lelum.

Umarła — słyszałeś.

Cicho, mój bracie, zda mi się, że duch jej
 Tu, na łańcuchu stoi między nami
 I lekką śmierci dłoń na głowy kładnie.
 Czy ty nie czujesz umarłej dotknięcia?
 Ona tak pójdzie z nami w bój okropny
 I serca nasze przejrzawszy do głębi,
 Pogardzi, jeśli serca zadrzą strachem.
 O! Lillo! tobie ślubuję dziś duszę!
 Ducha ty weźmiesz ulatującego.
 O! śmierci! śmierci! krwawej śmierci, Boże!
 Jakże to łatwo być odważnym w boju!
 Nieszczęśliwego Bóg nie robi tchórzem.
 Gdzie są harfiarze? niech idą za nami
 Z harfy złotemi... nie trzeba harfarzy!
 Umarli lepiej widzą i śpiewają
 Tę pieśń o sercach strzaskanych boleścią,
 O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach.
 Oni jedynie wiedzą, ile warte
 Życie człowieka, ile ulatuje
 Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
 Które trzaskają ciało bohatera.
 Już o umarłych tylko dbam i Boga,
 O nic na ziemi.

Róża Weneda wychodzi z lochu z dymiącym się nożem.

Róża Weneda.

Patrzcie! nóż czerwony
 W sercu Lechona był... patrzcie, czerwony,
 Pomażę sobie brwi tą krwią... zobaczę
 Dusze umarłych — i wy zobaczycie...
 Tam w zczerwienionej ciemności powinni
 Zjawić się krwawi: król harfiarz z dziewczyną;
 Lecz kto przemówi do umarłych, skona.

Wchodzi Derwid i Lilla Weneda.

Widzicie! o! widzicie idą trupy!
Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.

Lilla Weneda.

Przyprowadziłam wam ojca z niewoli.
Oto wasz ojciec.

Derwid.

Cóż to? nie poznali?
Posadź mię, córko moja, na kamieniu,
Cóż?... nie poznali!

Róża Weneda.

Bez harfy przyszedłeś...

Derwid.

Niebiosa!

Zrywając się.

O! ja przyszedłem bez oczu!
Wydarte moje oczy płakać będą,
Jak się dowiedzą o tem. — O! gadzino,
Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? Lilla, daj rękę,
Prowadź mnie dalej.

Lilla Weneda.

Gdzie, ojczy?

Derwid.

Do węzów,

Które ty pieśnią tak ułaskawiłaś,
Że mi nie będą gryzły serca.

Lilla Weneda.

Ojczy!

Derwid.

Gadzina córka; gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze oczy
I włoży w moją czaszkę swoje oczy;
A teraz widzę, że mi wydrze serce
I włoży w swoje piersi puste. — Harfo!

Ty jesteś harfą bez strun! czarownico!
Tak witać ojca? Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości;
A ty, jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dziobem
Wyjadasz mi łzy czerwone, ostatnie
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie...

Róża Weneda.

O! bogdaj mię piorun!
Bo ty bez harfy przyszedłeś o! królu!
I dziś upadniesz na stos... bez królestwa.

Lilla Weneda.

Nie, on zwycięży dziś, bez młodszej córki.
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży.
Widzisz, płaczący usiadł na kamieniu
I duma jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką. Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie.

Róża Weneda.

Co mówisz?
Harfę odzyskasz... jak?

Lilla Weneda.

Za harfę złotą
Sama się oddam Lechom... i zostanę.

Róża Weneda.

Więc idź, bo harfa zwycięży.

Lilla Weneda.

O! siostrze,
Jeśli chcesz harfy... i mnie pragniesz widzieć
Żywą... Lechona mi daj niewolnika!
Za mnie królowa wydać obiecała
Harfę — a moje życie da za syna.

Róża Weneda.

Więc zginęliśmy, bo Lechon zabity.

Do Ślaza.

Kłamco ohydny! rzucić go ze skały.

Lilla Weneda.

Nie plamcie wy krwią tej godziny smętnej
I mej śmiertelnej koszuli... Ten człowiek
Niech idzie ze mną po harfę.

Róża Weneda.

Co mówisz?

Ty nie odważysz się wrócić do Lecha.

Lilla Weneda.

O! siostro moja, jam się obeznała
Ze śmiercią; wierzaj, ja wam harfę przysłę,
Mówisz, że harfa ta wam da zwycięstwo?
O! zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi!

Kłęk przed ojcem.

Ojczy! błogosław mi — może nie wrócę,
Ale ci lutnię swoją przysłę złotą;
A jeśli jaka struna z najmniejszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze.

Wstaje i do Ślaza mówi.

Chodź ze mną, człowieku,
Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.

Wychodzi ze Ślazem.

Róża Weneda.

Zwycięstwo!

Ten starzec usnął, córki swojej płaczem
Ukołysany... patrzcie! Cóż jest ojciec!!!
Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
Zwycięstwo! Sto serc ludzkich... za zwycięstwo!

Wychodzą.

Chór. — Dwunastu harfarzy.

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku!
 Nim zemsty straszna noc jak piorun błysnie!
 Oto zwycięstwa moc w gołębki ręku;
 Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie;
 Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema
 I głośniej grać... niż mrący ludzie jęczą;
 Tu wróżka z krwią na rzęsach stoi niema
 I słucha, jak na mieczach miecze brzęczą;
 I widzi strasznych czynów ludzkich końce,
 Przeczuwa boży sąd... A gdy noc głucha,
 To z wiary mrącym ludziom robi słońce,
 Woła piorunów, patrzy, jak biją... i słucha.

A K T V.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha oświecona od gęstych piorunów.

Lech, Sygoń, Święty Gwalbert.

Lech.

Na koń! straż przednia pierzchła.

Święty Gwalbert.

W imię krzyża

Dajęć zwycięstwo.

Lech.

W czyjekolwiek imię,
 Biorę, gdy dajesz; jeśli nie dasz, wydrę.

Święty Gwalbert.

Każ mi dać konia, bo dzisiejszej nocy
 Najświętsza Panna, w celi mej spalona,
 Objawi mi się nad najświętszym trupem,
 Nad krwią najbardziej Bogu ukochaną.
 Każ mi dać konia.

Lech.

Ha, pioruny biją.

Jakby się walił świat... Straż przednia pierzchła,
Hej! miecz Rolanda...

Wchodzi Gwinona w żałobie.

Moja czarna żono...

Siedź w zamku... i każ wieżycom na czole
Położyć gwiazdę z ognia... Ile razy
Pioruny zgasną, a we krwi utonę,
Wyłynę z koniem ku twemu ogniovi.
Pocałuj dzieci... Uspić je musiało
Parne powietrze.*Gwinona.*

Arfon się piorunów

Lęka i płacze.

Lech.

Czy chory?

Gwinona.

Zalękły.

*Lech.*Na koń, rycerze, a ty zamknij okna,
Żeby nie wleciał tu na miejsce męża
Piorun czerwony. Lechici, do broni!

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

Gwinona.

Chodźcie tu, dziewczki, bo mi samej straszno!

Wchodzi dziewice.

Czy która bajek nie umie? niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę.
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła...
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję... Ach! jak mi okropnie!
Wy także wszystkie jesteście strwożone,

Jak białych stado łabędzi. Tej nocy
Coś okropnego stanie się... Dziewczęta,
Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

Dziewice wychodzą.

W powietrzu jakiś straszny piorunowy
Zapach i dziwne skargi i płkanie,
Jakby się skarżył mój syn opuszczony
I wołał: matko! matko! matko!... ha! ha!

Wchodzi Lilla Weneda.

Czy syn mój przyszedł z tobą?...

Lilla Weneda odpowiada gestem rozpacz.

Nie dręcz ty mię,

Ale odpowiedz prosto, że zabity,
A jeśli żyje, odpowiedz, że żyje;
A ja wygryzę twe błękitne oczka
Pocałunkami... O! powiedz, że żyje.
Lecz jeśli? jeśli mój syn?...

Lilla Weneda.

Ty okropna...

Gwinona, zbliżając się wściekle, lecz zwolna.

Jeśli już?... mój syn... już...

Lilla Weneda.

Przy bramie czeka...

Gwinona.

Mój syn!

Lilla Weneda.

Na harfę moją czeka człowiek.

Gwinona.

Harfiarko.

Chwyta ją za szyję.

Lilla Weneda.

Pani sroga, ty mię dławisz!

Gwinona.

Harfiarko!

Lilla Weneda.

O! o!

Gwinona.

Krzycz! krzycz! krzycz! harfiarko.

Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę.

Krzycz, uduszona... A co?... już bez ducha!...

Do mnie, dziewice! do mnie... trup jest ze mną.

Wbiegają dziewice.

Dziewica.

Jakie to wrzaski?

Gwinona.

Co?

Dziewica.

Tu coś upadło?

Gwinona.

Ten trup.

Dziewica.

Okropność! okropność! okropność!

Gwinona.

Okropność... to ja udusiłam wstążką...

Czy się boicie tknąć rękami trupa?

Ha?...

Dziewica.

Uduszona?

Gwinona.

Oni mi zabili

Syna...

Dziewica.

O! biedne! bielutkie stworzenie!

Cóż ci zawinił biedny gołąbeczek?

Pozwól przynajmniej, że ją ubierzemy

W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcysy;

I zaśpiewamy nad umarłą lament.

O! jak te piersi krągłutkie ostygły!
Jak te nóżeczki zimne zbłękitniały!
Pomóżcie, siostry, wynieśmy ją razem
Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne
Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem.
Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą;
Ona się do nas uśmiecha... Ostrożnie!
Wynoszą ciało Lilli Wenedy.

Gwinona.

Gdym ją dusiła, dziesięć matek było
We mnie zamkniętych... teraz przerażona,
Że wszystkie we mnie syczące gadziny
Ucichły... jestem jak trup... Co uczynię?
Aha... odeślę Derwidowi harfę.
A sama włożę zbroję... w krew się rzucę...
Wychodzi.

SCENA II.

Pole przed zamkiem Lecha.

Ślaz, stukając do bramy.

Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu pioruny
Wybiły ludzi? czy się pan odźwierny
Powiesił? hej! hej!... pies wyje żałośnie.
Mości psie, proszę, przypomnij królowej
Że ja tu czekam na harfę... hej! hej! hej!...
Nikogo... tylko psy żałośnie wyją
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun...
Hau! hau... bogdajbyś zdechł! bogdaj cię piorun!
Hau... hau... czy w panu swoim wachasz trupa?
Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem?...
Brr... aż mi zimno... Cóż to są za mary?

Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodniami. nio-
sąc skrzynię od harfy zamkniętą.

Dziewica.

Człowieku!

Śluz.

Jestem.

Dziewica.

Oto jest w zamknięciu
Harfa Derwida; odnieś ją i powiedz,
Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.

Śluz.

Włóżcie mi, proszę, pudło na ramiona,
Piękne dziewoje.

Dziewica.

A śpiesz się, człowieku...

Wychodzą.

Śluz.

Pełno teraz po drogach ludzkiego rozcieku,
A śmierć pod swoją kosę głupich ludzi garnie,
A pioruny jej świecą z nieba jak latarnie.
To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku...

Wychodzi ze skrzynią na ramionach.

S C E N A III.

Pole walki, noc błyskawicowa.

*Lech i Sygoń wchodzą.**Lech.*

O! mój Sygonie! to walka olbrzymów!
Pioruny przeciw nam; bo tylko słuchaj...
Już przez szeregi napół wyrąbane
Przelatywałem na wskroś... już oczyma
Sięgałem w samo krwawe serce wrogów,
Już byłem wpadał... tam, gdzie pod dębami
Starce, pochodnie, harfy zgromadzone
Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce
W burzę pod gruszą tulące się wiankiem:
Jużem miał w rękach króla... kiedy nagle
Piorun nad głową moją roztrzaskany
Zabił mi konia.

Sygoń.

Panie, rzecz straszniejsza!

Spotkałem czarne straszidło dwugłowe...

Spotkałem wodza Wenedów.

Lech.

Czy straszny?

Sygoń.

Wódz ten dwie głowy ma na jednym ciele,

Czasem się obie głowy razem schodzą,

I płaczą rogi na hełmach ogromne;

Czasem się jedna zaiskrzona ciska

Z wściekłością węża na ludzi... a druga

Patrzy spokojnie i szuka oczyma

Serc w naszych piersiach.

Lech.

Za mną! ja go znajdę...

Wybiega.

Sygoń.

Włos mi osiwił... ale tak okropnej

Nocy za życia mego nie widziałem.

Chorągwie toną we krwi... jedną piorun

Zapalił złotym płomieniem i bladość

Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze...

Lelum i Polelum wchodzą.

Lelum.

Lech! Lech! Lech!

Napadają na Sygonia.

Sygoń.

Wodzu ohydny Wenedów,

Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

Biją się.

Polelum.

Zakręć łańcuchem koło niego... i zwiąż.

Gdy Polelum walczy, Lelum obiega wkoło Sygonia i okręca mu łańcuch na gardle, tak, że Sygoń zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie.

Lelum.

Teraz rozbieżmy się, łańcuch udusi.

Polelum.

Zacharkał... puść go.

Lelum.

Leży uduszony.

Odwijają łańcuch, Sygoń się wali trupem.

Na łuku moim kładź zatrute strzały.

O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby

Jeden jęk tylko harfy Derwidowej,

A z wszystkich byłyby — o takie trupy.

Wychodzą.

SCENA IV.

Pole toż samo.

Lech, Sygoń zabity.

Lech.

Sygoń! tu do mnie! Sygoń! znów zabiłem

Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.

Co widzę! Stary Sygoń leży trupem?

O! zemsta! zemsta!

Wchodzi święty Gwalbert z krzyżem.

Święty Gwalbert.

Jęki króla słyszę.

Lech.

Zdejm z niego zbroję i zobacz, gdzie ranny?

Święty Gwalbert.

Na ciele żadnej nie odebrał rany,

Lecz ma zsiniałą twarz jak powieszony,

Albo zabity piorunem.

Lech.

O zemsta

Nad piorunami!...

Wychodzi.

Święty Gwalbert.

Biedny poganinie,

Chodź, ja dam tobie pogrzeb chrześcijański.

Wychodzi, ciągnąc trupa.

SCENA V.

Monument z druidycznych kamieni w lesie. — Derwid na tronie kamiennym, w około dwunastu harfiarzy na dwunastu siedzi kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia w ziemię zatknięta. Róża Weneda stoi za ojcem na tronie. Dąb Derwidowy na prawo.

Derwid.

Cóż, jeszcze niema harfy, a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącej
Krwi... Jeszcze niema harfy — o! Bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

Wened.

Przybiegłem ranny. Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni.

Derwid.

O! Boże! o! Boże!

Wened.

Ja konam, królu, graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

Derwid, wstając na tronie i rwąc włosy.

Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje — to puch jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane.
O! wichry, rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum wchodzą.

Lelum.

Ojcze, giniemy, graj pieśń.

Dericid.

Idźcie skonać,

Ja nie mam harfy.

Róża Weneda.

Ustąpcie się wszyscy,

Już słyszę harfę idącą, już słyszę...

Uderzcie w tarcze, niech się zejść wodze.

Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.

A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,

A wszyscy, którzy nie usłyszą, pomrą.

Wchodzi Ślaz z harfą w skrzyni.

Ślaz.

Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...

Przynoszę harfę — gdzie postawić?

Róża Weneda.

Daj tu...

O dąb oparta królewski, niech czeka.

Ślaz.

A wam królowa kazała powiedzieć,

Że dotrzymuje przysięgi.

Róża Weneda.

Precz, wężu!

Ślaz.

A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

Róża Weneda.

Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

Wchodzi wodzów dwunastu z obnażonemi mieczami, wszyscy krwawi.

Oto są wodze i pieśni godzina,
Ojcze, przy dębie Derwidowym harfa.

Derwid, wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć? Już słyszę
Serca bijące w ludziach — gdzie ta harfa?
Czekajcie! Jak mi drży serce; gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą,
A duszę już mam w rękach, tu . . . jak piorun,
Jak piorun całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowej,

Harfa w skrzyni,

Wenedo, otwórz.

Róża Weneda zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się,
odciągając ojca za rękę. W skrzyni bowiem zamiast harfy widać
umarłą Lillę Wenedę w śmiertelnej koszuli, z wieńcem bławatkow-
ym na głowie.

Puszczajcie do harfy!

Dlaczego wy mnie trzymacie za szaty?
Dlaczego wstręty czynicie starcowi!
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

Wyrywa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej
Lilli Wenedy.

Cóż to? rzecz jakaś zimna . . . to nie struny.
Ja pod palcami mymi czuję trupa.
Co to jest? o! to nie harfa . . . to ciało
Mojej umarłej córki.

Chwila milczenia, *Róża Weneda* chce ojca odprowadzić od ciała
zmarłej, starzec nie daje się córce.

Precz, gadzino!

Tu moja tamta córka . . . tu, tu w trumnie.
O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!

Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę!... o! ja znajdę
Twoje usteczka... O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej proszę!
Nie odrywajcie.

Róża Weneda.

Cóż to, nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

Derwid.

O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

Harfiarz.

Ojciec płacze.

Derwid.

Ja ciebie widzę, córko! twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. — Ja ciebie widzę w grobie głowy.
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku.
Wychodzisz z rączki otwartemi... O! o!
Tu! czy widzicie? tu śmieje się płacząc...
Umarła moja, najmiłsza umarła!
Moja jedyna!

Róża Weneda.

Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... już dawno wiedziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe... Cóż!... czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która nie chcących umrzeć oszukała?
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu!... Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci

Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
 Nie dosyć jeszcze?... o! wy moje włosy
 Wyrwane, w garść się węzów przemieniajcie
 I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem!

Pierwszy z wodzów.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

Róża Weneda.

Ja ci przyrzekłam? co?... Chodź tu i patrzaj!
 I ty myślałeś, że więcej jest głosu
 W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
 Gdzież taka harfa jak ten trup? gdzie takie
 Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
 Co w rękach — córki rozwija warkocze
 I szuka w nich, jak w strunach drżących głosu?
 O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
 Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
 I później zemście czasu... przysięgnijcie!

Wodze.

Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

Wychodzą.

Lelum, całując zmarłą siostrę.

Na ustach twoich, siostró, zaprzysięgam,
 Że zobaczymy się dziś. O! Lechici!...

*Derwid, dobywa z zanadrza nóż ofiarny i mówi, przebijając się
 dwa razy.*

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

Pada martwy.

Róża Weneda.

Tam stoi na prawo... Weźcie te dwa ciała
 I spalcie razem, a wokoło stosu
 Trzymajcie urny z królów popiołami;
 Jeśliby który Lechita szedł gwałtem
 I chciał ze stosu porwać ciała święte,
 To wy go temi urny przywalicie.

Harfiarze biorą urny i pochodnie. — Czterech zaś kładą na barki ciało Derwida i Lillę Wenedę w skrzyni cedrowej i wychodzą. —

Róża Weneda obraca się do Lelum i Polelum i mówi.

Tu na tronowym kamieniu ułożę

Stos z pachnącego drzewa... Czekał na was...

Lelum, Polelum wychodzą walczyć, Róża Weneda odchodzi
w głąb lasu.

SCENA VI.

Pole walki. — Noc. — Burza.

Lech wchodzi.

Złamani!... Tych psów wycinać do reszty!
Cóż to za rycerz?...

Wychodzi Gwinona w zbroi.

Gwinona.

Jam się uzbroiła
Mścić się za mego syna! mścić się jeszcze.

Lech.

Można ich teraz rąbać jak barany...
Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
Stracili ducha o samej północy
I odtąd rąbią ich nasi jak trzodę.

Gwinona.

Harfiarza! ja chcę harfiarza!

Lech.

Ostrożnie,
Bo przy nim musi być ludzi ostatek.

Gwinona wchodzi. — *Święty Gwalbert* wchodzi,
A ty co robisz?

Święty Gwalbert.

Ja chrzczę niedobitych.
Aż mi się Matka Chrystusowa zjawi...

Lech.

Chciałbym napotkać dwugłowego wodza
I ofiarować życie potworowi,
Byleby chodził za pługiem.

Wychodzi.

Święty Gwalbert.

A ja tu

Siadę na kępie... Kto noc taką widział,
 Ten wie, co waży świat... co warci ludzie...
 Litośniejszemi są pioruny złote,
 Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
 Na toż to matkom dzieci swe hodować,
 Aby z nich były kiedyś takie jatki?
 Każdy trup tyle wart, ile kosztował;
 Spytasz się matki, niech oceni trupa,
 Złękiesz się... gdybyś zapłacił, co mówi;
 Mogłaby kupić za zmarłego syna
 Żywe królestwo, gdzie są miliony
 Synów i matek...

Ślaz pokazuje głowę z po za kępy,

Ślaz.

Prześwięty Gwalbercie!

Święty Gwalbert.

A co tu robisz, Ślazier?

Ślaz.

Grzęznę w błocie.

Święty Gwalbert.

A jakże ty się tu znalazłeś?

Ślaz.

Święty!

Wprzód mię wyratuj za uszy, bo tonę,
 A potem twoje zaspokoję uszy...

Święty Gwalbert.

Łajdaku, ty mi spalił celę.

Ślaz.

Nie ja,

Dyabeł ją spalił... jam cię, ojczy, szukał,
 Aby się tobie na dyabła poskarżyć...

Święty Gwalbert.

Dziś odkupienia noc... Gapiu, chodź ze mną.

Ślaz.

Teraz do śmierci będę księżym sługą.

Wychodzi.

SCENA VII.

Inna część pola.

Lech, wchodzi.

Zabiłem wodza pól...

Gryf, wchodzi.

Gdzie Lech?

Lech.

Co słyhać?

Gryf.

Małżonka twoja, panie, leży trupem.

Lech.

Zabita?

Gryf.

Panie! okropnie zabita,
A tem okropniej, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał...
Kiedy królowa, obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony, i wieniec
Czarnych postaci przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam musi być stary;
I z obnażonym mieczem szła na górę.
Wtenczas ci czarni stojący przy stosie,
Na którym dwoje paliło się trupa,
Chwycili urny pełne dawnych prochów
I na królową, co się skał imała,
Rzucili z góry straszne popielnice.
Przybiegłem... ona leżała okryta

Prochem i ludzi umarłych kośćcami
Z piersią okropnie roztrzaskaną — martwa.

Lech.

Biedne me dziatki... będą pytać o nią.
Patrzaj, nie mogę teraz płakać... krwawym.
Nieście do zamku zwłoki nieszczęśliwej
I kaźcie obmyć z ludzkiego popiołu.

Wychodzą.

SCENA VIII.

Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał
tron Derwida.

Róża Weneda, sama.

Już lud wyrżnięty i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni,
I tak na wieki już! i tak na wieki!

Wchodzi Polelum, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze
przykute doń łańcuchem.

I cóż, nie mówisz nic do mnie, Polelum?

Polelum.

O! patrz, zabity brat na piersiach mi śpi.

Róża Weneda.

Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?

Polelum.

Nie rusz łańcucha... Gdzie stos dla umarłych?

Róża Weneda.

Masz zgliszcze, burza zgasła pochodnie.

Polelum.

Poszukaj ognia.

Róża Weneda.

Ogień dadzą chmury.

Polelum wchodzi na stos z trupem brata,

Polelum.

Jam gotów... pieśnią zawołaj piorunów.
 O! śpij na piersiach moich, bracie błady.
 Wszystko skłonię do snu na tym świecie.
 Wróżko, zawołaj piorunów; jam gotów...

Róża Weneda.

Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
 Wołajcie oba gromów — łańcuchami.

Wchodzi Lech.

Lech.

Stójcie, poganie! przynoszę wam życie.

Wchodzi święty Gwalbert.

Święty Gwalbert.

Stójcie, poganie! przynoszę wam wiarę.

Polelum.

Życie i wiarę?!... Boże! patrzaj z nieba
 Na tych dwóch ludzi przed stołem Weneda
 Konającego... patrzaj na tych ludzi,
 I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
 Chwilę tryumfu i urągowiska?
 I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
 I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
 I przyszli, kiedy niebo oświecone
 Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
 I tu mi dają życie. O! stworzenia!
 Czuję nad wami w sercu wielką litość
 I wielką wzdargę! O! nie pozwól, Boże,
 Aby grobowiec mój był na tej ziemi,
 Gdzie oni żyją. — Chmury! czarne chmury,
 Co uciekacie z nad trupiego pola,
 Ostatnie miecąc pioruny... o! chmury!
 Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
 Z tą drugą ręką mego brata trupa;
 Obie te ręce i ten łańcuch proszą
 O piorun jasny, litosny, ostatni...

Cóż! nie słuchacie?... Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was, napelnione piorunami burze,
Aż prośbą piorun wasz niewywołany
Wydrę przekleństwem!

Piorun bije w stos i drzewo zajmuje się złotym płomieniem. — Lelum i Polelum nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem ukazuje się postać Bogarodzicy.

Święty Gwalbert, pokazując na zjawienie.

Ave, Nieśmiertelna!

Lech.

Cudowne widmo w obręczu z płomyków.

Róża Weneda, wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach
znajduje łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum
i Polelum, i rzucając go pod stopy Lecha, mówi.

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

Paryż 1840.

KSIAŻĘ NIEZŁOMNY.

Z CALDERONA DE LA BARCA.

TRAGEDIA

W TRZECH CZĘŚCIACH.



OSOBY

Król Fezu.

Fenixana, jego córka.

Estrella,

Roza,

Selina,

} jej niewolnice.

Zara, służebna.

Mulej, wódz maurytański.

Selim, dozorca niewolników.

Tarudant, książę maurytański.

Alfons, król portugalski.

Don Fernand,

Don Henryk,

Don Żuan Continic.

Brytasz.

Niewolnicy — Maurówie.

DZIEN I.

Ogród nad morzem w Maurytanii. — *Niewolnicy* pracują —
Wchodzi *Zara*, służebna królowej Fezu.

Zara.

Zaśpiewajcie, niewolnicy. Moja pani śród łazienki
W perłowej igra miednicy jak łabędzie bałamutne,
I prosi was o piosenki, ale tęskne, ale smutne.

Pierwszy niewolnik.

Czyliż naszych brzęk kajdanów,
Czyliż pieśni niewolników rozweselić mogą panów?

Zara.

Ona lubi śpiew słowików, kiedy się po laurach gubi,
I piosenki wasze lubi. Zaśpiewajcie, Fenix słucha.

Niewolnik.

Nasza pierś boleścią głucha. Ach! najgorsze przeznaczenie!
I najgorsze to cierpienie śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu, co w niewoli. Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

Zara.

Czyż wy sami nie śpiewacie bez rozkazu?

Niewolnik.

Każda boleść chce wyrazu, kiedy w sercu jej za ciasno,
I my tłumim boleść własną, gdy nas z kajdan pieśń unosi.

Zara.

Zaśpiewajcie, Fenix prosi.

Niewolnicy, śpiewając.

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mąk duszy;
Czegóż srogi czas nie skruszy,
Nad grobami gdy przelata!

Zara.

Dosyć pieśni, Fenixana już umyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknością go zagasi, bo wychodzi jak jutrzienka.

Wchodzi Fenixana, córka króla Fezu i niewolnice jej Estrella,
Roza i Selina.

Estrella do Fenixany.

Wstałaś, piękna?

Zara.

Wdzięk twój krasi cały ogród, oko pali,
Niech się jutrzienka niechwali, że ten ogród nieciemnieje,
Bo nie ona światło leje; bo ogród ten pośród gmachów
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał Rubinów, białości nie od jaśminów,
Lecz od ciebie.

Fenixana do Estrelli.

Daj zwierciadło.

Estrella.

Nie dziw, piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Żadnej plamki.

Fenixana.

Głosi sława, że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była, cóż mi po tem? kiedy źle mi!
Nie wesoło na tej ziemi!

Selina.

Cóż ci jest?

Fenixana.

Co jest, Selino? Ach! gdybym ja to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano!... ach! dziewczyno,
Wnet bym sama boleść własną nakarmiła do przesytu
I widziała w sercu jasno. Ale teraz, w mgle przedświtu,
Czuję tylko, że mnie kruszy jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy, męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może.

Zara.

Jeśli cię, pani, nie bawią te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiośnie posągi stawiają róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościolach; obróć twe oczy na morze
Kędy dla twojej tęsknoty płynie wóz ze słońca złoty!

Roza.

Gdy taki zachód zobaczy na morza ognistem łonie,
Ten cały ogród w rozpaczy i melancholiach utonie,
I zawoła, idąc w cień: ach! jak krótki był ten dzień!

Fenixana.

Ani się tem rozweselę, ani tem żądań ukorzę,
Że moje smutki podzielę pomiędzy ziemię i morze,
Że pójdę z myślami w tan i sprzęgnę te oba światy,
Z pianami równając kwiaty, kwiaty równając do pian.
Bo ogród, kiedy zazdrosny spojrzy na fale szalone,
Chciałby tak płynąć jak one: i zaraz zefir miłosny,
Dwa razy miłośniej dysze; i szalenięj rozkochany,
Z gałęzi, które kołysze, czyni kwiatów oceany.
A morze, gdy się zasmuci, spojrzawszy na te ogrody,
Wnet ucisza szklane wody; z fal wysokich pianę zrzuca
I drugim prawom poddane, równe zdobywa uroki,
Z szmaragdów mając zatoki, z błękitów piersi ulane.
I tak, tu kwiatowy łąn i ogród pełen szkarłatów
Wydaje się morzem kwiatów: tam morze — ogrodem pian.
Ach! cóż to za smutek głęboki,

Ten smutek, co w sercu ma łoże?
Że nie dba na kwiatów uroki, na niebo, na ziemię i morze.

Zara.

Wielki smutek twój! ach! i głęboki!

Wchodzi król Fezu, ojciec Fenixany, z miniaturą w ręku.

Król.

Jeśli, moja Fenixano, na piękność i smutek chora,
Chcesz być zdrowszą dziś niż wczora,
I zdrowszą, niż byłeś rano: oto jest portret infanta
Maurytanów, Tarudanta, który cię uleczy pewnie
Na długo... Cóż to, tak blada?...
Infant u nóg twoich składa koronę, jako królewnie.
I ten portret, choć nie gada za niego, u nas zagości.
Każda niema ambasada ambasadą jest miłości.
Za infantem najgoręcej wstawiam się... bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy przyprowadzonych łuczników,
Z którymi Ceutę zdobędę.
Płoń się, córko... tych płomyków
Miłosnych tobie pozwolę...
Owszem... serce puść na wolę,
Niech kocha przyszłego Pana.

Fenixana.

O Boże!

Król.

Cóż tak zmieszana?

Fenixana, na stronie

Wyrokiem śmierci!

Król.

Cóż, przecie?

Trwogi te łatwo ukoim.

Fenixana.

Jestem twe posłuszne dziecię,
Ty ojcem... ty królem moim.

Na stronie.

Cóż mu powiem?... ach, kochanku, Muleju, straciłeś żonę!
O! nieszczęśliwy poranku! O! chwile nie w czas stracone!

Głośno.

Ojczy! pokora mnie łamie
Aż tu. (Kłeka.) Aż do twych obuwi.

Na stronie.

Dusza, co to myśli... kłamie! Kłamie głos, który to mówi!

Król.

Weź portret.

Fenixana, biorąc miniaturę.

Ojciec przymusza.

Na stronie.

Ręce go biorą, nie dusza.

Wchodzi Selim, dozorca niewolników.

Selim.

Mulej, twój wódz, królu panie, prosi cię o posłuchanie.
Z Fezańskiego morza wraca.

Król.

Niech wejdzie.

Wchodzi Mulej, wódz galer fezańskich.

Mulej.

Gdzie zorza ozłaca tak wysokie pańskie progi,
Gdzie człowieka czeka z drogi taka zorza, córka słońca,
Któż czoła nie rozpogodzi? Nie uczyni z siebie gońca,
Za którym pomyślność nie chodzi?

Pozwól mi twej ręki, pani. Niechaj dar taki otrzymam,
Jak najwierniejsi poddani, pełni serca i przymiotów:
Bo dla usług twych miecza się imam
I dla usług twych zginąć jam gotów.

Fenixana, na stronie.

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!

Cóż mu powiem? ach, umrę z rozpaczyl

Głośno.

O Muleju, czy dobre są wieści?

Mulej.

Czy są dobre, sam król to zobaczy
I osądzi... podług mnie, będą dobre.

Król.

Cóż tam przecie?

Mulej.

Lecz serce miej chrobre
I na wszystko, o panie, odważne,
Bo czas ważny i wieści są ważne.

Król.

Gadaj wszystko, co wiesz, gadaj śmiało.
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre... z równą twarzą powita.
Siadaj, córko...

Mulej.

Czyż mu wszystko obwieszczę?...

Król.

Niech twarz złego nie będzie mi skrytą.

Mulej.

Trudno mówić... milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi, panie, polecił, wzięwszy tylko dwie galery,
Wypląłem z tego portu zwiedzić brzegi barbaryjskie.
A jakoś chciał, bym podstąpił
Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane u Herkulesowych słupów,
Centą u ludzi nazwane, które słowo u Hebreów
I u Arabów znaczyło: Piękność... Jakoż miasto owo
I dzisiaj w piękność rozkwita; a na hańbę naszej wierze,
I na wstyd Mahometanom, na murach dziś portugalskie
Sztandary nosi i krzyże. I przeciwko flotom naszym
Obrócone trzyma spiże i wieczny opór stanowi
I wieczną skałę zakłada
'Twych zwycięstw wielkiemu Nilowi;
A z Hiszpanią aż przez morze gada.

Pod to miasto podpływałem, abym obaczył rymstunek
I wierny ci zdał rachunek: ile wież z krzyżowem czołem
Grozi ci marnemi trwogi, ile w nim stoi załogi;
Abym wypatrzył, jakimi siłami weźmiesz je, panie,
Czy od morza, czy od ziemi,
Czy przez głód, czy szturmowanie...
I wiem, że niebo ci chowa to zwycięstwo i tę chwałę;
Abyś to miasto wspaniałe przywrócił do swej korony...
Ale dzisiaj trwoga nowa, inna troska, z innej strony,
Czeka cię, panie, i siły na Centę przygotowane
Będą Tangieru broniły... A to wiem... bo fale szklane
Depcąc jednego poranku, o tej godzinie, gdy zorza
Wyziera nad szafir morza, a na chmur ognistych wianku
Słońce swe rozwiesza włosy po różach i po jaśminach,
Śnieg i ogień udając i kłosy
Sypiące się na fale... w bursztynach
Owej zorzy, gościńcem odmętów
Szła girlanda szarawa okrętów,
Niby stado tak nikłe, że z razu
Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
Czy okręty to były, czy skały...
Bo jak na płótnach obrazu malarz, udawca natury,
Jedną kreską czyni góry, albo miasta, wielkie grody,
Tak i na błękitach wody,
Gdy cień się ze światłem pomiesza,
Niebiosa do wód się nachyla,
Myśl różne strąszydło wskrzesza
I błąka i oczy się mylą... Otoż z razu, myśl ciekawa
Obaczyła tylko tłum i parę i mgłę i szum,
Tak blisko przy nawie nawa i tak z daleka płynęły...
Potem... gdy niebios dotknęły najwyższemi żagłów pióry,
Pomyśleliśmy, że chmury, chmury wielkie, czarne, chyże,
Co po niebie lotem gonią i deszcze poczną w szafirze,
A tu kryształy uronią. I tak długośmy mniemali;
Bo zdawała się tak wielka gromada ludzi... że z fali
Mórz nie zostanie kropelka, kiedy ją w hełmy rozbiorą...
Potem statki z piany runem, jak potwora za potworą,

Kiedy idą za Neptunem i z pod skał ciągle wychodzą
Nowe i nowe straszydła... Nagle!... gdy podniosły skrzydła,
Całe w słonecznych opalach i otrząsły je na falach,
Myśleliśmy, że fale je rodzą...

Wtem bliżej... ujrzały wzroki wyraźniej, już nie obłoki,
Już nie skrzydła, nie trytony, ale jakieś Babilony,
Idące po złotej ziemi z chorągwiami ognistemi...

Wtenczas spostrzegły i żebra okrętów, tłukące je wały,
Pod nimi, jak góry ze srebra,
Pod nimi z kryształu — jak skały.

Wtenczas poznawszy, że flota tak wielka i tak przemożna,
Kazała rycerska cnota, w niebezpieczeństwach ostrożna,
(Bo i to w rycerzu waży, gdy się dobrze ma na straży),
Kazała mi, mówię, panie, jako świadomszemu morza,
Skryć się w tajemne przystanie,

Miedzy dwa skalne wydroża,
Gdziem bezpiecznie mógł stać z galerami.

Otóż ta flota przed nami
Przeplłynęła... nie spostrzegła.

A ja chcąc wiedzieć, gdzie biegła?

Komu niosła miecz zagłady? wypłynąłem za nią w ślady?
I tu... Bogu memu chwała... spotkałem jeden z Armady
Okręt.

Wiadomo, że cała flota na morzu odkryta,
Była srogą burzą bita... Otóż jedna smętna nawa,
Co większej doznała szkody, potrzaskana i dziurawa,
Chwiejąca się, pełna wody, nie mogąca jej wyzionąć,
Za każdym nowym balwanem

Już, już... już zdająca się tonać,
Stała na morzu... O! panie, choć ja jestem Maurytanem,
Sądzę, że politowanie w takim nieszczęściu i stanie
Od Maurytan się należy... Przybiegłem, jak sokół bieży,
I stanąłem jej przy boku... A ci rozbici... ach! jaka
Chęć życia w ludziach!... gdy nagle

Ujrzeli mię jako ptaka, ze skrzydłami, ze skrą w oku:
Mimo bojażń — sznury, żagle przemieniali na drabiny
I szli w klatkę jak ptaszyny i sami łańcuchy brali...

A drudzy im urągali, widząc schronionych bezpiecznie
I drabiny tnąc toporem, krzyczeli: że umrzeć z honorem
I wolnym — jest to żyć wiecznie...

I w morze rzucali ciała — portugalska próżna chwała!!!

Od jednego więc z tych wziętych

Wiem, że owe pawilony wypłynęły aż z Lizbony,

I po falach idą wzdętych

Tu na Tangier; klnąc się Bogiem

I rycerstwem, że Dej stary tu, nad wieżyc swoich rogiem,

Ujrzy te same sztandary, co są w Cencie... los batalii

To pokaże, że się mylą!... Podług nich, król Portugalii,

Przed którym światy się chylą, którego zwycięska sława

Sztandary swoje zatyka aż tam, gdzie ziemi nie stawa,

Gdzie rzymski orzeł lot traci, wysłał obu swoich braci,

Fernandesa i Henryka, aby tu ich wiek ciekawy

Ujrzał obu w słońcach sławy; i za wielkie nasze klęski

Przyklasnął, jako wiek klaszcze.

Fernand, to mistrz Awiceński,

Henryk, to mistrz Chrystusowy;

Oba noszą białe płaszcze, rządzą wielkie dwa zakony:

Jeden krzyż ma purpurowy, drugi wielki krzyż zielony;

Oba wiodą różnej broni do czternastu aż tysięcy;

A niepłatnych jeszcze więcej, co idą jak na popisy:

A do tysiąca aż koni poprzebieranych w tygrysy,

Na jednorożce przekutyh... Taka fantazya jest u tych

Hiszpanów!!!

Te więc szeregi depcą może nasze brzegi,

Albo już u lądu stoją. Śpieszmy, o! panie, z obroną.

Weź miecz i okryj się zbroją. Weź tę chorągiew zieloną,

Podobną do gromów obłoka, chorągiew naszego Proroka.

Niech ze mną straż idzie przednia

I niech się sprawdzi nad nimi Morabitów przepowiednia:

Że tu, w tych piaskach, w tej ziemi,

Co nas nosi na swem łonie, jest grób portugalskiej koronie.

I niech widzą nasze oczy, jak ta ćma czarnego sokoła

Przefarbuje nasze zioła

I morze krwią na czerwień przebroczy.

Król.

Muleju, dość! nie mów dalej, bo mi żyły krwią wybryzną,
Bo dla serca, co się pali, każde słowo jest trucizną.
Pomyślę, aby te franty, ci dumni, zostali w Afryce.
Pomyślę, by tu ciemnice i grób znaleźli infanty.
Muleju, weź nieco konnych, ruszaj zaraz na mórz brzegi
I broń, aby te szeregi brzegów naszych nieobronnych
Nie wzięły bez krwi. Krew ci powie,
Jak uczynić w tym razie należy;
I uczynisz, jak czynili ojcowie.
Ja tymczasem zgromadzę rycerzy
A pośpiechu i sił nie poskąpię,
I po tobie krok w krok tam nastąpię.
I pokażę, że dzień jeden zakończy
Krwawe nasze wiekowe turnieje;
Że mi Ceutę do korony przyłączy,
A tu, Tangier krwią hiszpańską obleje.

Wychodzi.

Mulej.

O! Fenixano! blizki czy daleki,
Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
Że zawsze one gotowe do skargi,
I śmierć je chyba zagłuszy na wieki.
A choć nie umiesz zazdrości ocenić,
Choć mię obwiniasz, że uchybiam tobie,
Napróżno chciałbym wyrazy odmienić,
Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobie.
Cóż to za portret? o! dziewczyno sroga!
Cóż to za portret ręka twoja pięści?
Któż to jest? powiedz, kto to jest, na Boga!...
Ach nie powiadaj! dosyć już boleści...
Dość, że go twoja biała ręka trzyma,
Że nim jak różą zerwaną kołysze,
Ach, dosyć dla mnie, że widzę oczyma,
Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę.

Fenixana.

Pozwoliłam ci, abyś mnie miłował,
Nie pozwoliłam, abyś mnie obrażał.

Mulej.

Jam już wyrazów prędkich pożałował,
Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.
Ja wiem, że mówić potrzeba inaczej,
Ale któż myśli o słowach w rozpacz?
Milczeć?... ach, miłość potrafi ogłuchnąć,
Milczeć... Lecz zazdrość... ta musi wybuchnąć,
Musi wybuchnąć.

Fenixana.

Chociaż mi się zdaje,
Żeś nie zasłużył, bym się tłómaczyła,
Ponieważ różnych mam wymówek siła,
A mam ich wiele... najlepszą ci daję.

Mulej.

Więc masz wymówkę?

Fenixana.

Mam.

Mulej.

O! Bogu dzięki.

Fenixana.

Ten portret z ojca mojego mam ręki.
A przysłał mi go...

Mulej.

Kto?

Fenixana.

Fezki królewic.

Mulej.

W jakim zamiarze?

Fenixana.

Bo mój ojciec stary,
Który się nie zna nic na sercu dziewic...

Mulej.

Co?

Fenixana.

Pretenduje, oraz ma zamiary
Te dwa królestwa Fezu i Tangieru...

Mulej.

Dość! Ta wymówka jest podobna zeru.
Taką wymówkę dajesz? o! nie dzięki!
Nie dzięki tobie... Czy masz lepszą inną?

Fenixana.

Ale ten portret ja mam z ojca ręki
I sędzę, że jest zupełnie niewinną.

Mulej.

Winnaś! bo trzeba było... trzeba było...
Choćby ci ojciec zagrażał mogiłą,
Portret odrzucić.

Fenixana.

Jakąż dać przyczynę?

Mulej.

Nie wiem... co skłamać.

Fenixana.

Z kłamstwa ja nie słyne...
Cóż miałam czynić?

Mulej.

Co? umrzeć w potrzebie,
Jabym to łatwo uczynił dla ciebie.

Fenixana.

Przymus był wielki.

Mulej.

Ach! serca zmienienie!

Fenixana.

Przymus i siła.

Mulej.

Któż się podda sile?

Fenixana.

Cóż więc być mogło?

Mulej.

Moje oddalenie?

Ach, oddalenie podobne mogile,
Które mnie w grobie ciemnym położyło.
A teraz jeszcze drugi raz odjadę
A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

Fenixana.

Otóż, Muleju, dam ci jedną radę;
Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze
I aż do Fezu ciągnął to stękanie.

Mulej

Zaprawdę boleść moję tak rozszerze,
Że aż do Fezu za tobą dostanie.

Fenixana.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano.
Przymus ci każe opuścić te mury.

Mulej.

I odsyłasz mię? o! Fenixano?
I nie oddasz mi tej miniatury?

Fenixana.

Ach, jak smutna to chwila... ach, smutna
Miniatura ta na mnie spoziera!

Wychodzi.

Mulej.

Więc ci z ręki ją wyrwę, okrutna,
To, co serce mi z piersi wydzierają.

Wychodzi.

ZMIANA I.

Brzeg morski. Słychać wrzask i zgiełk wylądowania. Wchodzą na scenę *Don Fernand* i *Don Henryk*, Infanci portugalscy. —
Don Żuan Coutinio i Żołnierze.

Don Fernand, skacząc na ląd.

Pierwszy, o! piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi i nadepcę nogą.
A ty czuj, jak cię moją stopą tłoczę,
A ty czuj pana i poddaj się z twogą.

Don Henryk.

Ja drugi skoczę na ląd.

Wyskakuje i pada.

O! mój Boże!

Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

Don Fernand.

Nic, Don Henryku; wróżba nic nie może
Przeciw krzyżowi — strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłómaczę,
Że ziemia, pana uczuwszy i księcia,
Sama się jemu chciała dać w objęcia.

Don Henryk.

Ziemia to pusta... Arabcy tułacze
Poszli w pustynie.

Don Żuan.

Tangier zawarł bramy.

Don Fernand.

W mieście my naszych wrogów poszukamy.
Niech z harmat pierwszej wystrzelą na salwy.
Ty, Don Żuanie Coutinio z Miralwy,

Idź i pod miasto podbiegnij zamknięte;
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza, bo gdy będzie wzięte,
Domy się zwałą w krew, kościoły spłoną.

Don Zuan.

Wkrótce pod miejską ujrzycie mnie broną;
Choćby to miasto na dymu ciemnicy
Stało, jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

Odchodzi.

Wchodzi Brytasz.

Brytasz.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy mają widzę i apryle;
A już nie te przeklęte bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry, gdzie człowiek ma buty,
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,
To wpada w morze, kędy pan ludożer czeka.
Jak to mówią u ludzi, spadł z rynn pod wodę.
Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę.

Całuję ziemię.

Kochana ziemio moja, noś mię, ja człek lądu,
Radbym ostatecznego doczekać się sądu
Na ziemi, nie na morzu.

Don Henryk do Fernanda.

Co ty nań uważasz?

Don Fernand.

B ty czemu się wróżby marnemi przerażasz?
Dla czego smętny stoisz z rozwianymi włosy?

Don Henryk.

Duch mój pełny przestachu. Przeciwnie nam losy:
Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
Zaledwo barbaryjskich dotknęliśmy lądów,
Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,

W chmury krwawe zabiegło i w niebiosą wkleśło.
A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
I teraz, gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
Jak krew. Patrz na niebiosą, zewsząd czarne ptaki.
Patrz nad morzem... jakby z mgły posępne osoby.
Patrz na ziemię... zdaje się, że wszędy są groby,
W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

Don Fernand.

Moja miłość inaczej to wszystko wyklada:
Że nam burza uniosła jeden okręt zbity?
To zwyczajny przypadek. Że niebios błękity
Zaćmiły się i kolor wzięły szczerzoty?
Poważny? to nie groźba, ale cześć dla floty.
Że potwory za nami wyzierały z morza?
Że czarną chmurą ptaków migotała zorza?
To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Arabym;
Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby?
Nie ciągnęły za sobą? ale tu znachodzą?
Więc tej arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą,
Jeżeli są wróżbami. Maur niech patrzy na nie.
Ale my, mój Henryku, oba chrześcianie,
My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
Nie po to, aby nami zaczerwione księgi
Po wielu wiekach o nas do ludzi gadały;
My, cośmy tu dla Boga i dla Jego chwały,
Abyśmy kościół jego szablami podparli;
Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy;
Czegoż się boim Boga? wierni jego słudzy!
Czemuż my się na wróżbach oparli nie na nim?
My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem.

Wchodzi Don Żuan.

Ale cóż to od pola?

Don Żuan.

Książęta, kiedym wasze wypełniał rozkazy,
Tam, gdzie góra w łuk zagięta

Łamie się w piętra dwa razy,
Usłyszałem w strasznej wrzawie
Pod nieba strefą niebieską
Zlatującą konnicę Fezką... zdawało się, że żórawie,
Na Pigmeów w wielkim gniewie,
Szary klucz na niebie klecą.
Ziemia nie wie i wiatr nie wie,
Czy oni biegną, czy lecą.

Don Fernand.

Idźmy powitać te wrogi. Niech strzelce staną na czoło.
Siodłać konie, a wesoło!
Wdziać kolczugi — od głów do nogi
Zbroić się i stawać w szyku!
O! szczęśliwy dzień, Henryku,
Zwycięstwo nam w ręce dane.

Don Henryk.

Ja, twój brat, przy tobie stanę,
Piersi także mam niezłomne,
O strasznych wróżbach zapomnę
I pokażę, że śmierć mię nie trwoży.

Wychodzą i słychać odgłos walki.

Brytasz, sam.

A ja tam, gdzie śmierć się sroży,
Nie pójdę... w każdym hazardzie
Ja stoję na ariergardzie i wulkan ze mnie wybucha.

Patrzac na walkę.

Ach jaka tam zawierucha! jaki blask, jaki bój srogi!
Niech się biją — a ja w nogi!

Ucieka.

Wchodzą Don Henryk i Don Żuan.

Don Henryk.

Łatwo brać zwycięskie laury. Uciekają zbite Maury.

Don Żuan.

Pole całe pełne łupów, koni, mieczów, siodeł, trupów.

Don Henryk.

Gdzie Don Fernand?

*Don Zuan.*Z całą linią
Arabów znika w obłoku.*Don Henryk.*

Chodźmy za nim, Don Coutinio.

*Don Zuan.*Zawsze obaczysz mię przy twoim boku.
Wychodzą.

Z M I A N A II.

Pustynia. Wchodzi na scenę *Don Fernand* ze szpadą *Muleja* --
i *Mulej* rozbrojony, z tarczą tylko.*Don Fernand.*

Tu, na tej ogromnej puszczy, co zdaje się grobem ludzi,
 Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
 Koń leży i pan się nie budzi:
 Sam zostałeś, Maurze młody, nad pobitymi narody.
 I twoje gdzieś orle żrebie przez pola pobiegło krwawe,
 Tocząc pianę i kurzawę: pod sobą kurz, a pianę z siebie...
 I oddało cię bez broni łupem tej rycerskiej dłoni.
 Horyzon, jak okiem objęty, podobien do jednej trumny;
 A ja twojem wzięciem dumny, więcej dumny, żeś ty wzięty,
 Niż, że te pola oblaue
 Są krwią, aż tam gdzieś w błękit giną,
 Tak, że oczy, smętne tą ruiną i czerwienią tą jak obłąkane,
 Odwracają się, nie wiedząc, gdzie natrzeć
 Ostrzem wzroku znużonych promieni;
 Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,
 Aby ciągle nie widziały czerwieni.
 Ja, gdyś cię silnem ramieniem
 Wziął, męznego tak wojaka,
 Wybrałem sobie rumaka

Z próżnem siodłem i strzemieniem,
Którego ojciec był burzą, a matka była płomieniem;
Bo płomienie i wiatry mu służą,
Równe jemu robiąc rodowody.†
A ja jeszcze powiem, że był z wody,
Taką szerść miał i rzadkie tak piegi;
I tę wodę przemienie na śniegi
I znów powiem, że wody był synem.
A co do prędkości — delfinem,
A co do krwawości — był smokiem,
Co do lotu — był, mówię, obłokiem,
Co do nozdrza — był szczerym rubinem,
A był orłem, gdy puścił się lotem,
A gdy piersią uderzył — był grzmotem;
A pod dumnym — szedł z dumą szlachecką,
A pod starcem — jak starzec poważnie,
A pod cichym — spokojnie jak dziecko,
A pod silnym — jak rycerz odważnie:
I na jego kark i siodło jego
Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
A on, zda się, jak łódź, co się ślizga,
Pruł się piersią przez krwawe bałwany
I gniótł pole, co krwią naszą bryzga.
Ale czy to jego wewnętrzne rany?
Czy ta myśl? zwyciężonych tak blizka,
Że kark jego zwycięzca uciska,
Czy nad tobą może zlitowany?
Gdy pomyślał, że obu nas wiedzie,
Obu włożył na kark swój niechętny:
„A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
A ten Arab jedzie taki smętny!“
Ach i może ta myśl nie pozbyta,
Że ojczyznę zdradza, mnie unosząc,
Padł, oczyma litości nas prosząc
I załamał się na cztery kopyta
I dech oddał.
I powiedz mi teraz, czemuś taki smutny, przyjacielu?

Gdy się zwracam — a obracam się nieraz —
Choć mi taisz twą boleść, Arabie,
Widzę jasno, żeś pełny trosk wielu.
I podobnyś jest żelaznej sztabie
I tej stali, co zgięta odskoczy...
Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
Ciągłe z ciebie jak ogień wybucha:
Niepodobna! by takiego ducha
Marna boleść poddała swej woli?
Abyś cierpiał tak na tej niewoli,
Ty, co wolność sprzedałeś tak drogo.
Inna jakaś być musi przyczyna?
Jeśli troski podzielić się mogą,
Jeśli sądzisz, że na to zasłużył,
Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
Prawie ulga... a jam serca nie zużył
I obaczę, widząc ranę twoją,
Czy ta rana jest z tych, co się goją.

Mulej.

Widać, żeś równie szlachetny jak odważny, mój Hiszpanie.
Równie mieczem jak językiem umiesz czynić zwyciężonych.
Miecza twego niewolnikiem było ciało, co nie boli...
Teraz wzięłeś do niewoli mego ducha. Doskonały
Jesteś rycerz! Na dwie bronie:
Moc masz i w ręku... i w łonie...
Twoim jeńcem jestem cały. A ponieważ ty wzruszony
Litością pytasz, Hiszpanie, czemu ogień i żal słony
Sypią mi z oczu perłami? uczynię tobie wyznanie
I sercu ulżę ustami. Nie dlatego, że mnie boli
Serce i skarżyć się pragnie...
Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie...
Ale, że to z twojej woli, ażeby ci się poskarżył...
Wiedz, że jestem urodzony synowcem króla Fezkiego,
A zowią mnie Mulej Chekke.
Królewska krew płynie we mnie
I serce mi wielkie grzeje, bowiem ród mój uświetnili

Różni basze, belerbeje. A rodziłem się w tym roku,
Gdyście wy Gelwy tracili, i ze smutnego wyroku
Matce kosztowałem życie, smętne fortuny igrzysko!
Gelwańskie, krwi pełne pole było mi pierwszą kołyską.
A odtąd... ciągle niedole, nieszczęścia mnie ciągle gonia
I pokoju ciągle bronia. Albowiem, kiedym do Fezu
Przybył, dziecko, z moim stryjem,
Przyjechała tam dziewczica
I w blizkim domu, przez ścianę, stanęła, i odtąd serce
Zostało w niej rozkochane i do śmierci tak zostanie.
Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
W zawiązkach swoich tak drobna,
Zaczęta w dzieciach tak tkliwie, taka, zda się, niepodobna,
(Gdy sobie serce tłómaczy) ani się skończyć szczęśliwie,
Ani się skończyć inaczej, ani się mogąca dźwignąć,
Ani zerwać, ni ostygnąć... Z tą miłością wychowani
Rośliśmy, panie, oboje. I dziś zarówno nas rani
Ta miłość w serc naszych dwoje, ciskając razy niemyłne
Na serce słabe i silne... Ach... z mojem tak uczyniła,
Jako woda z marmurami, w które ciągle bije łzami,
I tak będzie ciągle biła, ciągle biła, aż je strawi
I w marmurze ślad zostawi; tak łzy me nowe i nowe
Na serce pięknej spadały, aż serce twarde, ze skały,
Serce jej dyamentowe, na które sto razy spadły,
Przegryzły na wskroś i zjadły... Ach, i nie moje to cnoty,
Że teraz serc naszych dwoje są, jakoby dwa powoje,
Wzajemnymi wite sploty. W tym stanie przeżyłem lata,
Zapomniawszy prawie świata.
Rozpływając się w jej wdziękach,
W pierwszej miłości jutrenkach,
Pijąc pierwsze tajemnicze
Troski i pierwsze słodycze...
Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
Rozstałem się z nią na czas krótki; i stąd idą moje smutki,
Stąd płynie mój żal ogromny, bo ją z drugim zaręczyli,
Kiedym ja był nieprzytomny.
Teraz powiedz, czym szalenie,

Że klnę fortunie bogini? Tamten jest wolny... jam jeniec!
Jam jest daleko... on przy niej!

Don Fernand.

Szlachetny Maurytańczyku, dobrze mi smutki wykładasz,
Jeśli tak kochasz... jak gadasz?
Tak cierpisz?... jak w serca krzyku
Słychać, gdy boleść malujesz, jeśli tak z ognia usychasz?
Ach! i tak tęsknisz? jak wzdychasz,
Ach! i tak wzdychasz? jak czujesz,
Widzę, że wiernie miłujesz. Więc honorowi nie skłamię,
Wodzu maurytańskich galer, idź i powiedz swojej damie,
Że portugalski kawaler przysłał cię za niewolnika,
A ją ci daje za pana. A jeśli obligowana,
(Bo to dziewic serce łechce) skarby swoje poodmyka
I płacić za ciebie mi zechce? ten okup weź, Maurze młody,
Bo będzie wielki, jak sędzę, zmień na miłości pieniądze
I miej z niego wieczyste dochody.
A teraz jedź mi szczęśliwie,
Oto koń twój własny wraca. Ja wiem, że kto kocha tkliwie,
Temu czas płynie leniwie; więc ci czasu, Arabie, ukraca
Moja miłość, a ty się nie zmuszaj,
Siadaj na koń, rycerzu, i ruszaj.

Mulej.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie,
Ale wdzięczność ma inne oznaki;
Wiem, że daru przyjęciem pochlebię,
Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki? \

Don Fernand.

Portugalczyk i szlachcic... nic więcej.

Mulej.

Pokazałeś to czynem i słowy,
Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
Twój niewolnik...

Don Fernand.

Ujeżdżaj co prędzej,

Koń twój czeka.

Mulej.

Więc otwierasz mi szranki?

Więc chcesz, aby serce w niewolniku
Uderzyło znów przy sercu kochanki?

Siada na koń za sceną.

Don Fernand.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

Mulej, z poza sceny, z konia.

Hej! szlachetny mój Portugalczyku!

Don Fernand.

Co mi powiesz?

*Mulej.*Gdy pozwolą mi nieba,
To ci kiedyś za dar taki odpłacę.*Don Fernand.*

Bądź szczęśliwy!

Mulej.

Teraz ja się bogacę...

Ale dar twój, panie, nie padł w wodę
I na końcu, na ziemi odbierze
Swoje żniwo i swoją nagrodę.
Mój Hiszpanie, niech Allach cię strzeże.

Odjeżdża.

*Don Fernand.*Jeśli Allach Bogiem, niech cię broni,
Lecz cóż to za tętent koni?
Co to za trąby i krzyki, którym powietrze przyklasło?
Tam, z drugiej strony kotły słychać Marsa hasło.
Ha! mój brat Henryk.

Wchodzi Don Henryk.

Don Henryk.

Gdzie jesteś, Fernandzie?

Dawno cię szukam.

Don Fernand.

Cóż tam za nowiny?

Don Henryk.

Bracie, Fezanie idą i Murzyni,
Budząc te echa; Tarudant z wojskami
Królowi Fezu przybył dla odsieczy.
A król podparty z Maurytańczykami
Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło,
Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.
Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło
W swoje żelazne objęło nas wieńce.
Oblegający my i oblężenie,
Z tej ciemnej chmury, co się na nas toczy
Błyskawicami bici w same oczy,
Zmieszani... Cóż nam, Fernandzie, zostało?
Powiedz, co czynić?

Don Fernand.

Co? umierać z chwałą.

Niech nacierają ci oba alianci,
My na śmierć idźmy jako wojownicy,
Jako dwaj mistrze, jako dwaj infanci,
A choćby tylko jak Portugalczycy.
Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów:
Ave i Chrystus... hasło nasze stare,
I stańmy oba na czele szwadronów,
I umierajmy, mój bracie, za wiarę.

Wechodzi Don Żuan.

Don Żuan.

Złe lądowanie jest wszystkiemu winą.

Don Fernand.

Nie czas się teraz zatrudniać przyczyną
Złego... gdy zewsząd wróg i krew i jęki...
Do poratunku trzeba użyć ręki
Przeciwko siłom Tangieru i Fezu.
Za mną!... W Twe Imię Przenajświętsze, Jezu!
Za mną!

Wychodzą wszyscy, z drugiej zaś strony na pustą scenę wchodzi
Brytasz.

Brytasz.

Otóż i śmierć! otóż i sztuka!

Pięknie ten rycerz swoim hasłem puka
W bramy niebieskie, klucze przenajświętsze
Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
Gdzie święty mieszka aż na siódmym piętrze.
Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
Które mi sercem jak dyabły szamocą,
Rozmyślam, na co my tutaj i poco?
A z rozmyślenia to wynika mego,
Że odtąd mam się już za umarłego.

Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi Don Henryk w pojedynek z Maurem.

Maur.

Kto się broni tak uparty? Szabla moja, piorun żywy
Który spada aż ze sfery czwartej.

Don Henryk, depcąc Brytasza.

Choć co krok ja nieszczęśliwy chrześcijańskie depcę ciała,
Ręka moja nie omdlała, nie straciłem mocy w duchu
Jeśli ja piorun? ty trup... Ty piorun? ja skała.

Wychodzą z Maurem, bijąc się.

Brytasz.

I prawda, że mnie dobrze nadeptał po brzuchu.

Wchodzi Don Juan w pojedynek z Mulejem.

Mulej.

O! rycerzu! twoje męstwo nie widzi, że słabo walczę;
Że chciałbym ci dać zwycięstwo.

Don Żuan.

Co mi powiadasz, zuchwalcze? Nie przyjmuję takich danin.
Broń się!

Depce Brytasza.

O! straszliwa męka!

Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcianin!

Wychodzą, bijąc się.

Brytasz.

Nadeptał mnie, lecz o mnie niechaj się nie lęka.

A gdyby lżej mnie deptał, to byłby rozumny.

Wchodzi Don Fernand, cofając się przed nacierającym królem Fezu.

Król.

Portugalczyku dumny, oddaj mi twoją szpadę;

Pod strażą cię zostawię i rękę na sercu kładę,

Że obejdę się łaskawie, choć twojego miecza znaki,

Na piersi rozdartej noszę. Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

Don Fernand.

Nie dam ci mego nazwiska ani szpady... o śmierć proszę.

Wchodzi Don Żuan i ciałem swoim zakrywa Fernanda.

Don Żuan do króla.

Ten miecz, o! panie, co w twem ręku błyska,

Już okręcon koło głowy;

Przez tę pierś chyba dostanie, jak przez mur dyamentowy
Mego księcia. (Do Fernanda.) O! mój panie!

O! mój książę! krzep się w sobie.

Teraz, teraz ja przy tobie

Aż do śmierci.

Król.

Stój! co słyszę? Księcia Fernanda oglądam?

Więszego łupu nie żądam i ten wielki dzień zapiszę

Pomiędzy najszcześniejszymi. Zatrzymać ludu zagładę...
A ty, królowi tej ziemi, Fernandesie, oddaj szpadę.

Wchodzi Mulej.

Mulej, na stronie.

Co widzę? o! biada jemu!

Don Fernand, oddając szpadę.

Królowi tylko samemu oddaję ten oręż święty,
Nie chcąc jak desperat ginać.

Brytasz, wstając.

Jak widzę, próżne wykręty!
Z łańcuchem nie można się minąć.

Wchodzi Don Henryk.

Ach! co widzę? brat mój wzięty!...

Don Fernand.

Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem.
Bo to, mój miły bracie, zwycięstwo nad losem,
Jeśli go człek wolny umie
Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

Król.

Tak, Henryku, twój brat się dostał do niewoli...
A choć mogę i słuszość mi, sędzę, pozwoli,
Abym go na śmierć skazał, serce mam ruszone.
Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
A los, który mię panem niespodzianym robi
Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
Więc owszem z ciągłą myślą o tym niewolniku
Powracaj do ojczyzny i powiedz, Henryku,
Duartowi królowi, że temu poruczę
Więźnia, co mi przywiezie złote Centy klucze,
Nie inaczej. A teraz, jako moja własność,
Do Fezu ze mną raczy twa książęca Jasność.

Don Fernand.

Jako u mojej sfery słońcem idę wszędzie

Mulej.

Ach! serce moje smutek dwojaki posiędzie,
W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

Don Fernand.

Henryku, ja zostaję tu pełen pogody;
Na zło i dobro... wytrwam jak ludzie niezłomni.
Jedź i proś brata, niechaj o mnie się upomni
Jako pan chrześcijański.

Don Henryk.

On się zobowiąże...

Don Fernand, przerywając, mówi z powagą.
Niech się upomni jako chrześcijański książe...
Jak katolik.

Don Henryk.

Takim ja, mój bracie, powrócę.

Don Fernand.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę
I uściskam, bracie mój, Henryku kochany!

Don Henryk.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany?

Don Fernand.

Bywaj zdrów, Don Żuanie.

Don Żuan.

Żywot mój bez celu...

Ja tu, z tobą.

Don Fernand.

Więc zostań ze mną, przyjacielu.

Don Henryk.

O! dzień pełny nieszczęścia!

Don Fernand.

Wszyscy bądźcie zdrowi!

Jedź, Henryku, i powiesz ode mnie królowi...

Nie, nic nie mów! Słowom to powierzać daremnie,

Ot, tylko te lzy moje zanieś mu ode mnie.

Rozchodzą się, Don Fernand z Maurami, Don Henryk ku brzegowi
morskiemu.

D Z I E Ń II.

Ogród króla. — Na ganku pokazuje się *Fenixana*.*Fenixana.*

Zara! Estrella! Roza!... Cóż? nikogo niema oprócz róż?

Mulej wychodzi z poza wzgórza.

Mulej.

Piękna! w wołaniach imię zmień,

Ja ci odpowiem, lutni słodka!

I oko twoje mnie napotka, boś ty jest słońce, ja twój cień.

Za tobą chodzę naksztalt chmur, i słysząc echo twego

Wołanie twoje, zszedłem z gór...

[głosu,

Co dumasz?

Fenixana.

Ach! z mojego losu girlandy sobie czarne plotę.

W górach, gdzie jedno pochlebne,

Wolne, niewdzięczne i srebrne

I słodkie i szepczące tęsknotę źródło ma tajemną grootę,

I stamtąd strumieniem bieży kwiaty łąkom malujące;

Pochlebne, bo szepce coś łące

A własnym słowom nie wierzy;

Niestale źródło i zwodne, bo chociaż szemrze, pogodne;

Wolne, bo otwarcie gada, gdy głos zefirom poruczy;

Szalone, bo ze skał spada;

A słodkie, bo w trawach mruczy;

A głośnie, bo słyszane z daleka;

A niewdzięczne, bo ucieka;

Tam, przy tem źródle, zmęczona

Ściganiem za jedną sarną,

Z melancholią moją czarną ległam... a góry tej strona
Pokryta nakształt płomyków
Krzyzącą jaśnią gwoźdзикów,
Jakoby falą karminów i szmaragdami jaśminów
Błyszczała... Ledwo z tęsknotą
Smętnym się oddałam dumom
I samotnym źródła szumom i wielkiej ciszy... gdy oto
Szmer usłyszałam za sobą: przelekła, skoczyłam z trawy
I twarz w twarz z ciemną osobą,
Z duchem kobiecej postawy,
Z czarną spotkałam się marą: z Afrykanką suchą, starą,
W łachmanach, z pochyłym grzbietem;
Z cieniem człowieczej postaci
I z cienia tego szkieletem
Zeszłam się. Zda się, pień drzewa,
Co korę spróchniałą traci i bursztynem się oblewa.
Gdy czarne myśli naraisz, czarne wróżby ci przychodzą
I straszą i sercu szkodzą, nim się do nich przyzwyczaisz.
Gdy mię wzięła ta szalona za rękę, szatańskie plemię!
Myślałam, że wrosłam w ziemię,
Że byłam drzewem jak ona...
W oczach mi czarno i dymno...
Od jej rąk szło we mnie zimno;
I broniłam się daremnie,
Od niej strach przechodził we mnie...
A jej głosy obłąkane, pełne urągania bezczelnych,
I jadów pełne śmiertelnych, ciche, zaledwie szeptane,
W sercu się odbiły głucho, tak jak węże lały w ucho.
„Nieszczęśliwa niewiasto!” wrzasła,
„Nieszczęśliwa! śmierci będziesz łupem!
Proś, by piękność ta twoja zagasła
Wprzód, nim zmarłych zostanie okupem.
Tak... ta piękność twoja będzie ceną
A kupiony towar będzie trupem.”
To wyrzekła, a ja taką sceną zatrwożona i dotąd lękliwa,
Pół umarła a jeszcze pół żywa;
Ach! i lepiej bym cała umarła!

Niżby ta wróżba straszliwa,
Wiedźmie tej wydarta z gardła,
Była prawdą, nim wejść w mogiłę,
Nim te oczy blask niebios utracą.
Ach! więc ciało ludzkie! ciało zgniłe
Oszacują i mną żywą zapłacą.

Wychodzi.

Mulej.

Porzuć, piękna, te rozpaczę, ja ci te sny pełne trwogi
Jedynie przez mój los srogi rozwiązę i wytłómaczę.
Tarudanta masz być żoną! A jeśli go nie pokonam...
(Ach! na samą tę myśl konam!) To pewnie, że moje łono
Na dwoje mieczem rozkroi, nim go twa miłość napoi...
Więc zawsze widzę z daleka, jak mi los okrutny grozi;
Za mnie, martwego człowieka, on cię dostał i uwozi;
I tak... o! moja Syreno!
Przyszłość wróżbę sprawdzoną zobaczy;
Bo ty mego trupa będziesz ceną,
Bo z miłości skonam i z rozpaczę.

Ustępuje na stronę. — Wchodzi Don Fernand bez broni, ale
w książęcym ubiorze. Niewolnicy, pracujący w ogrodzie, zbiegają
się ku niemu.

Pierwszy niewolnik.

W tym ogrodzie, kopiąc grzędy,
Skorośmy tylko postrzegli, panie, że przechodzisz tędy,
Wszyseśmy oto przybiegli u nóg twoich się położyć.

Drugi niewolnik.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć!
I tę nam ulgę w nędzy dał jedyną.

Pierwszy niewolnik.

Tyś jest litośny! bo lzy twoje płyną,
Ty niewolników litujesz się męce.

Don Fernand.

Bracia! podajcie mi ręce. Bóg, co widzi ludzkie duchy,
On wie, że temi rękami chciałbym zdjąć wasze łańcuchy,

Ale nie mogę... Bóg z wami!... Pracujcie cicho i skromnie,
 A częściej o Nim niż o mnie
 Pamiętajcie... Smężna chwila!...
 Ale też miejcie nadzieję, bo zło, gdy nad miarę prze-
 To się często na dobre przesila. [leje,
 Pomnając, że i w ostatecznym
 Razie odwaga pomoże, idźcie z losem koniecznym,
 Sercami nie bądźcie w sporze. Uwaga ta niech was czyni
 Odważnymi na fortuny upiora,
 Bo to dziwna na świecie bogini!
 Trup z niej dziś, a kwiat był wczora,
 To się może znów jutro zaśmieje.
 O! Boże! cóż dawać rady! Kiedy ten tłum taki blady
 I smężny... takie łzy leje! Trzeba te nauki schować,
 Aż ich serca jęk nie zgłuszy. [duszy,
 Chciałbym was czem udarować, ale nie mam nic przy
 Przebaczcie mi, przyjaciele! Nadzieję się z wami dzielę,
 Bo sądzę, że nam z ojczyzny,
 Co pewnie tam o nas pamięta,
 Przybędą wkrótce okręta, zgoją cierpienia i blizny;
 Wtenczas, co ja mam na świecie, to będzie moje i wasze.
 Wszystkich rękami opaszę! wszyscy ze mną pojedziecie!
 Teraz idźcie już, biedacy, srogo bardzo spracowani;
 Idźcie znów do waszej pracy i bądźcie panom poddani.

Pierwszy niewolnik.

Twoje zdrowie, panie nasz, nieszczęsnym nam dodaje sił.

Drugi niewolnik.

Bogdaj ty setne lata żył! Bóg ciebie weź pod swoją straż!

Niewolnicy odchodzą.

Don Fernand.

Duch mój został pełny mąk i w smężnem dumaniu stoi,
 Żeście wy od moich rąk, biedni, tak odeszli z niczem!
 Biedni! biedni, bracia moi! któż nad sercem niewolni-
 Ulituje się prócz Boga? [czem

Mulej wychodzi z ukrycia, gdzie patrzył na poprzednią scenę.

Mulej.

Tu byłem. I żalność sroga zdjęła mnie... i z uwielbieniem.
Patrzałem, z jaką miłością traktowałeś niewolniki.

Don Fernand.

Zaprawdę, żem przejęty litością i przejęty był cierpieniem,
Patrzając na te męczenniki, które pan do taczek pędza...
I uczyła mię ich nędza, jak znosić więzy haniebne
I los swój dźwigać biednemu...
Kto wie? może mnie samemu wkrótce to będzie potrzebne.

Mulej.

Co wasza Jasność powiada?

Don Fernand.

Co?... kto się infantem rodził,
A dziś pan nim obcy władnie,
Niech wie, że los często spada,
I spadł już i jeszcze spadnie.
W infantstwo mię już ugodził;
A kto wie? może niżej pokłoni?...
Dzień za dniem nieszczęsny goni
I płacz z płaczem w łańcuch wiąże.

Mulej.

Nie mniejszy mój ból, ol książę! chociaż innego rodzaju,
Bo wasza Jasność do kraju, jak sądzę, wkrótce powróci...
Ale to, co mnie tu smuci, ratunku znaleźć nie może;
'Troska moja bezimienna... fortuna jak księżyc zmienna.

Don Fernand.

Gość jestem na waszym dworze,
I twój los mię serdecznie obchodzi,
A tyś mi nie dał nowiny, jak się tam tobie powodzi
Z sercem tej cudnej dziewczyny?

Mulej.

Łaski były na mnie złane. Ale wielką tajemnicą
Usta przypieczętowane i tą pieczęcią zamknięte...

Lecz przyjaźń ma prawa święte,
 Więc z jakąś winien różnicą,
 Tym dwom a równym potęgom, obojgu serca przysięgom,
 Powiem mową nieudolną, ile mi powiedzieć wolno,
 I com ci winien istotnie. Miłość ma cierpi samotnie,
 I bogata jest i biedna, bo jak Fenix na świecie jest jedna
 I nie ma podobnej sobie. Miłość moja jest na próbie,
 Bo dla oka, myśli, duszy, Fenix jest skłą wyobraźni;
 Fenix powodem katuszy dla czucia, miłości, bojaźni.
 Fenix nadzieję mi niszczy, gdy wątpię i czuję trwogę...
 Lecz gdy się na duchu wzmogę,
 Fenix mi nadzieją błyszczy.
 Fenix moją wieczną troską! Fenix moją iskrą boską!
 Tak mej przysięgi nie łamiąc, przyjaźni fałszu nie zadam,
 Bo o Fenixie ci gadam i nie milcząc i nie kłamiąc.

Don Fernand.

Więc ci powiem bez ogródki, otwarcie, żeś nie wart litości;
 Bo Fenixem są twe smutki i Fenixem ty jesteś miłości.
 Lecz mój ból, miły kolego, mój smutek, to co innego...
 Ludzie go pojmań niejedni, bo to jest smutek powszedni,
 I wielu już tak cierpiało.

Wchodzi król Fezu.

Król.

Książę, oto za tą skałą i tam za tymi parowy
 Kazałem przyrzadzić łowy. Nim słońce swój wieniec spali
 Pośród pereł i koralu, strzelce zaskoczą z przeciwka
 I tygrysa nam napędzą. Dla księcia to będzie rozrywka.

Don Fernand.

Panie, twe ręce nie szcędzą
 Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
 Zawsze wynajdując nowe
 Rozrywki rozrywkom bliźnie;
 Jeśli tak zwykłeś, pan dziki,
 Traktować twe niewolniki,
 To zapomną o ojczyźnie!

Król.

Więźniom takim jak ty, panie, którzy panów swoich
'Takiem winien traktowanie. [szczycą,

Wchodzi Don Żuan.

Don Żuan.

Panie, idź i spojrz strzelnicą na morze, a mówię szcze-
Ujrzysz najpiękniejsze zwierzę, [rze,
W którym się i dzikość szczera
I ludzka maluje sztuka. Jedna chrześcijańska galera
Do drzwi tego portu stuka. A taka piękna i wolna,
Choć cała czarna i smolna, że nam pojąć niepodobna,
Patrząc na tego sokoła, jak ona razem wesola
I w wesomości żałobna? Wszyscy tam wysoko stańcie,
Portugalski herb ujrzycie. Żałoba ta po infancie
Prędko nam pociechą zlegnie, bo z jej lotu po błękiecie
Widać, że po niego biegnie.

Don Fernand.

Przyjacielu, Don Żuanie, omyli cię ta rachuba.
Zły to znak to jej ubranie i ta żałoba jej gruba.
Oj, byliby oni biali, gdyby po mnie przyjechali.

Wchodzi Don Henryk z pergaminem w rękę, w grubej żałobie
ubrany, ze świtą.

Don Henryk.

Ręk mi pozwól, Tangierski mocarzu.

Król.

W szczęsny czas wasza Jasność przybywa...

Don Fernand do Żuana.

Don Żuanie, już ja na cmentarzu.

Król, na stronie.

Ceuta moja!

Don Henryk.

Niech mi wasza mościwa
Łaska brata uściskać pozwoli.

Don Fernand, ściskając brata.

Mój Henryku, czemu tej niedoli
Znak na tobie? i twarz taka blada?
Dość!... Twa postać mi to sama powiada.
Słów nie trzeba, bo mówią twe oczy...
Nie płacz, bracie, ja wiem, co cię boli,
Ja wiem, co ci serce tłoczy.
Masz mi donieść, że zostanę w niewoli?...
Ha! to dobrze, ja tego i żądam.
Niepotrzebnie cię w żalobie oglądam,
Mogłeś przyjść tu wesoło i w bieli
I mnie mogłeś uścisnąć weselej
I ucztować na każdym popasie...
Jak się ma brat mój miły i król mój?
Nic nie słucham, aż powiesz, jak ma się
Brat i pan mój...

Don Henryk.

O! bracie, ach, ból mój
Bez wyrazów... ach! ty nie wiesz, co czuję...
Niech raz tylko poselstwo sprawuję,
A ty, bracie, co mi towarzyszysz
Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,
I dość będzie jednego słuchania!

Do króla Fezu.

Panie, chociaż na tej górze, gdzieś przybył dla polowania,
Nie w stolicy twojej murze: podaruj mnie swą uwagę
A tego jeńca wolnością. Kiedy wielką nawałnością,
Kiedy wielką fal przewagą bici, na morskich rozruchach,
Utraciliśmy armadę; gdy infant został w łańcuchach;
Gdy te wieści, jędze blade, rozkołysane przez dzwony,
Przyleciały do Lizbony z wiatrem, co po morzu dyszał;
Kiedy król o nich usłyszał, to bez żadnej prawie skargi
Wpadł w melancholie serdeczne, a z melancholii w letargi,
A z letargów we sny wieczne. I zwłoki jego dziś leżą,
Płacze go ciżba nabożna; a ludzie, patrząc, dziś wierzą,
Że z boleści umrzeć można. Niebieska mu świeci chwała!

Don Fernand.

Tyle brata kosztowała moja niewola!

Król.

Wie Alla, ile mię ta śmierć zasmuca.

Don Henryk.

Otóż król, co świat porzuca, w swym testamencie pozwala,
Owszem, każe dać fortecę Ceuty za infanta osobę...
A ja przywdziałwszy żałobę, od króla Alfonsa lecę,
Jako od dziedzica tronu, którego jeszcze nie znacie,
Oto z tym aktem...

Don Fernand, wrywając pergamin.

Stój, bracie! Słowa te pełne pokłonu
Nietylko że nie są godne krwi królewskiej i wyrodne,
Niegodne są ust infanta, niegodne mistrza zakonu,
Od którego wiara czeka wsparcia i wiecznego zelanta;
Lecz niegodne są człowieka i niegodne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał,
Że mój brat, (niech mu Bóg świeci)
Włożył ją do testamentu, tę klauzę — to tylko na to,
Aby u ludzi widziano, że brat dba o swego brata;
Nie na to, aby czytano i tłómaczono to słownie.
Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę, to ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie, albo gwałtownie, z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o infanta. Jakżeby król katolicki
Jak on, wierny, sprawiedliwy,
Taki król jak on? — nieżywy,
Na swój proch oddany laurom kładł taką okropną plamę,
By Ceutę oddawać Maurom, tę Ceutę — miasto to same,
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W imię przenajświętsze Pańskie,
Ze szpadą i ze sztandarem przyskoczył i chrześcijańskie
Choraągwie zatknął na wieżach. A teraz byłoby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach, by miasto, które wyznało,
Że Chrystus jest Boga synem, kościoły pozakładało,
Gdzie się imię Jego święci pośród serdecznych płomyków,

I męka się ma w pamięci, aby kościoły już stare
Przez ludzi, przez katolików, przez ludzi, co mają wiarę
I tego Boga wyznają, przez ludzi, co serca mają!
Przez nas! przez Portugalczyków!

Były?!... Aby te kościoły, które złoconemi czoły
Podpierają mleczne pasy, jak naszej wiary Atlasy;
I na krzyż złoty pobożny wieszają słońca czerwone;
Aby przez księżyc dwurożny były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak jak męczennice! Więcże teraz te kaplice
Opuścili — byśmy tajnie?

Oddawszy na stodoły i stajnie; albo czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity? Gdy to mówię, tchu mi braknie!
Gdy myślę, stoję jak wryty; język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje i drży całe moje ciało!

Bo choć to nieraz bywało, że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga i dała mu sen w swoim żłobie,
Lecz meszkity? Boże Panie! Ach, toby na naszym grobie
Napisano: tu Chrześciane, przewrotnym podobni panom,
Wygнали Boga z kościołów, Boga i jego aniołów

I oddali je szatanom! byłoby sprawiedliwie,
Ażebyśmy boże gmachy, gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat pod nami w zatrwożeniu i podziwie,
Teraz otwierali sami, wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi chrześcijański a gorący

Z miasta wychodził płaczący, z dobytkiem, z całą rodziną:
A my, na te łzy, co płyną, patrzelibyśmy, gnąc szpady?
Aby osadnik nierady zmieniał wiarę dla majątku?

Aby tam Arab dzieciątka urodzonemu bez winy
Wlewał fałsz trupa z Medyny, za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary naginał, do swych zapędzał namiotów?
Do swego zamykał płota? Więc dla jednego żywota
Tyle chrześcijańskich żywotów! Tyle łez wylanych z powiek!
Cóż ja? czym więcej niż człowiek?

Cóż mię równa z ludzi likiem?

Czy to, że byłem infantem? Więc oto nie infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem, już nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy nikczemnie żyć i tu pana bogacić.

I któż wam każe tak płacić za niewolnika? Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem. Bo kto swoją wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja... dawno już umarłem.
Któż mię dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?
Daj! niech drę te pergaminy!
Niech drę na świstkietę kartę, niech drę na kawałki gadu,
I jeszcze je zjem już podarte, aby nie zostało śladu.

Drze pergaminy i kawałki połyka.

A teraz, królu i panie, rozkazuj mi, panuj srogo,
Jak chcesz... Niewolnik zostanie, którego kupić nie mogą.
Każ, niech mię łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny;
Cierpliwością cię nasycę. Henryku! wróc do ojczyzny
I mów: żeś mię tu w Afryce zostawił pogrzebanego.
Bo ja z żywota mojego taką rzecz pokorną zrobię,
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty.
Chrześcianie! książę Fernand już skończył!
Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
Lecz co do was, czas służby już wybył.
Maury! oto niewolnik wam został.
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył,
I łzy swoje połączył z waszemi.
Wy niebiosy! oto człowiek na ziemi
Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpira na skale.
Morza! morza! do fal waszych pada
Jedna łza, co powiększy wam fale.
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka.
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka.

A ty ziemio! oto garstkę popiołu
 Rzuca tobie i zewłok człowieka,
 Co z robaków twoich włoży laury...
 A to wszystko, by ten król i te Maury
 I ten infant i ziemi gdzieś końce,
 Chrześcianie i księżyc i słońce
 I niebiosa i ziemia i chmury i zwierzęta i morza i góry
 I kto jeszcze na powietrzu przytomny
 A pieczęć żywota nosi,
 Tu widzieli: jak książę niezłomny
 Wiare swoją przeświątą podnosi,
 W obronie praw bożych stawia,
 I przed Maurami wyznawa Jego Przenajświętsze Imię
 A choćbym w działowym dymie,
 Śród mieczów i ludzkich grotów,
 Bronił od ludzkiej obrazy niewymówionych przymiotów
 Tej, co poczęła bez zmazy, a miał w sobie sto żywotów,
 Oddałbym żywot sto razy!

Król.

Twardy, niewdzięczny człowieku!
 Także mi za łaski moje
 Odplacasz?... Jak śmiesz, robaku,
 Tego mi właśnie odmawiać, czego najwięcej żądałem?
 W państwie cię tak traktowałem jako brata, jako syna;
 Nie czułeś prawie niewoli. Lecz teraz przyszła godzina,
 Że cię twój łańcuch zaboli i los cię ukole srogi.
 Tu, więźniu! z duszą robaczą!
 Tu sam! niech wszyscy zobaczą, jak ty mi całujesz nogi...

Fernand klęka mu do nóg.

Don Henryk.

O! nieszczęście!

Mulej.

O! cierpienie!

Don Żuan.

Boże! co za poniżenie!

Król.

Do mnie twe należy ciało.

Don Fernand, wstając.

Tak, zaprawdę, ale mało, mało to ci mocy doda,
Panować nad kośćcami mojemi. Bo ta ziemia, to gospoda
W ogromnej naszej podróży; i na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił;
I na końcu każdej burzy znowu do ziemi powrócił.
Więc, żeś mi kazał pochyła
Twarzą paść tu, gdzie proch leży!
Za to ci wdzięczność należy, bo mię oswajasz z mogiłą.

Król.

Ponieważ jesteś w niewoli, zatem więc idzie z porządku
Że nie możesz mieć majątku, ni pieniędzy, ani roli.
Więc ponieważ ciebie trwoga
Może zmusić... lub bicz pana,
Czemu mi Ceuta nie zdana?

Don Fernand.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga.

Król.

Nie jest-że to pierwsze prawo, że niewolnik pana słucha?

Don Fernand.

Nie przeciwko prawom ducha ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą, ale uchrystusowana
Natura z woli przymiotem,
Która służy... grzech ją maże.

Król.

Podły jeńcze, zabić każe. Dam ci śmierć...

Don Fernand.

Śmierć jest żywotem.

Król.

Więc życiem ciebie obdarzę, ale takim, że się zleknieysz
I sam śmierci będziesz chciwy. Bo jam srogi.

Don Fernand.

Ja cierpliwy.

Król.

Obaczymy — zaraz zmiękniesz. Hej...

Wchodzi Selim, dozorca niewolników.

Selim.

Co, panie?

Król.

W mgnieniu oka

Wziąć go, niech mi stóp nie plami,
 I porównać go z jeńcami. Niech jego postać wysoka
 Ugnie się pod równą nędzą, niechaj go do łazien pędzą,
 Niech moich koni dogląda; dać mu w ręce taczki, grabie
 A zdjąć te jasne jedwabie i ubrać w szarak ubogi;
 Dać chleba, gdy jeść zażąda, spleśniałą wodę niech pije;
 Łańcuch mu włożyć na szyję, łańcuchami okuć nogi;
 W mazamorach bez podłogi na wilgoci niechaj lega;
 Niech jego orszak służebny tym samym prawom podlega,
 Co on.

Don Henryk.

O! wyrok haniebnym!

Mulej.

O! żalości!

Don Żuan.

O! rozpacz!

Król.

Zobaczy ten jeniec! zobaczy!
 Czy mi jego duma sprzeczna
 I cierpliwość na tej próbie wytrwa..

Don Fernand.

Wierz mi, wytrwa tobie,
 Bo ta cierpliwość jest wieczna.

Wychodzi za dozorcą niewolników.

Król.

Henryku, a co do ciebie, to ci powrotu nie bronię.
Wracaj i powiedz w Lizbonie,
Niech się w popiołach zagrzebie,
Bo stracon ratunek wszelki, bo jej infant, jej mistrz wielki
Został tu... czyści mi konie.
Niech mu z ratunkiem przychodzą.

Don Henryk.

O! przyjdą! klnę się przed światem,
Że przyjdą pod Boga wodzą.
A że ja tu z moim bratem nie zostałem, choć serce boli,
To dlatego, królu fezki, że przyjdę, jak syn królewski,
Uwolnić brata z niewoli.

Wychodzi ze światą.

Król.

Czyń, co ci rozum poradzi.

Wychodzi.

Mulej.

A teraz nic mi nie wadzi, ażebym się Fernandowi
Z długu wdzięczności uiścił.

Wychodzi.

ZMIANA I.

Inna strona ogrodu, zdala pracują niewolnicy i widać Fezu mury.

Wchodzi *Don Fernand* w niewolnika siermłędze i *Selim*.

Selim.

Król każe i to stanowi, abyś tutaj ogród czyścił;
Posłuszny więc bądź królowi i schyl do pracy ramiona.

Don Fernand.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.

Wychodzi z *Selime*.*Pierwszy niewolnik*, zbliża się, splewając.

Oj, na Tangier wysłał król... Jaki ból! jaki ból!
Na podbicie wysłał świata

Don Fernanda, swego brata, posłał król! posłał król!
Aby zawojował Fez, ile łez! ile łez!

Don Fernanda wysłał król... Ile łez! jaki ból!

Don Fernand wchodzi i zdala słucha tej piosenki.

Don Fernand.

Już z historyi mojej jest piosenka,
Już ją słyszę żałośnie śpiewaną.
Smętny jestem i serce mi pęka,
Duszę jakby mam zaturbowaną
I złąknioną...

Pierwszy niewolnik, nie poznając księcia.

Co ci jest, niewolniku?

Czy ty nie wiesz, że wolność mieć mamy?

Infant wraca i wszyscy wracamy,

A tu na tym mogilniku

Nie zostanie z nas żaden! z nas żaden!

Don Fernand, na stronie.

O! jak prędko tę nadzieję stracicie!

Pierwszy niewolnik.

Przynieś, bracie, wody na ten gradyn

Polać kwiaty.

Don Fernand.

O wodę prosicie?...

O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,

Który z wami smętne życie wiodę,

Udajecie się, bracia, po wodę,

Bo zaprawdę... że choć cierpię niezłomnie,

Jakiś robak, tu, serce mi toczy,

Pełne serce i łez pełne mam oczy.

Bierze wiadra na plecy i wychodzi.

Niewolnik.

Nam do łaźni iść teraz wypada,

Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.

Wchodzi Don Żuan, szukając oczyma księcia między niewolnikami.

Don Żuan.

Szukajmy, czy ta gromada gdzie mego księcia nie mieści? Może go ci robotnicy widzieli?... szukam go wszędzie. Przy nim i mniej mi boleści, i siły w sercu przybędzie... Bracia, powiedzcie mi, proszę, czyście tu gdzie nie widzieli Noszącego kwiatów kosze księcia Fernanda?

Pierwszy niewolnik.

Nie, bracie.

Don Żuan, na stronie.

Pomóżcie, święci anieli! bo łez utrzymać nie mogę.

Pierwszy niewolnik.

W łaźni go pewno spotkacie. Pokażemy tobie drogę Do tej gorącej piekielni.

Don Fernand wchodzi z wiadrami na plecach.

Don Fernand, patrząc w niebo.

Czy się nie złękniecie, śmiertelni,
Widząc w takim pohańbieniu
I mizeryi infanta korony?
Mistrza Avis? czy w zastanowieniu
Czas nie stanie, jak stają zegary!!

Don Żuan.

O mój panie! jaki ty zbiedniony!?
O mój panie! w jakim ty odzieniu!
O! mój książę! do jakiej ty mary
Już podobny? jak żal cię już strawił!

Don Fernand.

W imię Ojca!... wielkiś smutek mi sprawił
Tem odkryciem, drogi Don Żuanie,
Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie
Między ludźmi własnymi, w tym cebrze
Nosić wodę, jak człowiek, co żebrze
I pracuje, tak biedny jak oni.

Pierwszy niewolnik, klękając.

Przebacz, panie! i daj mi twej dłoni,
Jam nie wiedział, kto jesteś; nas wielu
Nie wiedziało...

Drugi niewolnik.

Całujemny twe nogi.

Przebacz, panie.

Don Fernand.

Wstań, mój przyjacielu.

Ja ci równy, niewolnik ubogi,
Jak ty... pana mego teraz własność.

Don Żuan.

Wasza Jasność...

Don Fernand.

Puść! jaka tam Jasność!?

Rzuć ten tytuł, mój drogi biedaku!
Jaka, proszę, mi Jasność w żebraku?
Jasność!?!... jestem ci równy, kolego,
I ty teraz traktuj jak równego,
I wy wszyscy traktujcie jak brata.

Don Żuan.

Czemuż piorun mię w proch nie obróci!
Czemuż czaszki mi grom nie rozpląta!

Don Fernand.

Don Żuanie, to serdecznie mię smuci,
Że utrzymać nie umiesz powagi
Jako szlachcic... i potępiam tę żywość..
Bo zwątpiłeś w nieba sprawiedliwość,
A tu trzeba spokojnej odwagi
Ufającej.

Wchodzi Zara z koszykiem.

Zara.

Chodźcie tu, niewolniki. Fenix, moja pani, prosi,
Ażebyście te koszyki napelnili kwiatami.

Don Fernand, biorąc koszyk.

Ja pierwszy

Będę kosił je tak, jak śmierć kosi.

Niewolnik.

Idźmy tam, gdzie ogród szerszy.

Zara.

Ja z ganku patrzę za wami, jak chodzicie za kwiatami
I polewacie je łzami.

Don Fernand, do niewolników.

A wy bez tych już pokłonów, bracia moi ukochani;
Losem my już porównani, a jeszcze królowa zgonów
Jutro we drzwi zakolące, szerszą równość postanowi;
Więc, bracia, na co tę pracę zostawiać jutro grobowi?

Wychodzi z Don Żuanem i z niewolnikami.

Wchodzi Fenixana i Zara.

Fenixana.

Czy posłałaś niewolniki po kwiaty?

Zara.

Zaraz powrócą.

Fenixana.

Zasmuciły mnie słowiki, kwiaty może odesmuca
I kolorami zabawia.

Roza.

Twe fantazyje takie ładne i piękne, że ach! nie zgadnę,
Jakie ciebie smutki trawia, gdy je kwiatami malujesz?

Zara.

Cóż ty cierpisz? cóż ty czujesz?

Fenixana.

Nie sen to był... ale widzenie,

Ale mój los i przeznaczenie.

Bo czy nieszczęsnemu śni się,

Że znalazł gdzie skarby duże?

Brylanty jak jaja kurze w perłowej leżące misie?

Czy mu się przyśni, że czyta napis literami krwawemi,
 Że wszystko stracił na ziemi, tak, że we śnie aż zazgrzyta?
 Jeśli go nieszczęście tłoczy, zarówno obudzonemu
 Spojrzy na świat w zbudzone oczy
 Nieszczęściem... Biada biednemu!
 Ach! i mnie nieszczęsnej biada, na którą los taki spada,
 Że za umarłego mię dadzą.

Zara.

Na to płacze nie poradzą. Jeśli ciebie takie smutki roz-
 Jakże cierpieć ma... ach, ten umarły? [darły,

Fenixana.

Ktoż słyszał o takim losie, jak ten, co nade mną świta!
 Nieszczęśliwa ja kobieta! wykąpana w kwiatów rosie,
 Jako perła czysta, biała, biała jak srebrne łabędzie
 Przy żółci trupiego ciała...

A ten trup — ach, kto on będzie?

Zda mi się, żem go widziała, ciągle mi się w oczach roi.

Wchodzi Don Fernand z koszem kwiatów i staje nagle przed
 Fenixaną.

Don Fernand.

Ten trup — tu — przed tobą stoi.

Fenixana.

Co widzę? anieli w niebie!

Don Fernand.

Cóż cię trwoży?

Fenixana.

Ty! twoja twarz!

Strach mię zdjął, patrząc na ciebie.

Don Fernand.

I zaprawdę słusność masz dziwić się fortunie światów.
 Przyniosłem ci, oto, kwiatów w koszyku, garstkę pokosu.
 Zbierałem, gnąc się ku ziemi. Są niektóre między nimi
 Hieroglify mego losu; wyciągnij, znajdziesz niektóre,
 Co były rano szczęśliwe jak ja...

Fenixana.

Ręce moje chciwe lecą na tych róż purpurę
Jak gołębie. Ach, ten kwiat, który mi już w rękę spadł,
Znalazłam wczoraj wśród łąk i nazwałam: maravilją.

Don Fernand.

Ach! tak nazwij każdą lilję, z moich niewolniczych rąk
Podaną... czyż nie jest cudem?

Fenixana.

O prawda! prawda! Lecz któż cię tak zmienił?
Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

Don Fernand.

Seniora, mój los.

Fenixana.

Twój los, taki srogi?

Don Fernand.

Tak twardy, pani!

Fenixana.

Ach, tyś mię skamienił!
Powiedz? za cóż to?

Don Fernand.

Jesteśmy skazani,
Rodząc się tu już, na mękę i ból.

Fenixana.

Czyż ty nie Fernand?

Don Fernand.

Ja Fernand, tak, pani.

Fenixana.

Któż skazał?

Don Fernand.

Prawo.

Fenixana.

Któż miał prawo?

Don Fernand.

Sam król.

Fenixana.

Za cóż to?

Don Fernand.

Jeniec, do niego należę.

Fenixana.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczora król wysoko cenił!

Don Fernand.

A dzisiaj serce, jak widzisz, odmienił.

Fenixana.

Ach, więc-że gwiazdom, co przy sobie siedzą,
Dosyć jednego dnia, by się rozeszły.

Don Fernand.

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą weszły,
Same ci na to, pani, odpowiedzą.
Kwiaty, co wschodzą na ranek umyte
I tak się w zorzach rozwinęły jasno,
W objęciach nocy pomarszczone zasną
I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!
Lilije w tęczę kolorów spowite
I umoczone w złoto i karminy
Zejdą, jak duchy aniołów z doliny,
Z jednym dniem życia pięknego pozbyte.
A czy to rosy spadały obfite,
Czy otulone były mgłą i tęczą,
Śmierć je znalazła w godzinę urodzin.
Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręczą,
Że wieki, które się wloką i dręczą,
Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

Fenixana.

Ranisz mię... słyszę zdaleka w twoim głosie wieków głos.
Kto cierpi na własny los, od cierpiącego ucieka.

Don Fernand.

A te kwiaty? take śliczne?

Fenixana.

Jeżeli pomiędzy nami są kwiaty hieroglificzne,
Jak losy twoje, żółobne, to je rozsypię po ziemi
I zdepcę...

Don Fernand.

Cóż dę w nich rani?

Fenixana.

Ach, że są do gwiazd podobne!

Don Fernand.

Przebacz mi te gzechy, pani.

Fenixana.

Co?

Don Fernand.

Niestalość, różne blaski.

Fenixana.

Nie, wszystkie wyuszczam z łaski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

Don Fernand.

Jak to?

Fenixana.

Moje przznaczenie

Z jedną smętną giazdą chodzi:
Dlatego, bo kobiet się rodzi
Gwiazdom podległ i kwiatom,
Co ją prowadzą d truny.

Don Fernand.

Wiem, że w kwiaach są piołuny.
Ale ach! niebieskich światom
Wpływy przysądzm uczynne.

Fenixana.

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne.
 Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne,
 Niebieskie mają ze słońcem sojusze
 I leją w słońce całą światła duszę,
 Są także dniowi jednemu podwładne.
 Kwiaty błękitu — bo są takie ładne
 Jak te, którymi oto ziemię prósze.
 Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
 Gwiazda ci mówi: przez noc jedną spadnę.
 Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
 Jeśli się od nich nasze losy winą,
 Nie dziw, że często spadają i błędzą,
 I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną.
 I naszym losem tak niestale rządzą
 One, co przez noc palą się i giną.

Odchodzi.

Wchodzi na scenę Mulej, który przy końcu tej sceny
 stał za drzewami.

Mulej.

Czekałem, aż się oddali Fenixana. Pierwszy raz
 Od jej oka, od jej kras uciekam jak orzeł smętny,
 Gdy na słońcu oczy spali. Fernandzie, czy jesteś sam?

Don Fernand.

Cóż mi powiesz, Muleju szlachetny?

Mulej.

Oto chciałem, abys wiedział, że czasem i w sercu Maura
 Znajdzie się miłość i wiara, radząca czyny rozpaczne.
 Ach, nie wiem, od czego zacząć?
 Nie wiem, czy ci mam powiadać,
 Ile ja cierpiałem na to, kiedyś ty zaczął fortunie
 Ulegać, pod nią upadać, jej niesłusznej podległ zmianie
 I poszedł na urąganie i stanął za przykład losów.
 Ach, jak one z ludzi szydzą! tyle nędzy! tyle ciosów!
 Niech mię tu ludzie nie widzą,

Że z tobą, Fernandzie, gadam.
Bo król wydał rozkaz srogi, aby ustępować z drogi,
Traktować cię bez respektu: lecz ja do nóg ci upadam,
Fernandzie, pełny afektu i wielkiej wiary dla ciebie;
Twój niewolnik, a w potrzebie
Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
Tych chwil, więc krótko ci powiem,
Że przychodzę dług zapłacić,
Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
Wolność wolnością; więc żądam ...
(Daruj mi, że się oglądam,
Czy nas gdzie nie widzą z murów)
Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
Weź je o! panie ... a skoro
Noc się zaczerni, gotowa będzie łódź pod mazamorą,
Łódź dobra, silna i zdrowa,
Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.
A wtenczas ty, panie, duchem napełń twoje niewolniki,
Rozkuj więzy; znajdziesz na to gotowe piły, pilniki,
Zapas ubioru, bielizny; weź ich i na łódź skrzydlatą
Wsiadaj i uchodź szczęśliwy do miłej tobie ojczyzny.
Ja zaś tu zostanę żywy odpowiadać życiem, zdrowiem,
I czem trzeba, tem odpowiem
I przed królem i przed prawem;
Gotów twoim być zastawem choćby głową, jestem gotów.
To wszystko. Ach, jeszcze sądzę,
Że ci potrzebne pieniądze?
Więc oto garstka klejnotów za mój okup niechaj służy.
Bo człowiek, gdy się zadłuży, połowę przyjaźni traci,
Gdy pieniądz serca przegrodzi.
Dopiero, gdy dług zapłaci
I usunie tego rocha, z przyjacielem równiej chodzi,
Lepiej czuje, wolniej kocha.

Don Fernand.

Mówisz mi o wolnej łodzi ...
Chciałbym ... Lecz patrz, król nadchodzi.

Mulej.

Czy nas widział?

Don Fernand.

Nie.

Mulej.

O, panie!

Skryj się.

Don Fernand.

Tutaj w tej altanie.

Fernand kryje się do altany. — Wchodzi król i uważa to zdaleka

Król, na stronie.

Gadali tajemnie oba. Jeden skrył się do altany,
Drugi stoi pomieszany. Wcale mi się nie podoba
To zejście obu, ta zmowa. Jeden się przede mną chowa
Drugi zlekły stoi, czeka. Więc go podejdę zdaleka,
A słuszny, czy nie, powód trwogi
Usunę. Do Muleja. Bardzo się cieszę...

Mulej, przerywając.

Panie, pozwól uściskać twe nogi...

Król.

Żem cię spotkał tu...

Mulej.

Co mi rozkażesz?

Król.

Wyznam tobie, żem mocno żaloszny
Z niepoddania się Ceuty.

Mulej.

O, panie!

Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu.
Siłom twoim nie oprze się miasto.

Król.

Nie, Muleju, ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego...

Mulej.

Jak to, panie!

Król.

O tak, przyjacielu,
Myślę nędzą i głodem okropnym
Tak przycisnąć Fernanda infanta,
Że mi sam tej fortecy da klucze.
Rzecz mię jedna tylko trwoży...
Oto infant, ten książę, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół.
Sami jeńce go widząc w niedoli
I w cierpieniu, gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść... a baczę też na to,
Że pieniądze łakomą są rzeczą,
Więc strażniki przejęte zapłatą,
Mogą jeńca wypuścić... a nie mam
Pewnych ludzi...

Mulej, na stronie.

W tej go myśli utrzymam.

A tak, widząc moję dobroduszną, o mnie bać się nie będzie.

Głośno.

Masz słuszość!

Myśli twoje biorą dobry kierunek.

Król.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób, a o tym sposobie...

Mulej.

Cóż to, panie?

Król.

Pod straż go dam tobie,
Bo wiem, że cię nie kupi brylantem
Ani kiesą... Więc ty nad infantem
Postanowion, bądź jemu alka-dem...

Ufam tobie, a jedynym zakładem
Za infanta twój honor mi stoi.

Odchodzi.

Mulej.

Słyszał wszystko i o mnie się boi,
Albo sam się domyślił wszystkiego. O! Allachu!

Don Fernand, wychodząc z altany.

Cóż tak smutny, kolego?

Mulej.

Nie słyszałeś, co pan ten okrutny?

Don Fernand.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

Mulej.

Czemuż pytasz, dlaczego ja smutny?
Dlaczego stoję zmieszany? Dlaczego rozmawiam z sobą?
Czemu żal mi pierś rozrywa? Pomiedzy królem a tobą,
Posłuszeństwem a przyjaźnią straszna się walka odbywa.
Sumienie mi będzie kaźnią, jeśli króla mego zdradzę;
Węgłe na głowę zgromadzę, jeżeli ciebie opuszczę...
Ach! zaszedłem w straszną puszcze!
Myśl zbłąkanego odbiega... król na mnie tylko polega,
Ty we mnie masz tylko nadzieję... radź, co czynić!

Don Fernand.

Miłość grzeje, i przyjaźń szczęście stanowi;
A choć obiedwie są święte
I zdradzone są ohydą, lecz w porównanie nie idą
Z wiarą należną krajowi i klękają przed nią zgięte
Te anioły naszych dusz, więc radzę, królowi służ
Z tą wiarą niepokalaną. A ja tu przyrzekam święcie,
Że choćby mi dziś dawano wolność na pierwszym okręcie,
Co do Portugalii płynie, odrzucę, bo na mnie leży
Twój honor i przeze mnie nie zginie.

Mulej.

Jesteś zwierciadłem rycerz! ale mi nie dawaj rad,
Wszak ty mi wróciłeś życie! smętnemu wróciłeś świat!
A ja miałbym... nie, mój księżę!
Tej nocy, jak była zmowa, u brzegu ci łódź przywiążę;
Uchodź, a moja tu głowa odpowie.

Don Fernand.

Bracie mój miły, byłżebym ja sprawiedliwy?
Dałżebym ja dowód siły i serca? wolności chciwy,
Z hańbą mego przyjaciela... hańbą się jego bogacąc,
Honor biorąc, serce tracąc? wolność, ten brylant wesela,
Jażbym jego łzami płacił? zostawiał tu męczennikiem?
Jeżeliś miary nie stracił, która czyny ludzkie mierzy,
To bądź mi sam poradcikiem i mów, czy mi to należy
Uczynić?

Mulej.

Ach! nie wiem, panie, co ci sam na to poradzę...
Powiem: nie, to serce pęknie,
Powiem: tak, to ciebie zdradzę,
Jak przyjaciel, co sam zmięknie
I w trwodze źle radzi może.

Don Fernand.

Więc ja tu słowo położę niewzruszone, gład ogromny.
Wiedz, że mię tu sądy boże skazały, bym wybrał miarę
Litości i tu za wiarę skonał jak księżę niezłomny.

D Z I E Ń III.

W pałacu króla fezkiego. — Wchodzi Król i Mulej.

Mulej, na stronie.

Ponieważ pomódz nie mogę Fernandowi niczem prawie,
Do króla się za nim wstawię, może on co postanowi
Litośniejszego z tym jeńcem.

Głośno.

Panie, służyłem ci wiernie i na lądzie i na morzu;
Wszędzie, gdzieś mię tylko użył...
I jeszcze tę pierś postawię... a jeśli na łaskę zasłużył,
Dziś wysłuchaj mnie łaskawie.

Król.

Cóż tam?

Mulej.

Fernand...

Król.

Dosyć tego.

Mulej.

Sądziłem, żeś mi łaskawszy?

Król.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
Jużes tknął mię i zostawiasz smętnego.

Mulej.

Jak to, panie?

Król.

Bo przysięgam na duszę,
Że dać chciałbym, a odmówić ci muszę.

Mulej.

Wszakże jestem strażnikiem książęcia,
Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

Król.

Mów, lecz nie sądź, że będę łaskawy.

Mulej.

Ten Fernand, co z niemowlęcia na króla był wychowany,
A dzisiaj tak podeptany żałością stopą fortuny,
I tak blizki, panie, truny, takim straszhwym posągiem
Do grobu po stopniach złata, że fortuny dziwolągiem
Wyduje się w oczach świata,

Który patrzy i drży z trwogi, widząc jej deptające nogi.
A myśli świat i o tobie, o twojej mocy i sile,
Co takiej wielkiej mogile rzuca takie wielkie ciało.
Ty go sam trzymasz przy grobie,
Tyś mu jest na piersiach skałą; ty, panie, pod twoje nogi
Wzięłeś piersi takie dzielne, to czoło takie naczelne!
Rzekłeś, a on dziś ubogi, nieszczęsny żebrak i nędzarz,
W rdzawym na szyi łańcuchu, nie godzien twojego słuchu,
Oczu, które ty oszczędzasz, abyś nie stracił płaczących;
Litości u przechodzących prosi rękami obiema,
Litości prosi i nie ma nawet litości!... Bo jako
Rozkazałeś, panie srogi, aby wymiatał podłogi
I strawę miał lada jaką, a potem odmówił strawy
I chleba dawać zabronił, a do stajen twoich gonił
I w loch zapędził plugawy
Sypiać w mazamorach ciemnych,
Gdzie wilgoć ma gad i plamy.
Z członków się jego nikiemnych
Zrobił trup, a z oczów jamy... te oczy niegdyś pogodne,
Dziś na ludzi patrzą głodne, we łzach bolesnych czerwone,
Suche, głodem zapalone; a ręce jałmużny proszą.
Rankiem swój go wynoszą z mazamor jako kość bladą
I gdzieś go na słońcu kładą.
Gdzieś na słońcu, pod murami; potem uciekają sami,
Bo... (ach, głos mi w piersiach głuźnie)
Bo ten książę trupem cuchnie, gnije żyw, z kości opada;
Nikt z nim nie żyje, nie gada, nikt przy jego mazamorze
Od swądu wytrwać nie może; tak kość, ciało, co się cegli,
Trąci i tak się rozpada, że go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa został przy tym panu biednym
I przyjaciel jeden jednym, szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa, ani dżuma, córka galer,
Nie odstraszyły od pana. Ci dwaj, jeden mu kolana
Okrywa łachmany wielą, drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dzielą,
Choć dla jednego nie staje tej części... Bogi to wiedzą,
Jak oni ją we trzech jedzą?... Jeszcze często książę musi,

Gdy go chleb żebrany krztusi a przyjaciele go śledzą,
Musi kawałek podany jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obrozę
I gardło (o! jasne nieba!) tego żebrackiego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.

A zaś owych karmicieli służba twoja srogo karze,
Kijem biją twoje straże. Więc przy panu jeden czuwa
I słowami go weseli, drugi żebrze i z nim dzieli
Chleb i łzę, co chleb zatruwa.

O! skończ, panie, już tę mękę! ulż więźniowi w imię Boga!
Spuść mu, panie, podaj rękę, nie stężaj tego powroza.
Bo to już nie żal, lecz trwoga,
Nie litość bierze, lecz zgroza!

Król.

Przestań na tem.

Wchodzi Fenixana i rzuca się do nóg królowi.

Fenixana.

Królu panie!...

Król.

Cóż tam, moja córko miła?

Fenixana.

Jeżelim ja zasłużyła, przez miłość i przez pokorę,
Na twoje, ojcze, kochanie, przychodzę o łaskę prosić.
Niech ją z twoich rąk odbiorę.

Król.

Choćby królestwo! pół berła!...
Niechaj prosi wschodu perła.

Fenixana.

Ojcze! Fernand...

Król.

Dosyć! dosyć!... Dalej nie gadaj, bo próżno.

Fenixana.

Ojczy, zgrozą już przenika! Daruj go jaką jałmużną,
Ulituj się niewolnika! nieszczęsny aż do łez wzrusza.

Król.

A któż go do tego zmusza,
Aby cierpiał?... Nędzny, słyszę,
Lecz on sam swój wyrok pisze,
Sam swoją pieczęć przykłada. A pod nędzą nie upada,
Choć wyszedł z głodu na marę;
Ale chce cierpieć za wiarę, co mu niebiosy otwiera...
Chce umrzeć, niech więc umiera,
Ja zeń mej nie zdejmę nogi, bo on sam nad sobą srogi,
Chce żyć w nędzy i plugastwie;
I nie ja się nad nim pastwię, ale on sam siebie męczy.
Niech mi Ceuty klucze wręczy, dziś wolno puszcę infanta.

*Wchodzi Selim.**Selim.*

Panie, przyszli dwaj posłowie. Jeden z nich od Tarudanta,
A zaś Portugalczycy drugiego przysłali w łodzi.

Fenixana, na stronie.

Ach! jeden po mnie przychodzi!
Tarudant po mnie przysyła!

Mulej, na stronie.

Ach! w dniu jednym taka siła
Nieszczęść na serce mi spada!

Król.

Wpuścić obu... Fenixanie
Tu miejsce, niech przy mnie siada.

Król siada z Fenixaną na tronie. — Wchodzi Alfons, król portugalski
w posła charakterze i Tarudant, infant Fezu, również jako poseł.

Tarudant.

Przepotężny Fezu panie!

Alfons, nie dając się wyprzedzić.

Przesławny Maurów tyranie!

Tarudant, mówiąc razem z Alfonsem.

Którego moc . . .

Alfons.

Którego siła . . .

Tarudant.

Bogdaj trwała . . .

Alfons.

Bogdaj żyła . . .

Tarudant.

O! zorzo tego narodu!

Alfons.

O! jutrzeńko jasna wschodu!

Tarudant.

Obyś lata . . .

Alfons.

Obyś wieki wielkie i nieprzeliczone . . .

Tarudant.

Miał laury . . .

Alfons.

Nosił koronę.

Tarudant.

W każdej walce . . .

Alfons.

W każdym czynie . . .

Tarudant, do Alfonsa z gniewem.

Jak ty, psie chrześcianinie,
Ważysz mi się głos przewlekać?

Alfons, do Tarudanta.

Jak ty się tu ważysz czekać, gdzie ja gadam?

Tarudant.

Słuszność każe, że gdzie Arab tron zasiada,
Tam najpierwszy Arab gada.

Alfons.

A gdzie znają gospodarze grzeczność, tam prawo stanowi,
Że głos pierwszy dać gościowi.

Tarudant.

Nie znam ja takiego prawa. Niech dla gości pierwsza ława,
Ale głos...

Król.

Siadajcie oba i niech poseł chrześcianów,
Jako nieznańsza osoba, ma głos.

Alfons.

Krótko powiem, panie. Oto Alfons, Luzytanów
Król, którego panowanie sławne terazpo wszej ziemi,
A ustami bronzowemi sławy po morzach głoszone,
Pozdrawia twoją koronę, zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata, który się wolność¹ wzdraga
Kupionej Ceutą i duszą, aby teraz ta zapłata
(Nim się jędze wojny ruszą) dla zobopólnej ugody,
W innych mogła być pieniądzech.
Poszukaj, panie, w twych żądzach,
Oszacuj dwa takie grody jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie;
Alfons je pewno wypłaci
I przyjaźń z tobą zachowa. Lecz gdy tę nadzieję straci,
A z wiatrem pójdą te słowa,
Ten sam wiatr z ponad odmętów
Nagna tu tysiąc okrętów; flotę, co już brzegów sięga,
Krzyżami zaczęła błyskać, i króla, który przysięga
Ogniem i mieczem odzyskać księcia i walczyć dopóty,
Aż więzień będzie rozkuty. A te pola i doliny
Szmaragdów pozbędą kłosa i ubiorą się w rubiny,
Nim słońce zajdzie w niebiosy.

Tarudant.

Choć jako poseł zasiadam, lecz krewny tego mocarza,
Jako taki odpowiadam na to, co Pana obraża
I rani. — Powiedz ode mnie Alfonsowi, jego rzeszy,
Niechaj się na pola śpieszy, bo nim się w blasku lazurze
Jutrzenki pokażą róże i ozłocą wschodnie chmury,
Na ziemi będą purpury.

Alfons.

Gdybyś ku nam się podźwignął przez jaki wielki uczynek,
Możeby tu pojedynek tę całą sprawę rozstrzygnął.
I tak rzecz niech z nami stanie:
Niech Tarudant krwi nie skąpi,
Niech wasz król przyjmie wyzwanie,
A ja w tem, że mój wystąpi.

Tarudant.

Kłamiesz! król się twój przełęknie.
Tarudant placu dotrzyma.

Alfons.

Więc na pole...

Tarudant.

Aż krwią zmięknie...

Alfons.

Aż krew wytryśnie oczyma,
Będę patrzył, czy przybędziesz?

Tarudant.

I niedługo patrzeć będziesz, bo ja piorun.

Alfons.

Jam obłokiem!

Tarudant.

A ja piorunowym smokiem!

Alfons.

A ja wulkan z ognia łonem!

Tarudant.

A jam jędzą!

Alfons.

A ja zgonem!

Tarudant.

Słuchasz... i żyjesz? to dziw!

Alfons.

Widzisz mnie i jesteś żyw!

Król.

Niech wasze jasności obie na czas pofolgują sobie;
Bowiem i słońce już blizkie zachodu... A niechaj pomną,
Że bez mego pozwolenia na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie. A teraz niechaj pozwolą,
Abym gościnnością służył.

Alfons.

Kto mię ugaszcza niedolą i podał czarę żałości,
Ten inaczej nie ugości i gościna nie przynęci.
Po Fernanda tu przyszedłem i miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić, a zachować króla sławę:
Teraz czekam na odprawę.

Król.

Odprawa, królu Alfonsie, będzie krótka. Jasny panie!
Jeśli mi nie oddasz Ceuty, to infant u mnie zostanie.

Alfons.

Ponieważ przychodzę zbrojny poseł srogi, wieszczby kruk,
Ogłaszam żalobę wojny.

Do Tarudanta.

A ty czy poseł, czy wróg, chodź w pole. Za godzin trzy
Cała niech Afryka drży.

*Odchodzi.**Tarudant, do Fenixany.*

Wojny ognista pochodnia, która o czasie stanowi,
Twojemu niewolnikowi nie daje służyć inaczej,

Niechaj mnie więc perła wschodnia zgiętego u nóg obaczy
I ręką swoją obdarzy, a weźmie duszę w niewolę.

Fenixana.

Nie przystoi dla mocarzy takich jak ty w takim dole
Zostawać, i w tej pokorze utracać godności miarę.

Mulej, na stronie.

Słyszeć to i żyć! o! Boże!

Król.

Wasza Jasność godzin parę niech przyjmie moją gościnę.

Tarudant.

Królu! za ledwo godzinę mogę czekać. I to jeszcze
Jak ambasador obwieszcze, że jestem umocowany
Wybiwszy memi kolany przed tą pięknością dwa groby,
Prosić o dar jej osoby i z sobą wziąć ten skarb drogi.
Przebacz, że tak krótko proszę, i tę piękną stąd unoszę
Niby orzeł, pełną trwogi.

Król.

We wszystkim, panie, me żądze
Prześcigasza takim życzeniem.
A ponieważ to być sędzę naszych długów skwitowaniem
I naszych wojen skończeniem, ugodę potwierdzam daniem
I unieść ją stąd pozwolę; ale śpieszny odjazd radzę,
Nim wrogi zastąpią pole.

Tarudant.

Swaty ja liczne prowadzę, w swaty wiodę wojsko całe,
Tak, że puszcze mi za małe, a z obozów stoją miasta,
Więc odjedzie ta niewiasta bezpieczna.

Król.

Dla wszelkiej pieczy, nie będzie i to od rzeczy.
Że, Muleju, weźmiesz Spachy i odprowadzisz pod dachy
Mażeńskie tę narzeczoną.

Mulej, na stronie.

Więc i to? . . . pęka mi łono! fortuna się koligaci
Z wrogami, a ze mnie się śmieje,
Ach! i Fernand we mnie traci
Przyjaciela i ostatnią nadzieję!
Wychodzą.

ZMIANA I.

Ogród przy mazamorach. *Niewolnicy wnoszą Don Fernanda*
i kładą go pod murem. *Don Zuan i Brytasz.*

Don Fernand.

Położcie tu moje ciało na słońcu, przy białej ścianie,
Aby mię słońce ogrzało. Wielki Boże! Boże Panie!
Bądź pozdrowion duszą całą za twoje słońce wiosenne,
Pełne złotego uśmiechu. Iob przeklinał światło dzienne,
Bo urodzony był w grzechu, w nędzy, w upadku, w obawie;
Ale ja ci błogosławię za dzień, co mi żyć pozwala,
Miłości goreć płomykiem. Każde drzewo się zapala
I Tobie, Panie, goreje; każdy promień, co mię grzeje,
Płomienistym cię językiem na wysokości wychwala!

Brytasz.

Czy ci tak dobrze, o! panie?

Don Fernand.

Dobrze, bracie... dobrze, ciepło. Wielkie twoje zlitowanie,
Boże! wielkie łaski Twoje! gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,
Ptaszkom twoim każesz śpiewać,
Słońcu twojemu ogrzewać. Dobry jesteś i laskawy!

Pierwszy niewolnik.

Pozostalibyśmy dłużej przy tobie, ale z obawy
Nie możemy. Człowiek służy... czeka nas łańcuch i plaga.

Don Fernand.

Bracia, niech wam Bóg pomaga i szczęści.

Pierwszy niewolnik.

Jakie katusze!

Drugi niewolnik.

O! jaka nędza na świecie!

Niewolnicy odchodzą.

Don Fernand.

Wy dwaj ze mną zostaniecie?

Don Żuan.

Ach ja, panie, odejść muszę.

Don Fernand.

Ciebie mi zawsze potrzeba

Przy boku, bez ciebie się smucę.

Don Żuan.

Panie, ja zaraz powrócę, pójdę tylko szukać chleba,
Abyś miał co jeść; dziś rano nie jadłeś. O! biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano, ziemia, zdaje się, zapada
Pod nami, okropna puszcza szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa biała nędza ciągle nam karku dopędza;
Wczoraj jak straszydło krwawe,
Dziś suchsza, bladsza od trupa.
Bo kiedy biegnę po strawę, to łajdactwa tego kupa,
Co po wioskach, panie, siedzi, pomna na zakaz surowy,
A bojąc się, że ją śledzi jaki Argus stuokowy,
Od króla stawiony na to, chleba ani za opłatą
Nie chce dać... o twarda taka!... ani na prośbę żebraka
Nie chce dać, skruszona łzami, taki twardy los nad nami!
O! panie... Lecz ktoś nadchodzi.

Don Żuan wychodzi.

Brytasz klęka przy leżącym Don Fernandzie. Wchodzą Król,
Tarudant, Fenixana i Selim.

Don Fernand.

Głos go mój w serce ugodzi. Może litość wydobędzie
I cierpiąc, dłużej żyć będę.

Selim, do króla.

Panie, przychodząc tą drogą musisz tu nadeptać nogą Infanta.

Król, do Tarudanta.

Bądź świadkiem, panie, jakie moje panowanie

Tarudant.

Zamiary moje podróżne opóźniasz przez tę gościnę.

Don Fernand, żebrząc.

O! dajcie jaką jałmużnę żebrakowi, z głodu ginę!...
Niech próżno rąk nie otwieram,
Pomnijcie, żem człowiek przecie!
A z nędzy, z głodu umieram,
W oczach mi głodnemu ciemno,
Ludzie, miejcie litość nade mną i nie odwracajcie oka.

Brytasz.

Książę, nie tak żebrać trzeba...

Don Fernand.

A jakże?

Brytasz, żebrząc.

W imię proroka! i w imię siódmego nieba,
Maury, dajcie nam jałmużnę, a niebo wam będzie dłużne
I sam prorok wam zapłaci.

Król.

Taki nędzny, a nie traci żywota, nie skłania czoła...
Mistrzu infancie!

Brytasz, do Fernanda.

Król woła.

Don Fernand.

Mylisz się, więźniu, kolego, mistrzem ja nie jestem zgola,
Ni infantem.. trupem obu... ich trupem, to co innego...
Bowiem wyglądam z pod grobu;
Na piasku jak nędzarz drzemię
I proszę wody kropelki.

Lecz nie infant, nie mistrz wielki...
 Tamtych grobowiec naciska,
 Ja jestem człowiek z nazwiska.

Król.

Więc mi odpowiedz na imię Fernanda.

Don Fernand, wstając.

Teraz, ubogi,

Wstanę całować twe nogi, prosić o posiłek skromny.

Król.

Zawszeż-li taki niezłomny? i wytrwały dziś jak wczora!...
 Powiedz mi, to uniżenie, duma to jest? czy pokora?

Don Fernand.

Króla godność w tobie cenię,
 I każdym to stwierdzam czynem
 To prawo, które zamyka zakon boży: że nad gminem
 Król ma sobie berło dane, i ma mieć od niewolnika
 Posłuszeństwo... więc złamane członki przed twoją
 Prostując, stanę przed tobą, [osobą
 Nim przed Panem Bogiem stanę...
 Wiedz, że król, skąd nie bądz, nosi
 Taką powagę, moc bożą,
 Tak się w nim siły wielmożą, że krew, co mu ciało rosi,
 Musi wstać w ciała nicestwie i zaświadczyć o królestwie,
 Do cnót królewskich się dostać.
 Więc nietylko króla postać, [dliwość
 Ale i cnót świadczy żywość, w sercu łaska, sprawie-
 I inne cnoty mocarza. A to prawo, podług wzorów
 Boskich, do natury tworów przechodzi i tak przeraża
 Samą dotkniętą naturę, że prawa prosto idące,
 O te twory królujące zbiwszy, nieraz cofa w górę
 I cud robi niesłychany, jak niegdyś boże Jordany.
 I tak: pomiędzy zwierzęty lwu się królestwo należy.
 Ten kiedy grzywę najeży i kudłami stanie wzdęty,
 Jak ogromna fala złota, co zwierzę przed sobą goni,

To mu królewska istota pastwić się nad jeńcem broni.
A patrz na mórz błękit siny; tam królami są delfiny.
Bowiem kiedy akwilony napędzą fale gromadą;
Fale te delfinom kładą srebrne i złote korony.
Jednak to królewskie plemię, co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym sinym grzbiecie człeka wynosi na ziemię
I wściekłym falom wrywa. Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa i zawsze na słońce leci;
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie,
Które mu burze rozwichrza! A jednak, kiedy się dowie,
Że gdzie podle żądło gadu do źródeł nalało jadu
I woda już śmiercią trąci, by nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dziobem, i wicherzy, aż ją zamąci,
Aby swój kryształ popsuła, zbladła i ludu nie truła.
Królestwo roślin, kamieni tym samym prawom podpada.
Pani owoców, grenada, co z drzewnych niby promieni
Koronę nosi i wieniec, gdy ją dotknie jad zarazy,
Traci ognisty rumieniec, a wewnątrz ziarenek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc śród kamiennej drużyny
Także król ma swój sakrament. Oto, panie, ów dyament,
Co jest nad kamienną zgrają, twardszy od granitów kości,
Przed którym magnesy stają, stają w jego obecności
Pomne na króla potęgę, i tę mu zdają przysięgę
Poddaństwa, ów król tak twardy, tyle ma dumy i wzgar-
Że nie pomny własnej siły, [dy,
Kiedy go stal z dziecka krzykiem
Zdradzi i dotknie pilnikiem i o królestwo zalęka,
W drobne rozpada się pyły, w proch się rozpada i pęka,
A biednej stali nie niszczy ...
Taka więc szlachetność błyszczy
Wszędy w królewskich sumieniach,
W zwierzętach, w rybach i ptakach,
I w roślinach i w kamieniach;
Więc i w ludziach po tych znakach
Mają być znani królowie. Nietylko, że z wielmożności,

Nietylko z koron na głowie; ale, panie, i z litości
I ze szlachetnego serca. Chrześcianin, czy bluźnierca
Krzyżowy, gdy spojrzy we duo duszy, wyczyta to jedno
Prawo przez Boga wyręte, któreś ty w sercu zagłuszył.
Nie gadam, abym cię skruszył, abym do litości skłonił.
Ciało me bolem rozryte nie tyś, ale Bóg pokłonił.
Nie chcę u twojej osoby zebrać, życia już mam sytość.
Późna też byłaby litość; bo wiem, że żądło choroby
Aż w serce mię już raniło;

Oddech mi powietrzem szkodzi.

Jak nóż przez serce przechodzi i rznie zapalone płuca.
Ja wiem, żeś już nad mogiłą, że mię już żywot porzuca,
I żar wypala piekielny... i to wiem, żeś jest śmierć —
Jak ty, panie, robak drobny, [telny,
Nie żadna anielskość dumna.

I dlatego to podobny kształt ma kołyska i trumna;
Aby to ludzie wiedzieli, że na podobnej pościeli,
Gdy przyjdą na rozkaz boży, matka ich i śmierć położy.
Tak więc podobne do pary przy kołysce stoją maryl!
Tak podobne u podwoi dwojga — dwoje łóż człowieka.
Kto to wie — czegoż się boi?

Kto słyszał to — czegoż czeka?

Kogo strzaskał los na ćwierci, naraził na nieszczęść
W czymże ufa! czy w żywocie? [krocie —

O nie, zaprawdę, że w śmierci,

W śmierci ufa! Tę ofiarę zrób ze mnie, panie, o! proszę...

Daj śmierć — niech umrę za wiarę!

Oto ręce me podnoszę [wzdragam,
I o śmierć, panie, cię błagam. Nie dlatego, że się
Żyć i cierpieć jestem nierad; że chcę umrzeć jak desperat;
Nie dlatego u nóg szlocham, ale ja się, panie, kocham
W takiej śmierci męczennika, co krwawe ciało odmyka
I Bogu uwalnia duszę i na wieki ją ożywia.

Więc choć grzechu prosić muszę,

Miłość mię usprawiedliwia,

Że o śmierć nieszczęsną proszę...

Oto me ręce podnoszę,

A ty daj! Lwem będziesz wtedy,
Co widząc myśliwce śmiałki,
Napastniki ojców schedy, napada i rwie w kawałki.
Orłem będziesz, co się ciska na gniazd swoich rozbójnika,
W szpony mu czaszkę zamyka, i dziob maluje rubinem
Tej krwi, co z oczu wytryska. O! panie, będziesz delfinem,
Który na nieba lazurze zapowiada śmierć i burze
Ludziom grożące zalewem.
Królewskiem ty będziesz drzewem,
Co piorunami czerwone, ramiona огоłocone
W burzach rwie i tak się zżyma,
Że zda się piorun otrzyma
I nad światowym zamętem będzie spełniało gniew boży.
Panie! będziesz dyamentem, co się na stal biedną sroży,
Gardząc kamieni motłochem.
Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
Bo ja nie ulegnę prędeży; bo im więcej cierpię nędzy,
Im więcej mnie gną rozpacz, im boleśniej w nędzy
Im przed tobą jestem mniejszy, [placę,
Im we wnętrznościach głodniejszy,
Im bardziej odarty z ciała i z nadziei i z łachmanów,
Choćby ta ziemia gnać miała za mną szczękami kajda-
Nawet — nawet w żywot dalszy; [nów
Im więcej cierpię, tem stalszy
Muszę trwać przy mojej wierze.
Bo ona mnie jedna strzeże!
Serce nadzieją roznieca! słońcem w męczeństwie oświeca!
Palmy zawiesza nad czołem!
Nie przeważysz nad kościołem,
Ile go jest w mej osobie. Z kości tych tryumfuj sobie.
Gardło masz i moje łono. Bóg ucieczką moją i obroną!

Król.

To już przechodzi pojęcie! Aby człowiek tak grobowy
Bawił się takimi mowy, wpadał na takie sentencje
I sam się cieszył w niedoli. Jakże ty chcesz, abym bolał!
Gdy ciebie serce nie boli. Jeśliś ty sam umrzeć wolął

Niż żyć? Nie, nie, nadaremnie, litości nie znajdziesz
Pierwej miej ją sam nad sobą. [we mnie,

Wychodzi.

Don Fernand, do Tarudanta.

Przed twoją, panie, osobą, uniżam się, wspomóż jeńca...

Tarudant, odpychając go.

Nędzarzu!

Wychodzi za królem.

Don Fernand, do Fenixany.

Więc potępieńca ty się ulituj, o! pani,
Jeśli twa piękność jest z Boga, a nie jest wzięta z otchłani.

Fenixana.

Ach! jaki widok!

Don Fernand.

Ty sroga, odwracasz oczy?...

Fenixana.

We łzach mi toną... człowieku! ach! strach mi!
Duch mi cały z ust wyskoczy!

Don Fernand.

I dobrze, bo są też oczy ach, nie do nędzy stworzone.
Dobrze! że twój wzrok roztropny.

Fenixana.

Puść mię. Jaki ty okropny!

Don Fernand.

Okropny? Choć odwrócone, oczy masz pełne popłochu.
Dobrze jest, abys wiedziała, że piękność twojego ciała
Tyle, co mój szkielet waży, tyle co ja... garstkę prochu.

Fenixana.

Puść mię, oddech mię twój parzy,
Głos zabija, szaty cuchną.

Puść mię ty, człowiecze próchno! szaty mi rękami skazisz,
Oddechem twoim zarazisz. Puść, człowieku, bo omdleję!

Ucieka z Selimem.

Wchodzi Don Żuan pokrwawiony i w łachmanach, z chlebem.

Don Żuan.

Oto mię Maury, złodzieje, za kawałek tego chleba
Zbili — krew się ze mnie leje. Panie, jedz.

Don Fernand.

Już mi nie trzeba jadła, drogi przyjacielu.
Oto już jestem u celu... już idę...

Don Żuan, padając mu do nóg.

Panie mój drogi! czy ty już... o! ratuj, Boże...

Don Fernand.

Placz tu już nic nie pomoże,
Nie martw się — ziębną mi nogi —
Zaprawdę, jużem przy śmierci. To serce, za godzin mało,
Robak śmiertelny przewierci i znajdzie, że cię kochało,
Ciepło w niem jeszcze zostanie.
Nie martw się, mój Don Żuanie.
Ja się w długą podróż wybieram...
A dla Boga tu umieram,
Chóry anielskie bogacę i dług Panu memu płacę.
Nie martw się i oczu rosą nie lej na ciało księżęce.
Kaź, niech mię wezmą na ręce i do mej jamy odniosą.
Już konam...

Don Żuan.

Z tą ziemią nędzy ostatni mój węzeł pęka!

Don Fernand.

Don Żuanie... czy później, czy prędzej o tu.

Pokazuje na ziemię.

Daj rękę. Ta ręka karmiła mię — o! szlachetna!
Chociaż moja śmierć nie świetna,
Po śmierci Bóg może zdarzyć
Odmianę... więc w mazamorze,

Gdzie się sam jak trup położę,
Nie rusz mię, lecz po skonaniu,
W mistrzowem zawiń ubraniu
I zostaw tak okrytego cichym i spokojnym trupem,
Jeśli król pozwoli na to. A kiedy przyjdą z okupem,
To znajdą mistrza martwego pod zwykłą krzyżową szatą.
I powiozą, gdzieś przez morza,
Do kraju garstkę popiołów...
Już też, za tyle kościołów, da mi tam grób łaska boża!
Don Żuan i Brytasz wynoszą go.

ZMIANA II.

Łądują na brzeg morski Alfons i Don Henryk z rycerstwem.

Alfons.

Zostawić falom zhukanym okręta,
Co podbierały żaglami obłoki.
I niechaj biją dział ogniste smoki,
I niechaj rzeka ludzi wyrzygnięta
Z okrętów płynie i ten kraj zalewa...

Don Henryk.

Zły do ładunku brzeg wybrałeś, panie,
Radziłem lepiej te masztowe drzewa
Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie
I z nich samemu Fezowi dać szturmy.
A tu, jak widzisz, maurytańskie hurmy
Rażą nas straszną szabel błyskawicą.
Tu sam Tarudant, z swą oblubienicą
Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

Alfons.

Jasných aniołów była to dorada,
Abym uczynił to, co teraz czynię:
W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
A tutaj jeden... o pół nie tak srogi,
Stoi na polu. Więc, nim się rozwinie,
Każ huknąć w trąby.

Don Henryk.

Racz zważyć, że wojna
Zawczesna, panie, ludzie nie gotowi.

Alfons.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna,
A duch w mej piersi równie piorunowi!
A duchy święte pilnują mych skroni,
A dla Afryki niosę śmierć w tej dłoni!

Don Henryk.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry
Na ogień słońca, na niebios szafiry;
Ona zwycięstwo tobie wydrze z ręku...

Alfons.

Ha! więc zwyciężać będziemy po ciemku.
Niechaj noc idzie z czarnymi sztandary,
Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
Że się o sprawę biję sprawiedliwą.
A jeśli Fernand mękę swą cierpliwą.
Za nas, o bracie, Bogu ofiarował,
To Bóg pioruny te jasne ukował,
Którymi szyki będzie walił krwawe
A my zbierzemy zwycięstwo i sławę.

Don Henryk.

Lepiejby w polu porobić przerąby...

Ściemnia się — słuchać w powietrzu anielskie trąby i różne
głosy duchów.

Alfons.

Cyt... słyszysz, bracie?...

Don Henryk.

Głosy jakby śnią się...

Alfons.

Głuchną... i znowu.

Głos Fernanda.

Alfonsie! Alfonsie!...

Don Henryk.

Głos mego brata... i znów jakieś trąby
Smętne, powietrzne, rozplakane głosy...

Alfons.

A więc to pan Bóg z całemi niebiosy
Schyla się ku nam, owinięty nocą.

Wchodzi duch Fernanda z pochodnią,

Duch.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
Dla twojej, Alfonsie, wiary
Pan Bóg zesłał tę noc ciemną,
I zlitowany nade mną, pozwolił opuścić mary,
Gdzie płakali... odejść od nich...
A tu z duchów ciżbą liczną i z tą pochodnią gromniczną
U gwiazd zapaloną wschodnich
Iść przed wami... Za mną... za mną!...

Wychodzi.

Don Henryk.

Bracie, opuszcza mię męstwo,
Zda się, że czaszkę dwujamną miał ten...

Głos Fernanda za sceną.

Za mną...

Alfons.

Słyszysz?...

Głos Fernanda ginący w odległości.

Za mną...

Alfons.

Na koń, bracie, Bóg nam daje zwycięstwo!...

Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda.

Z M I A N A III.

Galerya w pałacu króla fezkiego. Z jednej strony wchodzi *Król i Selim*, z drugiej niewolnicy chrześcijanie niosą w trumnie ciało Don Fernanda. *Don Żuan* idzie za trumną.

Don Żuan, do króla.

Napaś oczy tym widokiem, oto w czterech deskach leży Bohater, perła rycerzy, twoim okrutnym wyrokiem Zabity...

Król.

Ktoś ty jest taki?...

Don Żuan.

Rycerz bez żadnej poszlaki... Z nim oto dźwigałem biedę I leż się wspólnych napiłem, do śmierci wierny mu byłem I za ciałem jego idę.

Król.

Patrzajcie się, ludzie krzyża, bo oto trumna się zbliża, Trumna, co do mnie należy, a w niej oto przykład leży Zgiętego aż do mogiły, pod nogą króla, oporu.

Niech teraz Alfonsa siły wyrwą go i ów sen moru Odwalą... Niech kto wyzwoli z tej ostatecznej niewoli, W której mu łańcuchy śnią się?

Chodź! chodź po brata, Alfonsie

Chodź mu teraz z uwolnieniem!...

Co do mnie... chodź Ceutę tracę,

To się tem książąt zgnieceniem i starciem więcej bogacę W sławie, niż tysiącem grodów... otom upór ich zwyciężył.

A jakom żywemu ciężył na piersiach... obaczą tłuszcze, Że nawet tej garstce lodów i po śmierci nie odpuszczę, Ale kość zgnilizny blizką i to nieszczęśliwe ciało, Z tą trumną napół spróchniałą, oddam na wiatrów igrzysko, Na słońca wystawię skwary i wiatry...

Don Żuan.

Blizkiś jest kary! bo oto widzę z wysoka Chorągwie twego proroka niżej... a krzyże u góry...

Król.

Selimie... wyjdźmy na mury zobaczyć... co za nowiny?
Wychodzą.

Z M I A N A IV.

Pole pod murami Fezu. Wchodzi *duch Don Fernanda* z pocho-
dnią, za nim zaś *Alfons* z wojskiem, *Don Henryk* — *Fenixana*
i *Tarudant* wzięci w niewolę.

Duch Fernanda.

Przez ciemność i mrok siny! przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka, prowadziłem was bezpiecznych.
Oto różana jutrenka! oto Fez w ogniach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli...
Wykupcie mię u pogan z niewoli.

Znika.

Alfons.

Zniknął w jutrenki lazurze...
Hej... kto tam z ludzi na murze?...
Niech król do układów stanie.

Pokazuje się na murze Król i Selim.

Król, z muru.

Czego chcesz? śmiały młodzianie.

Alfons.

Wypuść infanta z niewoli a ja ci oddam w zamianę
Twoje dziecko ukochane, które oto w mojej mocy...
Inaczej... choć serce zaboli, uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty...

Król.

Selimie... ach, tymi usty wydan wyrok sprawiedliwy...
Co zrobić? Fernand nieżywy a moja córka u wroga.
Fortuno! fortune sroga! jak ty się nagle odmieniasz!

Fenixana.

Ojczy! czy ty zakamieniasz serce na twej córki głosy?
Że widzisz mię w tej niedoli, widzisz z rozwianymi włosy,

Pod toporami, pod strażą i spokojną patrzysz twarzą
Na córki twojej więzienie. W twoim ręku los mój cały,
W twoim głosie me zbawienie, a ty stoisz oniemiały?
Kiedy w jednym twoim słowie ratunek dla córki leży?
Widzisz miecz na mojej głowie
I czekasz, aż we mnie uderzy?
I milczysz? aż mię zabiją, aż mi nóż utopią w łonie
I szyję zetną bułatem... ach, lwem ty byłeś na tronie!
Będąc ojcem, jesteś żmiją! będąc sędzią, byłeś katem!
Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec.

Król.

O' Fenixano... ta zwłoka, choć z twarzy mej trudno dociec
Boleści... ach, na proroka! straszną mię rani katuszą.
Bo wiedz, Alfonsie, że wczora
Książę się wasz rozstał z duszą
O samym zachodzie słońca, po wyjeździe Fenixany,
I leży niepogrzebany... a ja... wskrzesić go bezsilny
Wam... (o fortune zdradziecka!) oddaję krew mego
Na zemstę... [dziecka

Fenixana.

O nieomylny wyrok był!... jestem zgubiona!

Król.

Niech płynie ta krew czerwona, za jej duszą moja śpieszy.

Don Henryk.

Co słyszę! mój brat nieżywy! O! więc już go nie pocieszysz
Ta wolność... i pomoc próżna.

Alfons.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy,
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita.
Co do mnie, treść jego woli
Nie jest mi wcale zakryta. Prosząc, byśmy go z niewoli
Uwolnili, gdy w ciemnościach
Z pochodnią przed nami błdził,

Mówił o sercu i kościach ... Więc, królu, abyś nie sądził,
 Że ten trup, po którym lament
 Morskie podniosą Syreny, podlejszej jest u nas ceny,
 Niż jaki wschodni dyament i cudne piękności lice,
 Za Fernanda zewłok święty oddam ci twoją dziewicę;
 Róże dam ... za dyamenty, śniegi dam ... za te popioły;
 Oddam tobie maj wesoły a posępne wezmę grudnie;
 Tę postać świecącą cudnie,
 Co mi z rąk jak anioł ucieka,
 Zdając się młodością i chwałą, oddam ci za biedne ciało
 Nieszczęśliwego człowieka.

Król.

Co mówisz? ...

Alfons.

Każ spuścić trumnę...

Król.

Ach! i czoło moje dumne pójdę... przed tobą uoiżyć...
 Spuścić tu ciało książęce...

Odchodzi.

Spuszczają trumnę z murów.

Alfons, przyjmując spuszczoną trumnę.

Przyjmuję ciebie na ręce, święty! drogi męczenniku!..
 Całuję twe rany i krzyże...

Proszę... pomóż mi Henryku, tę trumnę...

Don Henryk.

Witaj, mój bracie!...

Stawiają trumnę. Wchodzi Król i uinża się do nóg Alfonsowi, który go podnosi z ziemi. — Wchodzi Don Żuan, Brytasz i niewolnicy.

Don Żuan.

A mnież to nie powitacie?

Alfons.

Witaj, don Żuanie stary!

Dobry nam zdajesz rachunek z opieki...

Don Żuan.

Prowadzę mary... Póki żył, każdy frasunek
Podzieliłem z nim i nędzę...
A teraz (od łez mi ciemno!) oto on poszedł przede mną,
Ale ja go tam dopędzę, dopędzę...

Alfons, obracając się ku trumnie.

Wuju mój drogi! Fernandzie, pochodnio świata!
Na twoje ręce i nogi, jako na święte stygmata,
Kładę usta... i tę mroźną
Dłoń ściskam w królewskiej dłoni...
A choć przyszedłem zapóźno, miłość moja nie wyłoni
W pośmiertnej dla ciebie cześci;
I z mojej wielkiej boleści wielkie, ze złotemi czoły
Wstaną dla ciebie kościoły. Bowiem po śmierci się jasno
I przyjaźń ludzka pokaże... Królu, a tobie zaś w darze
Oddając twą córkę własną, oddając też Tarudanta.
Ale przez pamięć infanta, któremu Mulej był miły,
Proszę... abys ten kwiat złoty, który był ceną mogiły,
Uczył nagrodą cnoty, wiary — i dał Mulejowi.

Król.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

Alfons, do niewolników.

Teraz wy, coście w niewoli nosili z księciem łańcuchy
Z niańczynymi teraz ruchy nieście to ciało, powoli,
Niech spocznie... a my za trumną,
Co jest jako Arka święta, rycerską idźmy kolumną,
Żałobni, aż na okrętą;
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy...
I z prochem flota wyruszy i do ojczyzny popłynie.

KSIĄDZ MAREK.

POEMA DRAMATYCZNE

W TRZECH AKTACH

AKT I.

Szopa wyporzadzona jak na zebranie koła rycerskiego. — Wchodzą :
Starościc z Barku i towarzysze pancerny. — Słychać zdaleka
śpiew konfederacki.

Towarzysz.

Słyszysz pieśni, oto z pola rycerze nasi wracają.

Starościc.

Mam taką harfę Eola w Anielinkach nad strumykiem;
Lecz jej struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno, dziko i żałośnie,
Jak ta pieśń, co w hymny rośnie.

Towarzysz.

Wracają pełni zapалу, a ksiądz Marek, karmelita,
Ludziom błogosławi z wału.

Starościc.

Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły,
Rzucić się pod sztandar boży,
Co w stepach z dawnej mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach
Słońce gdzieś ojczyście tworzy,
Błyska i na złotych piórach dusze rycerskie unosi.
A ta pieśń, co Boga prosi o łaskę, politowanie,
Taka miła — jak pieśń dziecka,
Rubaszna — jak pieśń szlachecka,
Święta — jak organów granie, a świeża — jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu, tak trzęsie całą mięsciną,
Że bez żadnego powodu, kiedy słucham, lzy mi płyną

Pieśń Konfederatów, za sceną.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach,

Słudzy Maryi.

Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające

Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami,
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.

Wszak, póki On był z naszymi ojcami,

Byli zwycięzcy!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same

Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy

I hufiec boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten *de profundis* z ciemnego kurhanu

Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,

Ani ulęką.

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,

Na jego żołdy.

Starościc.

Poniesli dalej sztandary, poszli dalej z bronią w rękę,
A ta pieśń na fundum wiary, anielskiego pełna jęku,

Ściąga nam cudy, zjawienia, przelotne niebios humory,
Gwiazdy z grzywą, meteory,
Nocne słońca, lby z płomienia,
Szwadrony w zbrojach nieznanych,
Po obłokach malowanych
Idące truchtem i cwałem; a jak wczora sam widziałem,
Będąc na straży w mieście, Pana, naszego obrońcę,
Co siedmiomieczowe słońce na serca jasnym rubinie
Zapaliwszy, stał na chmurach. I nie sam świadczę o cudzie,
Ale wszyscy moi ludzie, wszyscy szyldwasi na murach
Widzieli ten wizerunek *Doloris*, jak brał kierunek
Ku wschodowi, świecąc miastu. Widać, że nasz okręt tonie,
Że potrzeba mu balastu, więcej szabel, więcej ducha,
Więcej serca w naszym łonie, bo ta wielka zawierucha
Niebios wszystkich nas pochłonie.

Towarzysz.

Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
Wyłómaczył na ambonie,
Mówiąc o różnej pokusie. Miecze te, powiada, bolu,
Bolące w Panu Jezusie, to są gorsze od kłótu,
Wady na ojczystem polu, z których boleść ma ojczyzna.
Pierwszy miecz, co w niej usterka,
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz, to szulerka, a trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiece rządy; piąty, to przedajne sądy,
A szósty, zawiść prywatna, a siódmy, zgniłe sumienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednym sercu, co je mieści,
Zatknięte ręką morderczą, jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści, słonecznik siedmio-mieczowy,
Co ma w środku serce boże a na rękojeściach głowy
Do panów naszych podobne. I znów o każdym upiorze,
O każdym mieczu, magnacie, mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie, sądzący zbrodnie czerwone...
Potem kazał przed amboną przynieść trumnicę z kościarza,
I sam z ognistą powieką, nogą odrzuciwszy wieko,

Kiedy się pył ruszył z kości,
Krzyknął: oto proch cmentarza,
Który w żywych obecności będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś, nakryci trumnami, przez lud będziecie sądzeni...
Oto jest proch z trupa rdzeni! Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli spoczywała do starości.
Jeśli ty, mówił do kości, z pod twojej rysiowej delii,
Przy czytaniu ewangelii, szabli dobyłaś na światy,
Ręko, bądź błogosławiona! Lecz, jeśli wy, stare gnaty,
Wy, spróchniałe dziś ramiona!
Wy, drżące palców kosteczki!
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza,
Chłopską porąbały chatę! Jeśli ty, ręko człowiecza,
W sygnetach, a krwią ociekła, podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów, jeśliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów i poilaś go piołunem,
Ręko hańby, idź do piekła! Rzekł i kością jak piorunem
Uderzył z czarnej ambony pomiędzy lud przerażony,
W sam środek, szary motłochu,
W sam środek czerni, szepcącej
O tej kości latającej, o tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie. Aż ksiądz znów ręce obie
Zanurzywszy w trumny łonie, czerepem się na ambonie
I głową trupa oświecił. Czerep pacierzom poleciał
I czcił pogrzebową rzeczą: to go malował w przyłbicy,
To w karbunkułach korony,
To w cierniach, co kość kaleczą.
Aż ten czerep uśmiechniony,
Wziąwszy prawie twarz człowieczą,
Co się uśmiecha, nie sroży, jak drugi spowiednik boży
Zaczął nauczać z ambony...

Starość.

A tym czasem obrażony pan marszałek, szlachta cała,
Tem ruszeniem z grobu ciała, tem urąganiem z magnatów,
Tą obelgą antenatów, zamyśla porzucić sprawę.

Towarzysz.

Co mówisz?

Starościc.

Będą ciekawe dzisiejsze panów narady.

Patrzaj, regimentarz błądy z manifestem o głos prosi;
Ale oczu nie podnosi na czoło marszałka dzielne.

Wchodzą i zasiadają na ławach: Pan Marszałek konfederacyi Kra-
siński, pan Regimentarz Pułaski, Ksiądz Przełożony Karmelitów
i wielu ze szlachty.

Regimentarz, z manifestem w ręku.

W imię Boga nieśmiertelne! i w imię Bożego Syna!
I w imię Bożego Ducha!

Przed tym światem, co patrzy i słucha,

Jak się nasza krew tu łać zaczyna

I wulkanem pomsty z nas wybucha

I wulkanem jęków świat przeraża;

Przed ziemią, co nas spotwarza,

Że już ojczyzny nie mamy i o nią się dobijamy

Z mieczem w ręku; przed tronami, któreśmy kiedyś zakryli

Od Turka naszymi szablami; i przed dzieciątkiem, cokolwiek,

I przed starcem, co grób kopie,

I przed chłopkiem, który siada

Jak Ceres na złotym snopie i płacze, gdy o nędzy gada;

Przed magnatem, cokolwiek, ludu wnętrzości wyjada

I złoto skrwawione chowa; i przed tą, która jest wdowa

Po mężu za kraj poległym; i przed wiekiem już ubiegłym,

I przed tym, co w czasów prądzie

Na sąd trupów naszych idzie...

[dzie;

Wydarci przeszłej ohydzie, stajemy z tem pismem na są-

Sądem krwi nie przerażeni, ani dumni, ani bladzi

W środku rzezi i płomieni,

Przy biciu gwałtownych dzwonów;

Pany na czele czeladzi, wodze na czele szwadronów,

Księża tłum prowadząc niemy

W blasku krzyżów i kagańców,

Dawnych świętych zmarłychwstańców;

Na sądzie wszyscy stajemy!

I podnosząc ręce blade i wskazując rany święte,
Tę wszystkich narodów zdradę i to morderstwo nieświęte,
Na naszych spełniane ciałach rzucamy w czasu koryto.
Bogdajby kiedyś odkryto, że na tych przekleństwa skałach
Zatrzymane ludów wody pierś swoją o nas rozbijają,
Staną i w kałużach zgniją, nie mogąc wejść na te wschody,
Któreśmy sypali sami wiekom, kładąc się trupami.
Bogdajby kiedyś odkryto, że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito; że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzą klękło,
Nowa jest ludów kalwarya;
A tam, gdzie jej serce pękło, gdzie zapłakała jak Marya,
Jest miejsce lamentowania; a tam, gdzie ją kat pogania
Knutem, cierniami i spiżem, a ona padła pod krzyżem,
W koronie z blasków słonecznych,
Jest miejsce upadków wiecznych
I śmierci okropna przystań. A tam, gdzie matka rycerzy,
Choć w grobie, w grób nie uwierzy,
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań,
Jest duch, co z grobu wyrywa i kos żadnych się nie boi.
Panowie! to miejsce stoi! to miejsce — Bar się nazywa!
Tu my, rycerze bez plamy, z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową za kraj nasz poumieramy,
Zatknąwszy wieczne sztandary
Dla miłości i prawdy i wiary.

Marszałek.

Szanowny regimentarzu, mówisz tak jak na Golgocie,
Mówisz tak jak na cmentarzu. I takby się nam w istocie
Należało dziś zachować: Krzyże nosić i całować,
Samym je zatykać w ziemię, nauczając przyszłe plemię,
Jak los przeciwny pokona, za prawą rękę i lewą
Dać się przybijać na drzewo, aby widział nasz morderca,
Że otworzywszy ramiona, pokazujemy i serca.
Ale sądzę, mój kolego, że wola Nieśmiertelnego
Chowa nas na większe czyny.
Więc z tej ubogiej miściny,

Gdzieśmy się teraz zamknęli, nie chciałbym uczynić jeszcze Grobu dla obywateli.

Regimentarz.

Panie! przechodzą mię dreszcze!
Z gwałtownego chłonę żaru!...
Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
O hańbie... o wyjściu z Baru.

Marszałek, dobywając w pół szabli.

Hańba! Cóż to mi ty?

Regimentarz.

Panie, niech twoje słowo zostanie
W gardle, szabla niech się kładzie
Do snu i niech się nie budzi.
Dawno ja żyję wśród ludzi! z różnymi panami żyłem,
Obelgi nieraz znosiłem dla ojczyzny i dziś zniosę.
A jeśli kto mimowolną obaczy na rzęsach rosę
U obelżonego starca, to wszakże i mnie mieć wolno
Przy białej siwiźnie marca i lód, co szkłem w oczach świeci.
Bo ja mam aż czworo dzieci,
Aż czworo żywych pod niebem;
A gdy na mnie hańba spada,
To, panie, tym jednym chlebem
Nas pięcioro się najada. A czy to łza w oczach stoi
I błyszczy w źrenicy biednej, to pięcioro się napoi,
Panie, z tej wielkiej łzy jednej...
Bo kto na-świat się nie gniewa
Często, chociaż łez nie leje w serce — rzeki łez wylewa.

Marszałek.

Jeślim obraził — boleję.

Regimentarz.

Dosyć. Gadajmy o Barze. Więc wola jest rzucić miasto...

Marszałek.

Dosyć spojrzeć tu na twarze...
Żaden tu nie jest niewiasta,

Ani dzieckiem nie jest w duchu;
 Widziano nas przy harmatach.
 Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
 I przy ruskich kazematach
 W błocie przed Braneckim legać?
 Mnie... co jestem z panów panem,
 Nazywać jego hetmanem?
 I grzeczności z nim przestrzegać?
 Być jego sługą? Gdy mogę, do Turczeh dziś pojechawszy,
 Jutro tu powrócić krwawszy,
 Zgnieść tę moskiewską stonogę,
 Stanąć mu butem na głowie, królowi napędzić strachów.
 Cóż? czy nieprawda, panowie,
 Że tak lepiej! z hufcem spachów!

Szlachta.

Lepiej!

Marszałek.

Zgodne głosy słyszę...

A oto patrzcie (dobywa listu), tu pisze
 Pan Potocki, nasz podczaszy, że Turek już Moskwę straszy,
 Nad Prutem stanąwszy w sile. Cóż mu po naszej mogile?

Szlachta, krzycząc.

Do Turków całymi szwadrony!

Wchodzi Książd Marek.

Książd Marek.

Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus... Szatan głuchy

Na stronie.

Żadnej nie dał odpowiedzi. W tej szopie widać złe duchy
 I zło... co otworu śledzi, aby zerwać naszą zgodę.

Głośno.

Gdzie tylko okiem powiodę, zasmucone widzę twarze.

Regimentarz.

Mój księżu, źle z nami w Barze,
 Myślimy z miasta uchodzić.

Książd Marek.

A miastem kto ma dowodzić?

Regimentarz.

Na cóż dowództwa w pustoszy?

Marszałek.

Dosyć tej wojny kokoszy! tej manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni i wiernie jemu dotrwamy.
Lecz tu w Barze już nie mamy prochu, jadła ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy niż pocałunek Judasza;
Bo często odwagę zdradza, i wszystkie cnoty rozprasza,
I w śmierci — hańbę doradza.

Książd Marek.

Marszałku! panie narodu, czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślał o tem w głodzie,
Ażeby naród opuścić? Pan Bóg ci może odpuścić,
Jeśli to się w głodzie stało, jeśli twoje biedne ciało
Zaczęło się trząść na kości. Pan Bóg jest pełny litości,
Jeśliś głodny był... przebaczy. Lecz, panie! o ta stodoła
Tego mi nie wytłómaczy, przez jakiego ty anioła
Ducha... byłeś ogłodzony? Powiedz, czy upiór czerwony,
Jakie rodowe widziadło odpycha od ciebie jadło?
Straszy cię? jeść nie pozwala? albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb, który bierzesz w usta?
Mówisz o nędzy?... Ta pusta
Stodoła, ta szopa żyda, panie, pałacem się wyda,
Jeśli ją który z twych wnuków ujrzy wygnańca oczyma.
Patrzej, co tutaj jest bruków
Z jedwabi... gdzie okiem trącę,
Dywan na powietrzu trzyma srebrne gwiazdy i miesiące,
Kwiaty, takie winograpy, że dają oczom pokusy.
Więc także blade turkusy patrzą niby na obrady
Z szabel brylantowych czoła, jakoby oczy aniołów.
Więc ten dom i od kościoła bogatszy... bo dół kościołów
Często z ludzkich trumien bywa a tu morze złota pływa

Po pas w tej żydowskiej stajni. Więc jeżeli wy sprzedajni?
Czego nie daj, Boże wielki, kto was kupi? gdzie są fanty?
Kto znajdzie takie brylanty, coby waszej krwi kropelki
Były godne? warte były? Więc wyznaj, że ani nędza,
Ani głód jedzący żyły poradził — ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce,
Tchórzostwo do ucha szepce...
Nie chwytaj za miecz, człowieku!
Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie, lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy a uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała, taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona, i brak matczynego łona
Tak ją w żłóbeczku rozkwili.
Szanuj!... bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki, Bogu i ziemi na chwałę,
Poczęło się dziecko małe, które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział, jak one przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę włoży — jakie berło chwyci;
Chociaż wódz obywateli, co są w rodach znakomici,
Nie śmiałyś przed tą maleńką ruszyć ni szablą, ni ręką,
I stałyś tam u podwoi, jak żebrak przed królem stoi.
Ja ci nie powiem, kto ona, pozwalam jak szaleńcowi
Pożyć, a sam też w ramiona nie wezmę piastować żłobu —
Bom jest już podobny snowi, blizki męczeńskiego grobu.
Ale, że tu jest to dziecko, to wiedzą małe ptaszęta
Świegocące mu w błękiecie, gdzie słoma wichrem podjęta
Błękit niebios pokazuje... Koń to już wojenny czuje,
W kącie stojący przy sianie; bo kiedy pocucie ducha
Pójdzie ludziom w urąganie, to świat go podlejszy słucha,
I nieraz harfą się stanie, na którą duch boży dinucha,
Aż słońce się ludziom odsłoni...
Człowieku! niech cię Bóg broni,
Abyś zwątpił o prorocztwie! Bo wkrótce! w całym sieroctwie
Twojego nieszczęsnego rodu, gdy odrzucon od narodu

Krwia się do krzyża przyklei,
 Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny;
 Nie zostanie — prócz nadziei, żadnej po ojcach puścizny,
 Nie zostanie, gdy wyjęczy całą boleść; tylko, panie,
 Oto się chwycić tej tęczy, którą przez wieków otchłanie
 Z proroczych ust teraz ciskam.
 Więc się nie dziw, że tak błyskam
 Jak Mojżesz, duchem natchnięty,
 Żem jest jako ów Jan święty,
 Widzący to... co ja widzę... bo zaprawdę, jestem w lidze
 Z duchami i ze świętymi! A chociaż nizki na ziemi,
 To duchy okryte zbroją na ramionach moich stoją!
 I kończą się gdzieś w bezkońcach,
 W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
 W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
 Za słońcami — w słońcu ducha.

Marszałek.

Czegoż chcesz w tej exaltacji? i co ma ona za związek
 Tu? gdzie pierwszy obowiązek
 Zbawić panów naszych braci, szlachetnych ludzi ostatki?

Książd Marek.

Panie, zostań, z tej gromadki nie zginie żaden.

Marszałek.

Kto ręczy?

Książd Marek.

Pan.

Marszałek.

Co za znak?

Książd Marek.

Zagrzmia działo.

Po chwili milczenia słychać strzał.

Czy słyszycie, że zagrzmiało,
 Aż belka w stodolach brzęczy
 Jak echo kościelne nad ludem.

Wchodzi artylerzysta polski.

Artylerzysta.

Panie, pękło nam na ćwierci jedno działo, ale cudem
Puszkarze uszli od śmierci; myślą, że świat cały runął,
Śledzą, kto ognia podsunał i kupią się... a szlachectwo
Już krzyczy: ogień i zdrada...

Marszałek.

Czyli to boskie świadectwo i głos który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?

O to nie zachodźmy w głowę. A jeśli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba, to harmata rozpęknięta
Mówi... że wyjeżdżać trzeba, unosząc ducha i serce.

*Wstaje.**Ksiądz Marek.*

Zabierz z sobą te kobierce, własnością są twego rodu.

Marszałek.

Gdzie ja ogrody zasadzę, to ptaszki z mego ogrodu,
Nawet gdy się wyprowadzę, mają prawo żyć wiśniami:
Choć tu jedwab jest murawą, a hafty złote drzewami;
Ten, kto ma do gruntu prawo,
Ma prawo do drzew i kwiatów.

*Wychodzi.**Ksiądz Marek.*

Więc sprzęt twoich antenatów
Pójdzie do żyda rabina, który wynajął stodołę.

Regimentarz.

Upadać Polska zaczyna! Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą,
Czy z twarzą łzami zalaną stary Pułaski odchodzi.
Pole teraz waszej młodzi, niechaj nowe gniazdo lepi;
Bo oto my wodze starzy, jako żebrakowie ślepi,
Uchodząc z narodu straży, ręką macamy, gdzie wrota,
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy boskie radzą!

Niechaj rośnie patryota i nowy kościół zakłada...
Co do mnie... byłaby zdrada, gdybym nie szedł za Podole,
Gdzie pan marszałek nas wiezie...

Ksiądz Marek.

Szablę zostawiasz na stole!

Regimentarz.

Kto był na cudzym obiedzie, nie bierzesz tućców gościnnych,
Ale zostawia dla innych zaproszonych na dzień drugi;
Weźcież miecz pańskiego sługi przezemnie tu zostawiony
I czyńcie nim co potrzeba: na ucztę wołajcie wrony
I kruki i pomsty z nieba.

Wychodzi.

Ksiądz Marek.

Szabla mi się nie należy,
Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

Przypasuje pałasz.

Ksiądz przełożony Karmelitów.

Ja także na żadną zgrozę nie wydam pańskich ołtarzy,
Lecz obnażę z relikwiarzy i sakramenta uwiozę,
Aby splamione nie były.

Ksiądz Marek.

A cóż nam zostawiasz? mogliły?
Ojcze! ojcie przełożony! Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie,
Co podobna do okrętów, na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o panie! rany wołał sakramentów?
Rękę swoją kładł na ranie, głowę zwiędniałą pokłonił
I tchu duchowego bronił z rozpaczą w zawrotnej głowie,
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie słowo ostatniej pociechy:
„Przebaczone ci są grzechy! duszo święta, wychodź z ciała!”
Gdyby jeden został taki, najlichszy między żebraki,
Pańska by przy nim została myśl i miłość pańska przy nim...
A myż co, mój księże, czynim,
My, co o jutrze nie wiemy, a tu grzeszni zostajemy,

Aby tego jutra dożyć, gotowi żywot położyć,
Nakryć się prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie,
Byle się tylko świeciło Przenajświętsze Boga imię
W obliczu świata i szyków, nad trupami schyzmatyków;
Byle hostye krwią rumiane, wilgotne naszymi łzami
I w niebo exaltowane drżącemi rannych rękami,
Exaltowane i drżące, póki stanie mocy w kościołach,
Świeciły na wysokościach ludom, jak pełne miesiące
Pośród pożarnych płomieni... A gdy na to odważeni
Zostajemy tu na rzezie, ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam kto Boga uwiezie? że nam Bóg jest niepotrzebny
Charłakom jęczącym w nędzy?...
Więc pan tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki
I zostawił złote bruki, po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wsławia nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł, rubinów, uczyniona ze krwi synów...
A przecież? kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych a osadzonych na Bogu.
A ty sam z kościoła progu uchodzisz! ksiądz poświęcony!
I gdybyś twemi ramiony
Mógł, co Samson z dawnych czasów,
Wyrwałbyś bramy z zawiasów i poniósł z sobą wydarte,
A potem przedawał ćwieki... a gdyby co były warte
Okna, co patrzyły wieki, niby źrenice tęczowe,
Które anioł w ołtarz wsłupił,
W skrwawioną Chrystusa głowę,
Tobys je, panie, wylupił, a potem nosząc przedawał
Kawał szkła... za ziemi kawał,
Łan tęczy, za łan pszenicy...
Ja wiem, że w twojej winnicy,
Gdy zbierzesz, coć urodziła, nie będzie ptaszyna pila

Słodkiej rubinowej wody z żadnej sierocej jagody;
I zaćwierka gdzieś na płotach
Mówiąc: jak ci ludzie bozi zapomnieli o sierotach!...
Lecz ksiądz, co Boga uwozi i ucieka z nim za bramy,
Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty człowieku!
Czy Bóg nie chce zostać z nami
I patrzeć, jak umieramy? i karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwia swoją obmywać drogą?
A co ty wiesz? czyli trwogą włożon do twoich zanadrzy
Duch sakramentów nie zadrży?
I nie złęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch nie gości?
A co wiesz? czy tajemnice po sakramentach zamknięte
Nie pierzchną, by gołębice, nie zlecą się w jedno święte
Miejsce... gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój boży... w to biedne serce człowiecze,
W moją pierś, co się otworzy pełna radosnej boleści
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie... Boga nie weźmiesz zgoła,
Boć to nie jest tobie dane... oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie i pójdę... i wśród kul stanę.

Ksiądz przełożony.

Temu księdzu na ambonie tumanić ludem zakażę.

Wychodzi.

Ksiądz Marek.

Idźcie! idźcie... a ja w Barze z ostatkiem ludu zostanę.
Zbiorę całą moją rzeszę, tęcze moje chorągwiane
Na miejskich wałach rozwieszę i odprowadzę nabożeństwo
Święte do krawego krzyża: A Pan, co ludy uniża,
Da mi tryumf... lub męczeństwo i swoją wolę pokaże.

Wychodzi z resztą szlachty.

Wchodzi żyd rabin.

Rabin.

Teraz my tu gospodarze, zamiećmy izbę po panach.
 Nu... jest zysk na tych dywanach,
 Kto zyska, a kto też straci
 Na tej to konfederacyi? A Moskal dywany kupi...
 Judyt! Judyt... hejne! hejne!

Wola do drzwi bocznych.

Wechodzi Judyta.

Rabin.

Nu, co ty szejne morejne zapłakana?... szlachcie głupi
 Nagadał się i wychodzi...
 A mnie pan marszałek dobrodziej
 Nie zapomniał! pan kochany! podarował mi dywany.
 Nu! czemu ty głupia szlochasz?

Judyta.

Ojcze, jeśli ty mnie kochasz, to porzuć te darowizny.
 Na co nam?... my bez ojczyzny!
 Na co nam takie wystawy?

Rabin.

To dobrze, ale te ławy i te makatne pościele
 Ja schowam na twoje wesele, aby ty na nich usiadła.

Judyta.

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
 Złożysz trupa na drabinie,
 Każesz wynieść, nim zadniało. A jak goim spotka ciało,
 To przeżegna się i minie; a jak dziecko, to będzie się bało
 I u matki się rozpłacze i pod rańtuchem ukryje.
 Nu, a jak kruk, to zakracze, nu, a jak pies, to zawyje,
 A jak księżyc, to pobladnie, a jak gwiazda, to upadnie,
 A jak słońce... Nie, my żydzi,
 Nas nigdy słońce nie widzi
 W prześcieradła obwiniętych,
 Szybko na cmentarz niesionych,
 Bo my na prawach przeklętych pośród ludzi przerażonych
 Naszą modlitwą gorącą, naszą mogiłą stojącą,

Krwia białych macowych przasnica
I blaskiem naszych szabaśnic
I tajnych komor ciemnością i tą żółtą naszą złością,
Co się w oczach jadem kręci: my tu na wieki wyklęci,
Jak ogromne cherubiny,
Co w trumnach zamkniętych siedzą.
Nu, a ci ludzie nie wiedzą, co ja mogę, kiedym sroga,
Co ja wiem od Pana Boga, jaki ja im garnek z gliny
Ulepię? co duchem zrobię?... jaki duch w mojej osobie?
Nu, ja wczora na konwale na mogiłki poszła nasze
I patrzała na batalie, na działa i na pałasze:
A w prochu był obłok jazdy, a kule jak srebrne gwiazdy,
A bomby nad nimi w górze jako płomieniste róże,
A wystrzelone harmaty, jeszcze do góry dymiące,
Jak z ogniów siarczanych kwiaty,
A podkowy koniów, jak miesiące!
Nu, ja tak patrząc z mogilek na te ognie, na tę krew,
Zmarszczyła na czole brew, wzięła gliny kilka bryłek,
Wzięła z grobu trochę piasku i przeciwko temu blasku
Rzuciła, że poszli w nic, jak tysiąc zagasłych świec,
Gdy wiatr przeleci bóżnicą. Bo ja była błyskawicą!
Duchem, co krwią pole broczy! śmiercią gaszącą ich oczy!
Naszej wiary tajemnicą! aniołem na boskich posyłkach,
Który piorunami strzela! zmartwychwstaniem Izraela
Stojącym już na mogiłkach!
A przed Bogiem — małą mrówką,
Przed aniołami — aniołem; a wśród popiołów — popiołem,
A przed ludźmi — jak zawsze żydówką pogardzoną.

Rabin.

Nu, Judyta, ty pierwszy raz jesteś taka?
Słyszę tam pana Polaka, co się o austerye pyta,
Zakryj się, bo ty w płomieniach za jasna na jego oczy.

Wchodzi Klemens Kosakowski.

Kosakowski, do sług za karczmą.

Niechaj tu Grzegorz zatoczy
Mój karaban... a tu w sieniach

Powiązać moje brytany. A tu ćwieki wbić do ściany
I pozawieszać szturmaki, szable, kindżały, kulbaki.
A wymieść dom żyda brodą.

Do rabina.

Żydzie! staję tu gospodą.

Rabin.

A panie, a kto ty taki?

Kosakowski.

Niech tego żyda wywiodą i zakneblują mu pyski.
Kto ciekawy, szpiega blizki.

Rabin.

Nu, żartuje pan wielmożny.

Kosakowski.

Żydzie, ze mną bądź ostrożny, bo u mnie żyda powiesić,
To tak jak w pejsy go trzepnąć.

Rabin.

Nu, a czy ty umiesz wskrzesić? Ty możesz, człeku,
Patrząc na niewinną krew. [oślepnąć,

Kosakowski.

Patrz, pierś mam taką jak lew, a nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń, a włos koloru płomieni.
Biada! kto mię zarumieni, ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blada
Stanie, by opłatek boży. Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się i rwie ludzi, wprzód, nim się rozum obudzi.

Do Judyty.

Żydówka, ściągnij mi buty.

Judyta klęka i całuje mu nogi.

Co robisz?

Judyta.

Całuję twe nogi.

Kosakowski.

Co to jest? precz mi z podłogi.

Judyta, na kolanach.

Panie! ty wczora z reduty jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa. Ja cię z mogilek widziała
Śród panów, choć ty chudensz
W szaraczku, a oni w złocie,
W turkusie i w karmazynie. To ty chodził po dolinie
Na koniu, jak Goljat jaki.
Włos twój był jak ogień w grzmocie!
Czapka jak srebrzyste ptaki, jak orzeł, co z nieba runie
I usiądzie na piorunie! Nu, a twój koń był czerwony
I ubrany cały w druty, i czterema miesiącami podkuty,
A w boju taki szalony i tak ogniem z pyska strzela,
Jak smok w pismach Izraela. Otóż ja tu żydowica
Do nóg ci, panie, upadła i twój proch ustami kradła,
Bo tyś jest z królów narodu; ja z narodu — niewolnica,
Z Jerychońskiego ogrodu róża, między obce ludy
Przesadzona i kwitnąca; a królowna z rodu Judy...
Nu! niech mię twa noga trąca!
W piersi mię podkówką wytnij!
Niech się moja pierś zbłękitni i twego herbu dostanie
Od twojej czarnej podkówki.
Ja wiem, że dla mnie żydówki
Ty jest król, wielmożny panie!
Ale ja powiedzieć chciała, czego zamilczeć nie mogła,
Że ja twej szabli pomogła, kiedy ty leciał na działa...

Rabin.

Nu, Judyt, ty oszalała!

Judyta, wstaje i odsłaniając welon, mówi z gniewnym zapalem.

Ja Judyt! ja Judyt, Judyta! Nu, ja nie straszna nikomu,
Póki moja twarz zakryta! Ale z oczu mego gromu,
Ja cisnę na was zagładę,
Bo ja duch, co wszystko odmieni.
Nu, ja kiedyś wezmę i szpadę jasną ze złotych płomieni.

Wychodzi.

Kosakowski.

Rabinie, czy ta szalona to córka twoja, czy żona?
Wcale do niej nie mam wstrętu. Czysta, mało ma akcentu

Rabin.

Panie, to jest moja córka, dziewczica.

Kosakowski.

Cha! cha! cha! żydzie!...

• *Rabin, na stronie.*

Ten człowiek patrzy na Turka.

Kosakowski.

Słuchaj mnie, żyłem w bezwstydy, na kartach i pijatyce,
Kochałem i żydowice i szlachcianki i cyganki;
A tak mnie zna Litwy księstwo,
Że gdyby nie moje męstwo,
Dawno by mnie już — na drzewie...

Czyni gest duszenia się.

A jednak do mnie się czepi...

Tak w serce Bóg coś zaszczepi,
O czym często człowiek nie wie; a w sercu to boże ziarno
(Choć się szlachcic oddał biesu) działa jak ziarno magnesu,
Tak, że się doń ludzie garną i kochają... Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny. Otóż ja, ów łotr haniebnym,
Ów Kosakowski pyszałek, tak się umiem dać we znaki,
Mam za sobą tyle gałek sejnikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapierów, karabel, ile ich ma sam Radziwiłł.
A jużem raz świat zadziwił, porwawszy aż sejnik cały,
Palestrę i trybunały, w jednym miasteczku na Żmudzi;
I z sotkiem tych różnych ludzi w kontuszach i tara-
Ubranych w niedźwiedzie burki, [tatkach,
Niektórzy w żelaznych siatkach,
A ci w lisy, ci w marmurki,
A ci przy szablach w jaszczurze,
A drudzy niosąc dwururki pozaczepiane na sznurze
Jako hiszpańskie gitary; cały, mówię, ten tłum szary

Wiodąc jak stare Żurawie, pokazałem się w Mitawie,
Gdzie wtenczas Sas, Karol młody,
Bez wojska i bez pieniędzy, oblężony, prawie w nędzy,
I bez chleba i bez wody, bo pompy Moskal poimał,
W zamku się książęcem trzymał
Jako pszczoła w głębi ula, mając na to rozkaz króla,
Aby dzierżał swoje księstwo;
Rozkaz! patent na męczeństwo!
Bo sejm zamiast posłać szyków,
Posłał mu dwóch senatorów,
Jakby rzec, dwóch spowiedników,
Dwóch nietoperzy, upiorów,
Dwie chorób, dwie dżum i krupów,
Dwóch sejmowych kościotrupów
Posłał mu sejm... Senatory,
Dziwny w potrzebie rynsztunek!
Otóż ja mu na ratunek przyszedłem i umysł chory
Podparłem... (jak brytan wierny,
Choć go czasem i nie karmią,
On przy domie jak odźwierny)
Tak ja przed moskiewską armią,
Poleciwszy duszę Bogu, położyłem się na progu
Warcząc, bo mi tam, mospanie, brakło zębów na kąsanie.
I tak my Polacy górą, lub z Moskałem oko w oko.
Aż z carską inwestyturą przyjechał Biren z Sybiru.
Zda się, że go więdźmy wloką
Na tron, wśród wroniego skwiru,
Kacią zbryzgały posoką i pokazały z pod chmury
W płachcie z moskiewskiej purpury
Przemrożonego do kości.
Jego oczy pełne złości i ognia, jak owe doły
U bałwana ze śniegoły, przestrasza na arendarzy.
Co jak latarnie cmentarzy przez wydrażone dwie jamy
Leją płomieniste błamy światła... we mgle gorejące
Jako cmentarne miesiące...
Ten trup ciągle nam wybladły
Groził... te oczy nas jadły...

Bo niema straszniejszej rzeczy,
O! żydzie, nad wzrok człowieczy
Błyszczący w sińcach wygnania,
Jako w oprawie ze stali: wzrok, który chęć królowania
Rubinem piekiel zapali... Otóż patrz na moje oczy,
Takie są jak u Birena. Odmienionać wprowadzie scena,
Tu się rzecz o naród toczy, o poklask idzie gromadny,
Nie zaś o tron samowładny; ale mi to Bóg nadarzył,
Że magnaterya ucieka; a potrzeba znów człowieka,
Coby się na wszystko ważył, i los, który się wałęsa,
Ćwiekami przybił do siebie.

Takim obaczą w potrzebie
Kosakowskiego Klemensa...
Bo choć ksiądz o Bogu gada,
To w szable wierzy gromada;
Choć tu ksiądz o cudach gada,
Od szabli idzie komenda;
Choć tu w żywot wieczny wierzą,
Do mnie żywoty należą.

Ja miasto mam w mojem łonie,
Ja go ogrzewam... ja bronię, ja na wroga wyprowadzę
Nawet karczmy, nawet mury; a kiedy trzeba? do góry
Jak wulkanem je wysadzę
Bez drżenia, bez drgnięcia powiek...
Teraz wiesz... com jest za człowiek;
Więc... mój kochany rabinie, oto na ten skrypt książęcy,
Musisz mi dać sto tysięcy dukatów i milczeć głucho,
Bo nawet trup twój zaginie,
Jak namiot przed zawieruchą
Wichrem Jehowy zmieciony.

Rabin, przeglądając skrypt.

Nu, panie... ja miliony
Wydam zaraz na skrypt taki...
Ja nie wiem, dla kogo one, ale będą zapłacone
Tej nocy... mam dwa przetaki
Złota... sługa nizki pana!...

Kosakowski.

Żydzie, to skrypt na sułtana,
Na nim ty nie będziesz tracił,
Choć się jak cytryna wyciśniesz...
Lecz jeśli mi przed kim piśniesz,
Żeś mi taki skrypt zapłacił?
Żydzie!... tak mi pomóż Boże!
Nic cię z mych rąk nie wykupi.

Rabin.

A ja byłbym, panie, głupi, gdybym gadał, nim otworzę
Kredyt u wielkiego Turka.

Kosakowski.

Niechaj ani twoja córka, ani franki u łóżka,
Ani pod głową poduszka nie słyszą jednego słowa.

Rabin.

A czy żadna inna głowa o tem nie wie?

Kosakowski.

Żadna inna.

Rabin.

Nu! to moja będzie winna albo pańska, jeśli o tem
Kto na powietrzu zagada.

Kosakowski.

Zaraz mi przychodź ze złotem.

Żyd wychodzi.

Jaki mi na serce spada
Kamień!... Cudzy pieniądz biorę;
Skrypt na Potockich pisany.
I w złocie kradzionem piorę brudny honor mój karciany.
Groszów publicznych grabieżą przeszłe me opłacam długi.
Zabiłbym, gdyby kto drugi...
Lecz sam to nazwę... kradzieżą!

Wchodzi Rabin z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.

Kto to jest?

Rabin.

Nu... rabin, panie, z pieniędzami... nie miej strachu...
 Chodźmy do stancyi na dachu
 Liczyć... póki w skarbie stanie...

Wychodzą oba.

Wchodzi Judyta i Józafat.

Judyta.

Chłopaku, chrześcianinie, zapal mi, proszę, latarnie,
 Chodź... i za mną nieś tę skrzynię...
 W miasteczku ciemno i gwarnie.
 Weź szablę i pistolety, weź i kij, co psy odpędza,
 Pójdę do świętego księdza...

Jozafat.

Do księdza? (Na stronie.) Z tej się kobiety
 Zrobił szatan stujęczyczny.

Judyta.

Zapal ten kaganiec śliczny, tę latarnię z pergaminu,
 Co jako księżyc z bursztynu po ciemnych ulicach chodzi;
 Księżyc, który na srebrnicy róże malowane rodzi
 I rzuca po błotach ulicy, gdzie ja żydówka przechodzę,
 Tęczę... za most mojej nodze; kwiaty rzuca na kałuże,
 Abym stąpała na róże...

Jozafat, na stronie.

Co ten zły duch przez nią plecie o papierowej lojówce!
 Co za język w tej żydówce!...

Judyta.

Nu... pudło trzymaj na grzbiecie.
 Nie gadaj nic, ale prowadź,
 A pomnij, by fanał nie zgasnął.

Wychodzą.

Wchodzi Kosakowski i Rabin.

Kosakowski.

Żydzie! ktoś tu drzwiami trzasnął, ktoś wyszedł.

Rabin.

Nu... złoto schować a nie dbać, czy tu kto chodzi.
Niech się pan rotmistrz dobrodziej
Nie boi... Niech pan naczelny
Taki wojak wielki, dzielny, żydowi także zaufa.

Kosakowski.

Ćwiekami nabita kufa dla ciebie żydzie gotowa,
Dla twoich kości i grzbietu, jeśli ten dom nie dochowa
Tak jak mogiła — sekretu... Pamiętaj... źle z tobą będzie,
Mój krwawy Dyogenesie, jeśli kto słowo wyniesie
Za dom... A gdzie twoja córka?

Rabin.

Nie wiem, może jedwab przędzie,
Może z jedwabnego sznurka
Zwleka perły kałakuckie... Dziewczyna ma serce ludzkie...
Może gotuje balsamy, szarpie strzępi dla szpitali,
Albo się w modlitwie pali i płacze jak Rachel u Ramy.

Kosakowski.

Zawołaj mi ją.

Rabin.

A po co?

Kosakowski.

Bo ona wyszła za bramy.

Rabin.

Nu... ona nie chodzi nocą.

Kosakowski.

Lżesz, żydzie... Oto ci powiem, że kiedyś ty liczył złoto,
To ja na uliczne błoto spojrzałem w ciemne czeluście;
I gdzieś pod księżycą nowiem postać, cała w białej chuście,
Jak słup w bieliznę ubrany, mgłą owinięta pochmurną,
Za księżycem z porcelany, za powietrzną jakąś urną
Złotą, świecącą do koła, jak lilija, co kielichem
Złotym oświeca anioła; postać taka do kościoła

Szła i spotkała się z mnichem.
Ten mnich -- to ksiądz karmelita,
A ta postać — to Judyta.

Rabin.

Panie mój... to być nie może.
Judyt!... Niema jej w komorze!...
Nu, prawda, że poszła... Judyta!...
Nu ja nie wiem, jasny panie,
Gdzie moja córka ukryta? Pójdę na poszukiwanie.

Wchodzi Jozafat z latarnią.

A gdzie ty bywał, mój sługo?

Jozafat.

Pannę rabinównę wodził.

Rabin.

A gdzie z twoją panną chodził?

Jozafat.

O tem rozповідаć długo. Gdybyś mi był na Wielkanoc
Dał na kolendę złotówkę, powiedziałbym, gdzie żydówkę
Odprowadziłem dziś na noc.

Rabin.

Jozafacie, ja ciebie odpędzę!

Jozafat.

Czytujesz w talmudu księdze
A nie wiesz, gdzie córka chodzi?

Kosakowski, otwierając drzwi do szynkarni.

Hej! albeńska moja młodzi, proszę tu do mnie z szynkarni.

*Wchodzi Bojwił i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych,
w czapkach przesytych drutami.*

Panowie, kto wami dowodzi?

Bojwił.

Ty, jak zawsze, dyabeł Klemens,
Infernem nec Deum temens;
Na róg przysięgliśmy sarni i na buty Radziwiłła.

Kosakowski.

Otóż wybieram Bojwiła, namiestnikiem go stanowią;
 Jeżeli się tylko dowie, że mię na koniu widziano
 Z tą srebrną szablą nad głową i w ręku z tą chustą rumianą:
 Niech mi da rycerskie słowo,
 Zgiąwszy przed Bogiem kolano,
 Że mój karaban zaprzęże, mój trzos weźmie i manatki
 I wyjedzie za rogatki, nie dbając na warty księżę...
 A choćby sto gromów trzasło i świat drżał, niech nie uważa,
 A na takie moje hasło powiesi tu arendarza.

Do rabina.

Dobry jesteś i uczynny, więc niechaj ci twarz nie bładnie.
 Bo jeżeliś ty niewinny, to ci włos z głowy nie spadnie

Do Litwinów.

Wziąć go i strzedz... Niech za bramy
 Nie wychodzi. Gdy ujrzycie
 Mój znak, to go powiesicie. Przysięgacie?

Litwini.

Przysięgamy!

A K T II.

Plac w Barze ubrany jak na Zielone Świątki w brzozy, klony i jarzębiny. Wchodzą: *Ksiądz Marek, Judyta i Starościc z Barku*

Ksiądz Marek, do Judyty.

Wracaj izraelitanko, i bądź o ducha spokojną,
 Nie długo będziesz wygnanką. Na to się toczy ta wojna,
 Na to ja moją siwiznę ofiarowałem, kość złożyć,
 Aby silne duchy boże miały na ziemi ojczyznę
 I sztandar sercem zatknięty. Więc manele, dyamenty,
 Któreś ty Bogu złożyła, przyjmę... A ty, duchom miła,
 Już miłości nauczona, chociaż przez krwawe ramiona
 Chrystusa i Boskiej Matki jeszcze nie obcięta z cierni,
 Ale jako polne kwiatki w słońca jasnego farbierni
 Umalowana sowicie w izraelowej purpurze,
 W polskich bławatków błękicie; jeszcze nie biała lilija

A już pachnąca jak róże; strzeż serca, co się rozwija,
I łez wiszących nad rzęsą, bo mówię ci, przyjdą burze
I duchem twoim zatrzęsą; z drogi cię może zawrócą
I trupem pod nogi mi rzuca
Jak garstką przeklętych kości...
Idź, córko — i trwaj w miłości!

Błogosławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.

Starościc.

Panie, Klemens Kosakowski po całym cię mieście szuka.

Ksiądz Marek.

Nad tym człowiekiem gniew boski.

Starościc.

Księżę, lecz to śmiała sztuka! Głowa zła, lecz serce złote.

Ksiądz Marek.

Otóż obaczysz, jak zgniotę
Tę głowę, tę czaszkę całą, aby serce ocalało.

Starościc.

Jak to?

Ksiądz Marek.

Z miasta go wygonię.

Starościc.

Lecz on ku miasta obronie
Potrzebny... wódz tego steku...

Ksiądz Marek, przerywając.

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

Starościc.

On ma partyzantów wielu...

Ksiądz Marek.

Posłuchaj mnie, przyjacielu. Zaprawdę, że ludziom łatwo
Mówić grzeczności wzajemne, rozrzucać słowa przyjemne,
Obchodzić się z ludźmi, jak z dziatwą
Przynęconą na łakocie: albo dawać cięgi mocne

Jak palmy przedwielkanocne, umoczone całe w złocie,
Owite kwiatki złotymi... tak że wchodzą do kościołów
Jakby z krainy aniołów inne drzewa, nie z tej ziemi...
To też zwyczaj u nas żyje,
Że wierzbą z kwietnej niedzieli
Bijesz własnych przyjacieli, mówiąc, że wierzba je bije,
A tyś nie winien, że boli... Raz w rok żart jest pozwolony,
Uświęcone kłamstwa tony, aby się duch tej swawoli
Dorwawszy, znalazł spoczynek
I z pod niańki się wylał,
Objadł się cukru, rodzynek,
A potem — rok cały nie kłamał
I z prawdą już nie swawolił.
Więc jeżeli w prawdę wierzysz
A Bóg ci miecza pozwolił, bić kazał, — a nie uderzysz,
Choćby serce własne krając, ale uderzysz igrając
Jak arlekin, nie jak człowiek; jeżeli prawdy piorunem
Nie spalisz grzesznika powiek,
Nie jesteś wtedy piastunem boskiej powagi i chwały.

Starościc.

Słuchałbym ciebie dzień cały, Ojcie Marku.

Ksiądz Marek.

Przed wieczorem z harmat będę miał słuchaczy,
Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
Wiodąc nawet tłum żebraczy, pójdę na wroga.

Starościc.

Dziś, panie?

Ksiądz Marek.

Dzisiaj, w dzień Zielonych Świątek.

Starościc.

A tu w mieście któż zostanie?

Ksiądz Marek.

Ot, ta gromada dzieciątek, która się na piasku bawi,
Młynki na kałużach stawia i cieszy się, że drzewiny

Ścięte na ulicach wędną. Polsko, nie jesteś oszczędna!
 Te klony, te jarzębiny, te brzozy, las cały młody
 Przyniosłaś sobie do miasta; prawdziwie jak ta niewiasta
 Między Judzkimi narody, sławna, że flaszeczkę całą
 Bardzo drogich aromatów wylała na Zbawcę światów;
 O której rzekł, że mu ciało
 Uprzedziła na pogrzeb pomazać.
 I któżby jej śmiał zakazać
 Tej rozrzutności? ... niewieście,
 Która Zbawcy śmierć przeczuła i cały słoik zepsuła,
 I rozłukłszy alabastry, rozlała po całym mieście
 Woń tego balsamowania. Więc i dla naszej hałastry
 Ostatniego pomazania w tych drzewach pachną oleje! ...
 I zaprawdę! nasze dzieje, gdy nas srogi los połamie,
 Pachnąć będą w tym balsamie długo w umarłej krainie;
 Szczególnie, małej dziecinie, co się zbudzi i obaczy
 Las cały z kalin czerwienią, stojący przed domu sienią;
 Gdy jej dziadek wytłómaczy
 I pod cieniem tych drzew powie,
 Że tak czynili ojcowie, którzy już dawno są w grobie,
 To dziecko poczuje w sobie,
 Przejęte smutkiem i strachem,
 Patrząc w smętne oczy dziada,
 Że i tym nawet zapachem ojczyzna do niego gada ...

Błogosławiąc plac.

Czy słyszysz, jak ten las śpiewa,
 Listeczków tracąc ostatki?
 Błogosławione wy, drzewa! błogosławione wy, dziatki!
 Rosnące przy kraju męczeństwie ...

Starość.

Panie, dzwonią na nieszpory.

Ksiądz Marek.

Idę... a po nabożeństwie, choć starości krok niespory,
 Wycieczkę Pańską prowadzę, bo mam na to rozkaz boży
 I taką nad ludem władzę, że Kosakowski mi złoży
 Komendę... i stąd wyleci jak czarny szatan nieczysty,

Bo mi anioł promienisty rozkazał, abym z tych dzieci,
Które mam, nie stracił żadnego.

Wychodzi.

Starościc.

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
Ostrzedz, że burza go czeka.

Szkoda byłoby człowieka!

I strach... ach, strach, gdyby zorze

I to słońce już czerwone, na morderstwo zapatrzone,
Zachodziło po niesporze. Gdyby smętna twarz księżycy
Ujrzała pod cerkwi ścianą szarą szlachtę porąbaną

Za księdza i za szlachcica. Gdyby znów nocne pojawy,
Ten Chrystus strasznej badości,

Z dziurami na wylot w kości,

Ubiczowany i krwawy, jak kometa, co z podróży

Powraca, pokazał miecze we krwi, co z grobów się kurzy

I po mogilniku ciecze. I odleciał z tymi ingłami,

Zostawiwszy nas trupami.

Głos za sceną.

Aj! wej!

Starościc.

Krzyków pełno w mieście.

Słyszę wrzask i szlochanie niewieście.

Wpada Judyta z nożem w rękę, za nią Kosakowski i Bojwił.

Judyta, do Kosakowskiego.

Nu! ja cię nożem przebiję, ja nie twoja nierządnicą.

Do Starościca.

Panie! od tego szlachcica ratuj! skoczył mi na szyję
Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,

Wyskoczył do mnie w alkierzu.

Patrz! on cały w prochu, w pierzu,

Z oczyma zapalonemi jak Edomit.

Kosakowski.

Milcz, szatanko!

Judyta.

Patrzaj ty na mnie, człowieku, jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku, nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze,
I rozbłyskał się na całe niebiosy.

Otóż ten Bóg teraz broni każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!

A jak spojrzy, to się góry pokłonią!

A jak błysnie, to ślepotą na ludy!

A jak zagrmi, to się groby odsłonią!

A jak ścichnie, świat się cały odmieni,

A skrę rzuci, to świat będzie z płomieni

I w słoneczne się ognie roztrząśnie;

A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie

Jako węgiel pod wodą i syknie;

A gdy rękę podniesie, świat zniknie

I nie będzie ani mnie, ani ciebie,

Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie.

I któż jesteś ty, gwałtowny goimie?

I któż jesteś ty, chrześcianinie?

Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczynie,

Jak ten drugi, co w Jerozolimie,

Choć poselstwa do Judy nie mając,

Zaćmił księżyc i słońce, konając.

Któż ty jesteś? nu, że chodzisz cieniem,

Jak duch jaki za owczem gdzieś runem?

I dotykasz się piersi piorunem?

I z rąk chwytasz za szyję płomieniem?

Nu, ty zginiesz jak duch w błyskawicy!

I przy lampie, co stoi przy łożu,

Lba twojego w żydowskiej miednicy

Twoi słudzy obaczą przy nożu,

I przelekną się łóżka i ciała.

Nu, ja sama, gdy to rzekła, zadrżała,

A ty nie drżysz? któż ty jesteś, człowieku?

Kosakowski.

Na twe czoło wykąpane w ptasiem gołębiczy mleku!
 Na twoje usta różane, których łuk napięty drży!
 Na ten szprejtuch, który skrzy niby złoty jaki kruż,
 W środku pełen białych róż! na twe oczy, z których bije
 Razem żar i noc i dzień! na twoją łabędią szyję!
 I na ten błękitny cień twoich rzęsów, który spada
 Aż na rubin twoich lic! na tę głowę, gdzie gromada
 I brylantów i rubinów pali się jak tysiąc świec,
 Lub nad głową Cherubinów z różnych gwiazd uwity kłęb!
 Na każdy z perełek zęb, co jak skrzydełko gołębie,
 Bieląc czepca aksamity, spuszcza się na skroń błękity!
 Na każdą perłę w tym zębie, co jakoby grochy duże
 Zwinęły się w srebrną różę i twoją głowę oblały!
 Na ten, mówię, skarbiec cały i klejnotów i piękności!
 I na królestwo miłości przysięgam.

Judyta.

Co?

Kosakowski, urągając.

Miłość wieczną.

Bojwile, pod straż bezpieczną wziąć mi tę synogarlicę.

Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy.

Starościc, do Kosakowskiego.

Puść waćpan tę żydowicę.

Kosakowski.

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

Starościc.

Zgoda...

Dobrywają szabli i biją się. Starościc pada.

Dostałem śmiertelnie.

Kosakowski.

Sam się przebiłeś tą bronią.

Starościc.

Rana pali mię piekielnie. Książdza!

Kosakowski.

Trzymajże za brodę
Duszę, aby nie uciekła. A ja ci księdza przywiode.

Odechodzi.

Starościc.

W tej krwi, co ze mnie wyciekła
Wiednie moja blada skroń. Jezu! Jezu! ty mię broń
Przed skonaniem od rozpaczyl
Cóż tam będzie, gdy zobaczy matka moja starościna,
Że na marach niosą syna przez posępne z lip aleje,
A z mar syna krew się leje, a służący trupa kryją.
Cóż tam będzie! gdy zawyją moje psy u moich bram?
Gdy mój stary dziadek sam
Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
Oczy wlepi w moje oczy i na nogach się zatoczy,
I na ciało się powali, i na piersiach mi zaryczy!
Jezu! Jezu!

Wchodzi Kosakowski, wiodąc księdza Marka w ubiorze mszalnym
z monstrancyą — w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów
ze sztandarami.

Ksiądz Marek.

Kto tu krzyczy, kto tu z jękiem woła Pana?

Starościc.

Moje serce, moja rana bolesne usta otwiera,
Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

Ksiądz Marek.

Kto ufa, ten nie umiera.

Starościc.

Mówisz o wiecznym żywocie!

Zamyka oczy i kona.

Ksiądz Marek.

Zaprawdę, kto nie doczeka na jasny męczeństwa wieniec,
A krew rzuca jak szalencie pod miecz drugiego człowieka
I drogie utracą ciało, gdy tej krwi biednej tak mało

Tutaj na obronę bożą, wart, że go w trumnie położą
Ludzie, przy bladym świeczniku;
I zapomną o nim na ziemi jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
Niewartym nawet powszedniej modlitwy, jednego krzyża,
Niewartym nawet łyż jednej!
Lecz Chrystus, co się przybliża
Do twych ust pełnych rozpacz, które go wołały z jękiem,
Człeku, niechaj ci przebaczy.
I niech twój grobowiec młody
Ukraińskich kwiatów wdziękiem okwitnie. O Boże! Boże!
Jakie to matkom zawody! Jakie dla ich serca noże!
Jakie za miłość wypłaty, takie wczesne dziełek straty!
Takie śmierci z marnych sprzeczek
Wynikłe, zgony gwałtowne,
A zaś równie nieodzowne jak tamte, co są dla Boga.
O! jak te garstki kosteczek, które śmierć odnosi sroga,
Drogie im w dzieciństwie były! Ile mleka, łez wypłyły!
Ile za nimi pacierzy pobiegło w złote niebiosa!

Zamyka mu oczy.

Umarł... Trup przed wami leży.
Młodzieniec złotego włosa
Wczoraj jeszcze kwiat młodzieży! —
Oto zszedł ze świata tego syn Jaśnie Oświeconego,
Dziedzic Barku i Ladawy,
Na wejściu w związki książęce. —
Weźcie ten pierścionek krwawy i oddajcie go panience.
A nad trupem, co tu leży, zaśpiewajcie Anioł Pański.

Pokazuje na Kosakowskiego.

A to służalec szatański, człowiek mordy i grabieży,
Gwałtownik i pijanica, pusty jak dyabła kaplica,
Krzykun jak wojna kokosza, złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł, chodząca jakaś szkarada:
Do którego nie przypada żaden dawny polski tytuł.
Starosta? Lecz on na głowie nie ma zasług, ani lat!
Podskarbi? sam niechaj powie, niechaj publicznie obwieści,
Ile grosza wczoraj skradł; cześnik? ale on bez cześci!
Miecznik? ale on jest kat! nawet nie człowiek! bo oto

Leży jego jeden brat, z którego krew szczerozłotą
 Tak czystą, młodą, rumianą, ojczyźnie ofiarowaną
 Ten człowiek wytoczył z serca.
 Więc nie człowiek, lecz morderca
 Stoi pod nami i zgrzyta. Otóż mówię w imię Boże,
 Że odtąd jako banita pójdzie na świata bezdroże,
 Jako szatanowie czarni, pędząc gdzieś pod błyskawice,
 Do mglistej w deszczu latarni,
 Przez krwią zbryzgane ulice,
 Śród zgiełku i tarabanów; z odwagą w sercu umarłą
 Bez sądu położyć gardło. Proszę więc wielmożnych panów,
 Abyście go od tej chwili, jako zdrajcę opuścili,
 Jak Moskala się wyrzekli, jak od choroby uciekli,
 Zamknęli sąd jak nad ściętym,
 Jak dla węża łez nie mieli,
 Jak o zmarłym zapomnieli; a myśląc jak o wyklętym,
 Żegnali się i truchleli. A ty, na twój koń czerwony
 Siadaj... bo drżysz jak niewiasta.
 A jeśli dla swej obrony
 Nie masz wyrzec nic? precz z miasta!

Szlachta, wyprowadzając Kosakowskiego.

Oczy jego obłąkane, milczy i z ust toczy pianę.

Ksiądz Marek.

Posadźcie go na rumaka, dajcie w rękę szablę gołą
 I połóżcie ją na czoło jak miesiąca w półpromieniach.
 Śniła mi się postać taka
 W przenajświętszych objawieniach,
 Żem ją Duchem bożym cisnął,
 I gnał w ciemność krzyża znakiem,
 A za nim i za rumakiem cztery razy piorun błysnął.
 Królowo świętych! proroków! Najświętsza Panno Maryo!
 Każ, niech mi pioruny biją, proszę o salwę obłoków
 I grzmoty: Salve Regina!

Szlachta.

Niebo się lyskać zaczyna, koń rycerza na kiel bierze.

Ksiądz Marek.

Gwałty, morderstwa, grabieże precz z Polski!

Szlachta.

Grzmot już tu bije...

Ksiądz Marek.

Wszemu duchowi, co żyje, i tym, którzy przyjdą nowi,
Czyści, stać przy bożem prawie,
Tym kielichem błogosławię.

Błogosławi chmury wśród ognistych trzaskawic.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu, chwała!

Szlachta.

Niebo od piorunów pęka, z wałów biją wszystkie działa.
Kto żyw, niech przed Bogiem klęka!
Pan zwycięża! Narody giną!

Ksiądz Marek, wśród najmocniejszych piorunów.

Gloria in excelsis Domino!

Szlachta, na klęczkach.

Pioruny trzęsą biegunem! Panie! proch z nas i ofiara,
Lituj się naszego jęku!

Ksiądz Marek.

Wstańcie! teraz wasza wiara zapalona jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.

Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.

Szlachta.

Idźmy, prowadzi na wały...
Dzień to zwycięstwa i chwały!
Dalek z działkiem za rajtaryą!

Cechowy.

Naprzód sztandar z Panną Maryą,
Naszą świętą z Poczajowa...
Słyszycie? to Suwarowa bateria gra posępnym basem
Kantyczce naszej do wiersza. Odezwała się najpierwsza
Pod hawryszowieckim lasem...

Głos z poza sceny.

Cud! cud!

Cechowy.

Co tam?

Głos z poza sceny.

Jedna ruska baterya z ziemi porwana.

A na płomieniach wulkanu zjawienie!... I wał konnicy,
Której koń we krwi się pluska,
W samo morze z błyskawicy
Jak wał żelazny się wali...

Cechowy.

Wszelki duch Chrystusa chwali! Bez harmat my, bez oręża.
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu.

Scena oświetlona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg
słyszać odgłosy dalekiej walki. Kosakowski wlatuje, waląc się z ko-
nia, z drugiej strony z poza karczmy wychodzi Bojwił.

Kosakowski.

Zwierżnął mię rumak przelekły, popręgi u siodła pękły,
Wyleciałem stąd jak śpiąc, obelżony, duchem złaman.
Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
Każę ćwiczyć po ulicach, będzie bity tak jak Aman.

Bojwił.

Ktoś tutaj przy błyskawicach w ognistej ulewy skrach
Stoi jak upiorny strach, co to jest? to rotmistrz nasz?

Kosakowski.

Obelgami zlał mi skronie, piorunami dał mi w twarz,
Przed nim siedział duch mój w łonie,
Jako robak w trupie siedzi,
Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
W który kula uderzyła,
A twarz jako słońce była, a w źrenicach mocy sto.
Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

Stuka do karczmy.

Bojwił.

W tej karczmie niema nikogo, tylko żydowska dziewczyna
A na belce — trup rabina.

Kosakowski.

Otwórz! otwórz!

Bojwił.

Jakaś trwogą wskróś przejęty, nie śmiem, panie,
Trup ci przed oczyma stanie, trup rabina się pokaże.

Kosakowski.

Otwórz! otwórz! ja ci każę! Niech widokiem tym ohydzę
Moje oczy...

Bojwił.

W oczach ćmi się od błyskawic... drzwi nie widzę.

Kosakowski.

Oczy moje jasne, rysie, w oczy tego żyda wszczepię,
Na bladościach je oślepię i na strachu zahartuję.
Tysiąc trupów mi się snuje przed oczyma, widma same!
I ja widmo... Otwórz bramę! Choćby ją sam szatan kuł
I przed piekłem ją postawił, szablą ją rozetnę w pół.
Bije we drzwi szablą — i brama się odmyka, ze środka rozepchnię-
ta... w bramie pokazuje się Judyta w worku szarym ubrana,
z bosemi nogami.

Jakiż mi się szatan zjawił?

Judyta.

Nu!... Czemu bramę rozbito, gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

Kosakowski.

To ja, Judyto.

Judyta.

Ach... czemu ty taki siny jak zabójca? oczy w słup?

Kosakowski.

Daj wody, pragnę jak pies.

Judyta.

Nu... ja ci dam moich łez!

Nie chodź tu, bo w karczmie trup.

A ja sama siedzę boso na popiele w szarym worze.

Póki trupa nie wyniosą, żaden goim wejść nie może,

Gdzie żydówka na bosinach, a przed nią trup na drabinach
W śmiertelnej leży koszuli.

Kosakowski.

Judyto...

Judyta.

Nu... co?

Kosakowski.

Chcę wody.

Judyta.

Nu... czy ty żebrak na kuli? Ty możesz robić — ty młody;
Młode jeszcze twoje lata, możesz być hyclem u kata.

Kosakowski, dobywając szabli.

Jezu!

Judyta.

Ha... ty przy orężu?

Kosakowski.

Kobietko! szatański węzu! Co świszczesz urągowskiem
A nie drżysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i blada jak kreda.

Wiedz, że z mojego rozkazu powieszono tego żyda,
Bo mię zdradził...

Judyta, przez ciąg jej mowy słyhać ciągle odgłos dalekiej walki.

Nu, do razu ja to zgadła i wiedziała,
Że się to przed Bogiem wyda. Ty okradł i zabił żyda,
I z jego martwego ciała zostawił posag żydówce;
A sam poprowadził hufce, jak wiatr co się w polu miota,
Jako Polak patryota, jako rycerz krwią czerwony,
Jak pan wielki oświecony, jak twej ojczyzny dobrodziej;

Choć ty zabójca i złodziej brzęczysz od mojego złota;
A ja, przez ciebie sierota, przy okradzionym kantorku
Siedzę w popiele, na worku,
A przede mną z trupem drabina.
Nu, czy ty wiesz? jak rabin
Trup po śmierci straszny, srogi?
Jak do wschodu leży głowa? a z drabiny sterczą nogi?
Czy ty wiesz, co się nazywa u chłopów noc rabinowa?
Co dęby w puszczech porywa, domy znosi jak namioty
I całą noc sypie grzmoty głośnie jak Jehowy słowa:
A dlaczego rabinowa? Nu?... a czemu piorun głuchy
Taki jasny? a świat drżący? Bo to są rabinów duchy,
Nu... i trup się ten modlący,
Co siedzi wtenczas w bóżnicach
Przy wichrze i błyskawicach,
Pod czarnym kahałów dachem,
I z pacierzem i z rejwachem, i z płaczem aż do niebiosów,
I z jękiem i z rwaniem włosów, i z żałobliwemi słowy,
Modlący się do Jehowy, aby zdjął już z Izraela
Przekleństwo... A gdy Jehowa
Piorunami wtenczas strzela
I sprawuje taki zamęt; to widać, że płacz i lament
Panu Bogu się podoba, że biednych żydków żałoba
Pioruny jego zapala.

 Słucha grzmotu dział.

Nu, tam teraz u Moskala wielki strach Chrystusa Pana:
Książd wziął krzyże, zdjął ornaty,
Duchem rozrywa harmaty
I w białym świeci habicie i krwi ma aż po kolana;
A ja tu, żydowskie dziecię, sierota w waszej krainie,
Siedzę przy trupiej drabinie,
Przy wietrze, co wieje od trupa,
A pode mną popiołów kupa, a na mnie wór podły, szary;
A ja podobna do mary z twarzą bielszą od miesiąca,
Z zabójcą rozmawiająca, z szczęścia jak kwiat oberwana,
W żalości jak obłąkana, o zabójstwie jakby śniąca,
A we śnie łzami zalana, a w strachu, jak wiedźma blada,

A zemstą w niebo porwana,
A w przekleństwach jak piorun, co spada!

W najwyższej exaltacyi, przy odgłosie dział.

Nu, więc teraz ja się zrywam i o ściany tłukę głową.
Ja przekleństwem się nazywam i nazywam się zagubą,
Krwią i burzą rabinową, wichrem, deszczem, nocą grubą,
Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą!

Bo w tem sercu są wichrzyce,
Co was i rozerwać mogą! Nu, bo w puchu błyskawice,
Co świat cały mogą spalić! bo oto ja tchnęła na pole
I chorągwie zaczęły się walić, i wasz duch leży na dole
Podobny wężowej chmurze; a ja tu stoję na górze
I podnoszę zemsty ramię, i nogami go depcę i łamię,
I odpędzam precz z pola do miasta;

Strzały harmatnie ustają nagle.

Abyś wiedział, że judzka niewiasta,
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu zemstą ojcowskiego zgonu,
Jest jak noc, cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,
Jest jak gład, w Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jest jak strach, co serca napęlnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia.
Ten sąd macie chrześciani,
Ja go na was trzęsę z rąk!

W największej furii trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami
przekleństwa na pole.

Kosakowski.

Żydówko, ja twoich mąk nie winien... bo obłąkany,
W zupełnej nieprzytomności dałem znak chustą czerwoną
I mój rozkaz wypełniono, wypełniono bez litości.
A jam tu powracał po to, bym żydowi oddał złoto
A porwał córkę żydowską.

Judyta.

Kogo, powiadasz, goimie?

Kosakowski.

Przysięgam na Matkę Bożką, ciebie samę.

Judyta.

Powiedz imię?

Kosakowski.

Judytę.

Judyta.

O! wielki Boże!

Kiedy wczora ja w komorze całowała twoje nogi

A ty jak pan wielki szumiał,

Ty ust moich nie zrozumiał!

Ty mię nogą pchał z podłogi,

Jak człek, co gałganem miota!

A dziś, czy ja tobie droższa

Przez to, że dziś ja sierota?

I od żydów najuboższa, i od kobiet niegodziwsza,

I od wszystkich węży mściwsza?

Śmiertelniejsza od żelaza! że ja? ... Nu, ja... jak zaraza

Dmuchnęła i wiatr popsuka?!

Nu, ja... prawda, co mówicie,

Igielkami dzieci kłuła i wieszała na suficie

I robiła ze krwi ciasto. Nu, a teraz wasze miasto,

Chociaż wiem, że sama zginę,

Tak zaklęłam jak dziecinę,

Aż krwią skapie purpurowe. Jeśli ty kat, to nie czekaj,

Lecz mi szablą zetnij głowę, rzuć za siebie i uciekaj

Pełny trwogi i popłochu,

Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu

Widma, co zagaszają słońce!

Kosakowski.

Wielki Boże! w karczmie Dońce!

I piechotny bagnet świta! Ty zdrajczyni!

Judyta.

Ja, Judyta!

Wchodzi do karczmy.

Kosakowski.

Bojwile! miasteczko wzięte!

Czyńmy to, co jeszcze można.

A ty, coś wydała święte kościoły, furyo bezbożna!

Przysięgam ci, że powrócę, za włosy ciebie pochwycę

I w żar płomienisty rzucę, i spalę jak czarownicę,

I strzaskasz się jak suchy pień...

Gdzie mój koń? ... to sądny dzień!

Bojwił i Kosakowski wychodzą.

Z karczmy wychodzi Kreczetnikow, generał moskiewski, Suwarow
oficer, adjutant i moskiewskie wojsko.*Kreczetnikow.*

Tak się przez żydów każde miasto bierze.

Suwarow, weźmij z sobą sotko ludzi

I od klasztoru postaw tak żołnierze,

Aby schwytali księdza cudotwórcę.

Ten mózg, co twoje dziś rękawy brudzi,

Krew, koralowej podobna paciórce,

Którać na czole błyszczy, bestyo dzika!

Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

Suwarow.

Sława Rosyanom!

Odchodzi.

Kreczetnikow.

Gdzie jest pan Branecki?

Adjutant.

Gada z karczmarką.

Wychodzi.

Wchodzi Branecki, prowadząc za rękę Judytę już ubraną jak
poprzednio, w pięknym żydowicy stroju. ●*Branecki.*

Na honor szlachecki!

Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.

Dałem jej kieszę pieniędzy, rzuciła na ziemię złoto,
Zdjęła worek, z bladej twarzy,
Obtarła popiołów błoto i stoi cała w klejnotach
Jak paw, kiedy rozwachlarzy ogony.

Judyta.

Nu, wy w namiotach mieli od mojego sługi
Pokazany ten loch długi, idący tu do piwnicy.
Teraz wy, jak na gościnie u rabina żydowicy,
Szanujcie ludzkie żywoty,
Niech tu żadna krew nie płynie,
Niech tu nie grzmią żadne grzmoty, bo...

Branecki.

Bo i cóż

Judyta.

Bo ja proszę.

Branecki.

Na twoją instancję wnoszę te prośbę do generała,
Aby wiatrem nabił działa i kul nie dawał harmatom;
A manifestami z lawet walił w tył konfederatom,
Oddawszy im to wet za wet, co nam niosła ich wymowa,
Za wiatr — wiatr, za słowa — słowa.

Judyta.

Nu, kto ty, co mi urągasz?
Czy ty pies, że ludzkie kości
Na polu zębami ciągasz?
I nad trupem jesteś w złości?

Branecki.

Co, najpiękniejsza z karczmarek?...
Wziąć ją, ręce związać sznurem. Niech czeka.

Moskale wiążą Judyty ręce w tył i krępują powrozami. — Adjutant
wchodzi, prowadząc Księdza Marka pod strażą.

Adjutant.

Oto ksiądz Marek! pod samym klasztornym murem
Z szablą w ręku wzięty w plen.

Branecki.

Co? ksiądz Marek? oszust ten?...
Czy to ty jesteś, mój klecho?

Ksiądz Marek.

Ja sam.

Branecki.

Bądźże nam pociechą i grzesznych orędownikiem.
Księżu, tęgim jesteś ćwikiem, oszukiwałeś rok cały
Wszystkich nabożnych i głupich; biłeś się jak generały
I chciałeś sobie z głów trupich wybudować kazalnicę,
Skądbyś mógł do króla gadać...
Czas ci na osiołka siadać, przejechać się przez stolicę,
Gdzie już nie podolskie mózgi i szlachecka cię głupota
Przyjmą, ale kat i różgi; bo ta twoja tu robota,
Te bunty i te powstania warte tylko wysmagania.

Ksiądz Marek.

Czegokolwiek one warte, pokornie proszę waćpana,
Abyś me piersi rozdarte lekarzom opatrzyć kazał.

Branecki.

A gdzież ty tak habit zmazał?
A gdzież wzięta owa rana?

Ksiądz Marek.

Na polu, z ręki Moskala.

Branecki.

Jak to? więc Pan Bóg pozwala,
Że i święci noszą blizny?

Ksiądz Marek.

Tak, mospanie, dla ojczyzny
Pozwala Pan Bóg i świętym...

Branecki.

A różgami być ociętym?

Ksiądz Marek.

I to zniosę.

Branecki.

Kreczetnikow, daj mi, proszę, dwóch burłaków
Z sekty twoich biczowników, bo w całym hufie Polaków
Niema ludzi... a ten klecha
Zna się na bicia dobroci.
Patrz, jak się na to uśmiecha,
Że Moskal mu kość wymłóci...
Hej! bić go tak, aż krwią się spluszcze.

Stają żołnierze przy księdzu.

Ksiądz Marek, pokazując przed sobą palcem na ziemię, do Judyty.
Upadnij tu na kolana, córko, niechaj ci odpuszczę.
Idę do mojego Pana.

Judyta, rzuca się na kolana, szlochając.

Przeklnij! przeklnij!...

Ksiądz Marek.

Ja, Judyto? Oto naród mój zabito!
Oto, patrzaj! tam w oddali
Płomień... Dom się boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem
I niebo kole płomieniem, jak miecz archaniola kręty,
Już na brusie pociągnięty, ostrzem postawiony w górę,
Miecz gotów karać naturę! ludzi, że są przeciw cnocie,
Braci, że rwą serca bliźnie,
Polaków, że przeciw ojczyźnie,
Niewinnych, że są w ciemnocie,
Winnych, że w jasności ślepi.
Oto miecz z płomieni różnych,
Co wkrótce niebo rozszczepi,
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije, i powali i nakryje
Gwałty, płacz, mordy rumiane i to miasto wyrzynane
Jak anioł ognia pochłonie. I podobny jest koronie
Z hyacyncu, z chryzolit, wśród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy boskie trzymaną; aż naród zeguie kolano,
O Bogu pomyśli w burzy i na to ogniste wiano

Męczeństwem ducha zasłuży. I jest jeszcze jako kręta
Burza, co płomieni ręką porwała tam sakramenta,
Krzyże, hostye z pańską męką,
Obrazy prześwitych wzorów, i grobowce fundator w,
I podłogi, które rosi ludu łza, nawet kamienie;
Zawinęła je w płomienie i Panu Bogu odnosi.
Więc i te drzewa żałobne, w Zielone Świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone, listki jak iskierki drobne
W rubin na nitki znizane, jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze; te drzewa, to harfy boże,
Od kościelnego krawędzia idące rzędy długimi,
To Dawidowe narzędzia hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z tryumfalnych pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych duchową ręką tręcane.
Widzę Boga! któż mi oczy zakryje?
Chwały niewypowiedziane widzę! głosy wielkie słyszę!
Boga, co mi ogniem pisze nowy rozkaz, nowe prawo!
Oblewa mnie swoją sławą! ogniami męczeństwa złoci!
Pan Bóg mój pełny dobroci! którego mię rany bołą
A wola jest moją wolą. I ja, przez tych światel krocie
Oświecony, miałbym, córo, nie przebaczać tu ślepotcie?
Lecz we krwi umoczyć pióro? Ja, którego Bóg dziś słucha,
Wydać mam na twego ducha wyrok na wieki tracący?...
Owszem, węgiel gorejący na białych ci ustach kładę;
Zmazuję wszelką szkaradę, wszelkie jady, co je ślinią,
Abyś była prorokinią przyszłą między twoim ludem,
Nawrócenia żywym cudem, jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą, jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą;
Świecącą przymierza tęczą, świecącą, aż pioruny uderzą
I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
Bo wiedz, córko, że wszystkie ci zbrodnie
Odpuszczone są na wieki wieków.

Obraca się do Moskali.

A teraz krzyża i ćwieków,
A co macie czynić, czyńcie prędzej.

Wyprowadzają go strażę.

Judyta.

On przebaczył, bo ja w nędzy,
Bo on wie, co ja cierpiała...
Puście mnie do jenerała, do ruskiego wojownika.
Nu... niech on księdza nie tyka,
Bo straci całe obozy, piorun mu spadnie na ramię.

Rwąc na sobie powrozy

Bo tak... jak ja rwę powrozy,
Tak ja mu wojsko połamię! Spalę lud jak błyskawica!

Moskale.

Czarownica! czarownica!

Judyta.

Nu, ja wolna przed grabieżą,
I przed ogniem i przed katem.
Jeśli tam księdza uderzą jednym tylko, jednym drutem,
Tak wy padli z całym światem!
Ta krew wasza jednym łutem
Nie zaważy przed krwią Judy!...
Nu, tam patrzcie! oto cudy!
Oto w pożarach wychodzi ksiądz męczony.

Branecki.

Co to znaczy? Kto nam tu stracha przywodzi?
To ksiądz!... tysiąc sto kartaczy!...
Widmo po pas obnażone z katowskiej wychodzi chaty.
A za nim wloką się katy, niby dwa słońca czerwone,
Niby dwa czerwone duchy, zgięci jak żebracy na kulach
I biją się po koszulach. A koszule markietanów
Od czarnej smagalnej pluchy, są jak skrzydła u szatanów,
Oczy przenikają zgrozą, powietrze całe czerwienią...

Wchodzi ksiądz Marek.

Ksiądz Marek.

Lub się serca w katach mienia,
Lub Pan oczy zaćmi słozą...

A ciemna to była chata, gdzie mię po pas obnażono.
 Więc zamiast bić w moje łono, to kat się rzucił na kata
 I we krwi się oba pluszczą...
 Rozłączcie ich, bo się nie puszczą, aż skonają.

Kreczetnikow, do katów za sceną.

Precz, sobaki! Wziąć ich, zanieść do szpitala.
 Branecki, cudownik taki harmaty nam pozapala,
 Zrobi bunt w moskiewskiej armii.
 Ach! tam Katarzyna karmi tyle mnichów ruskiej wiary;
 A wszystko chłopcy do miary,
 Poszczą chlebem i jesiotrem, a żaden cudów nie umie.

Branecki.

Poślij jej żydówkę z tym łotrem.

Ksiądz Marek.

Cokolwiek w twoim rozumie ułożysz, to nie pomoże,
 Bo ja tu ciało położę pierwsze dla kraju i wiary.
 I mój kopiec jak sztandary
 Będzie trwał — aż wiek przeminie,
 Aż ludzie z jasnemi skrońmi pokażą się w tej krainie,
 Wchodząc ducha mego bramą.
 Więc nie porwiesz mię stąd końmi!
 Ani nawet śmiercią samą! Mój duch wiecznie tu i ciało
 Przyszłego kościoła skałą.

Kreczetnikow.

Hej, z kibitką kapitana!

Ksiądz Marek.

Patrz, kogo wysyłasz ze mną,
 Bo na drogach pańskich ciemno,
 I często jest krwią zbryzgana
 Ta ciemna i nocna droga
 Krwią szaleńców roztrąconych o Boga.

A K T III.

Plac w Barze. — Wchodzi *Kosakowski*, ubrany jak sługa szpitalów zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze.

Kosakowski.

Zaraza, co tu panuje, gdzie Moskale wiatr popsuli,
Gorsza od miecza i kuli, tysiącami ludzi truje,
Z trupów czarnych urodzona, stojąca jak widmo na wale.
Pełne Moskalów szpitale, każda karczma zarażona,
Każdy człowiek straszny, blady, sine włóczą się gromady
Z krwią i ogniem pod powieką;
Zgniłe prześcieradła wleką,
A głowy w skrwawionych chustach
Wspierają na rękach chudych,
Z węglem i ze krwią na ustach, pełni plam zielono-rudych,
Łonurzy, jak rozbójnicy, jak wilcy na krew gotowi.
Przypatrzyłem się ludowi, co tam, przed Boharodycy
Namiotem klęczy i leży, pałaszami namiot kraje
I Boharodycy łaje, nazywa ją matką żołnierzy,
I pochlebia i klnie na przemiany.
A tak wszystko zaraza rozprzęga,
Że oto w smołę ubrany, rzuciwszy na plecy haki
Jak koń, który się zaprzęga do ciał, włóczę te sobaki;
Wyciągam z miasta za bramy i rzucam nagie do jamy;
A nikt o to nie zapyta, kto ja jestem? skąd przychodzę?
Mógłbym sztyletować wodze, mógłbym zatruć wód koryta,
Mógłbym — wszędzie chodzę wolny —
Wejść aż do jenerałowej w nocy jako upior smolny,
Wziąć lampę, która u głowy
Przy srebrnym obrazie świeci,
W kołysce podpalić dzieci, blaskiem zbudzić matkę śpiącą
I z pochodnią gorejącą jak upior wyniść z sypialni.
Tymczasem błędzę jak pjany
Pośród tej okropnej szczwalni,
Gdzie zaraza swe szatany, psy swoje czarne puściła...
Gdzie dom... spojrzeć, to mogiła,
Gdzie łóżko, tam trup być musi.

Par cięży, powietrze dusi, gwiazdy, jakby przeleknione,
 Chodzą smętne i czerwone; wyją psy na pustych bramach
 I rwą zębami łańcuchy. A w polu, przy trupich jamach
 Jakies płomienie jak duchy stoją, czasem szyję zegną
 I za człowiekiem tak biegną kolory z ognia fałszywe,
 Tak lecą jak trupy żywe, owinięte przez płomienie,
 Jak moje za mną sumienie! Bo to ja, com tu zaszczerpił
 Ruinę, gwałt, mord rumiany. W żądzach niepohamowany,
 Kiedy mię szatan oślepił, leciałem, gryząc wędzidła,
 Własne rzuciwszy sztandary.

I przeze mnie ten ksiądz stary
 Odbieżany szedł na boje, jak ptak bez jednego skrzydła,
 Żebraków zebrawszy roje zbrojne w siekiery i kosy,
 Siwe swe rzuciwszy włosy za sztandar, i męczenników
 Krzyżem oświecając złotym.

Ja zbieg! zdrajca jego szyków!

Gdy siadłem nad trupów rowem, kiedy pomyślałem o tem,
 Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,

Jasny jak światło jarzące, stanął mi w myśli upiorem;
 Gdy do nieba podniósł ręce, i pokazał nad klasztorem
 Ogień, dym, czerwone dachy i w cieniu ruskie bermyce,
 I na tych bermycach blachy, jak złote, wielkie księżyce,
 Ciągające ku pożarowi, ból i strach mię przejął mrowi;
 I przysięgłem furją zdjęty, że choć sam, chociaż wyklęty,
 Zbawię go, albo tu zginę. A tę żydowską dziewczynę
 Będę trzymał w mojej mocy,

Porwę i gdzieś w czarnym jarze

Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

Wchodzi Judyta.

Judyta.

Co zrobisz ze mną, goimie?

Nu, ksiądz mi odpuścił święty. Ja przyjęła Sakramenty
 Z jego rąk i mam na imię Salomea.

Kosakowski.

Więc ksiądz żywy?

Judyta.

Ksiądz, on człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi. Nu, on nie lęka się ludzi...

Kosakowski.

Alc go pletniami zbito?

Judyta.

A kto tego bicia liczył? Jego palmami zakryto
Słonecznemi od niebiosów, a kat się na śmierć zaćwiozył
I szedł krwią kapiący z włosów, w koszuli, cały rumiany,
Przez siebie zakatowany na śmierć... i umarł w szpitalu.
Nu, a potem w tym Moskalu była myśl księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić. Więc okuli jemu nogi,
Ubrali go w chłopskiej świtce, położyli na kibitce,
Koń zaprzęgli do niej srogi i szalony i gorący,
Jak smok dyszłem targający. I siadł na kibitce zwoszczyk
I kapitan w hełmie z blachy a blady był jak nieboszczyk;
I usiedli dwa sztyldwachy. A noc była ciemna, głucha,
Wielki lament i rozpacz; słyhać było, że lud płacze,
Słyhać było, że Bóg słyha; bo stanęła po rejuwach
Jakaś wielka cichość strachu, gdy kibitka się ruszyła
Z naszym ojcem wśród miasteczka.
Bo wieść między żydków była,
Że on, ten ksiądz, jak owieczka dał się okuwać w kajdany.
Że mu krew bluznęła z rany, że był znowu biczowany,
W pysk przez Braneckiego bity, jak trup, dlatego zakryty.
I cały we krwi czerwony; bez sił, dlatego niesiony,
Bez ducha, bo już nie jęczał, a w łańcuchu, bo zabrzęczał,
Gdy go kładli do kibitki. Nu, i potem tylko kitki
Tych Moskali, jak płomienie poleciały na stracenie,
Poszły w ciemność z wielką burzą. Nu, a ludzi było dużo
Na tym placu, wszyscy czarni, przy jednej tylko latarni.
Która była pałająca; bez gwiazd żadnych i miesiąca,
W nocy na strasznej pustoszy, jak na jakim grobowisku.
Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy konie jakie na urwisku,
To co? — głowy się strzaskały! A on został jeden, cały,
A na wozie ludzkie trzewo, trup na prawo, trup na lewo.

Kapitan przy swoim Dońcu,
 Zwoszczyk żyw, lecz jak śmierć biały.
 I wóz jego we krwi cały, a ksiądz, jakby cały w słońcu,
 Na wozie, w męczeńskiej szacie, jak na jakim majestacie
 Jechał spokojny i żywy, bo on człowiek sprawiedliwy
 I święty . . .

Kosakowski.

Słuchaj, Judyto! Zwiedź mię ty z tym karmelitą.

Na stronie.

Ach! Iza jej do pereł grochu
 Podobna . . . zemstę już gasi . . .

Judyta.

Prorok wasz zamknięty w lochu.
 A czy są rycerze wasi blisko? Ja go wam wyzwolę.

Kosakowski.

Ty?

Judyta.

Przy waszym apostole ja córka i stróż.

Kosakowski.

Ty sama?

Judyta.

Nu, ja mu wolności brama. Ja mu róża od Saronu,
 Chociaż bardzo blizka zgonu; ja konwalia mu pachnąca
 I wolnością i weselem . . . Nu, ja stąd odlatująca,
 Jak duch jaki do miesiąca, z całym dawnym Izraelem;
 Aż powrócę — bom duch wielki,
 A u Panny Zbawicielki na niebie oczekiwana.

Kosakowski.

W imię Ojca, Ducha, Pana! co ty gadasz?

Judyta.

Nu, ja sama nie wiem . . . Miasto dziś podpale,
 Ogień włożę pod szpitale; aż chorzy wyjdą z płomieni
 I o księdza będą prosić, i po mieście zarażeni
 Biegać i ogień roznosić, koldry targając ogniste . . .

Kosakowski.

Co ty mówisz! Jezu Chryste! Szpital spalić?

Judyta.

Nu, a oni...

Kosakowski.

Niechaj ciebie Pan Bóg broni od tak haniebnego czynu.

Judyta.

Gdyby z każdego rubinu, co na czepcu moim świeci,
Była iskra, niechaj leci! niechaj się za dachy chwytą!

Zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.

Nu, ja nie Polka, ja mściwa... Ja żydówka! ja Judyta!

Kosakowski.

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!

Piękność twoja nieśmiertelna,

Jakaś straszna i piekielna: ząb perłowy kiedy zgrzyta,
To mi serce w piersiach lata. Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzcona — córko grzmotów! Ja się z tobą żenić gotów.

Judyta.

Nu, a ojciec?

Kosakowski.

Żyd, wisielec... Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec i bosiny po rabinie...

Judyta.

A jak jego duch zobaczy?

Kosakowski.

W jakiej ty żyjesz krainie, że o trupach zawsze gadasz?

Judyta.

Czy ty wojnę wypowiadasz wszystkim duchom Izraela?

Kosakowski.

Czart oczami twemi strzela, ogień leje w serca cieśnie,
Głowę wprawia w obłąkanie.

Dziś widziałem ciebie we śnie,
 Jakby jakie malowanie, że już byłeś na stracenie
 Prowadzona w żar, w płomienie, a z płomieni były róże,
 A ty w różach jak w altanie, uczepiona ręką w górze
 Za krzyż.

Judyta.

Ty śnił prawdę świętą.

Kosakowski.

Judyto, gdyby cię wzięto i śmiercią, ogniem grożono...
 Ty znasz moją klacz czerwona, co przeleci miasto całe
 I wyleci drugą stroną. Tylko klaśnij w ręce białe,
 Tylko padnij mi na łono, tylko chwyć się jak zbawienia,
 A ja z grobu i z płomienia wyrwę ciebie po sto razy!

Judyta.

A czy wyrwiesz z rąk zarazy?

Kosakowski.

Strach mię zdjął.

Judyta.

Nu, ja ze łzami mówię tobie, mój goimie,
 Że przepaść jest między nami...
 Naprzód twój ród, twoje imię,
 Co odrzuca to zameżcie, a potem... moje nieszczęście
 I mój los. Bądź zdrów na wieki! A może przyjdzie daleki
 Jaki czas dla mego ducha, że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
 Modlitwę moją gorącą, za twoje szczęście proszącą.

Wychodzi.

Kosakowski.

We łzach, w oblakaniu stoję...

Wchodzi Bojwił przebrany za chłopą.

Bojwił.

Panie, widać nasze zbroje, wiejące nam od północy
 Z tchem od ukraińskich kwiatów. Nowy huf Konfederatów.

Kosakowski.

Idźmy... przed nadejściem nocy
Może na czas przybędziemy
Poprawić straconej sławy.

Wychodzą.

Namłot. — Wchodzą Kreczetnikow, Branecki i raportowy oficer.

Kreczetnikow.

W pochód wymaszerujemy aż na Wierzchowieckie stawy.
Już tam ja w szlacheckie dworce posłał i dzieci i żonę.
Jej Boh! miasto zarażone. Mści się Bóg za cudotworcę.

Branecki.

Czy jenerał gada seryo?

Kreczetnikow.

Ot wy z waszą fanaberyą, francuszczyzną, nie widzicie,
Że tu wojska mego życie
Pod przekleństwem bunt podnosi...
A ot, za tym cudownikiem pułk jeden żałobnie prosi,
Abym go im jałmużnikiem zrobił... i archimandrytą...
A gdyby jeszcze odkryto, co mi dziś piszą w depeszy;
Boże, pomiluj na niebie, to ot... trup ze mnie i z ciebie.

Branecki.

Cóż za wieści?...

Kreczetnikow.

Człowiek grzeszy ciekawością, mój Polaku.
A mądry, kto sekret chowa.

Branecki.

Co? czy umarła carowa?

Kreczetnikow, wpadając we wściekłość.

Szto ty skazał?... Ty na haku będziesz wisiał za te słowa.
Małczy, Lach! Caryca żywa.

Branecki.

Niech się pan jenerał nie zrywa, bo ja także hetman jestem,
A jestem tu w moim kraju.

Kreczetnikow, w pasyi.

A czemu ty z naszym chrestem? Naszego dworca lokaju!
Szambelanie z epoletką! W jakim ty kraju, szlachetko?
W jakim ty kraju, lachmanie?
Tu ja pan... my gospodarze!
Ot miasteczko wyróżnać każę, dam ci szutkę w nos, hetmanie,
I każę na szubienicy powiesić, porąbać w ćwierci...
I napiszę do carycy, że ty o carycy śmierci
Rozповідаł... precz z komnaty.

Branecki wychodzi.

Hej, niech nabiją harmaty, niech nabiją wszystkie działa
I na tego jenerała i na hułany obróć.
Niech włożą zaraz bagnety!
Niech mi z miasta precz wyrzucą
To błoto... Ot francuszczyzna! Olejki i toalety!
Gdy we krwi cała ojczyzna, wino im kapie na brodę.

Wchodzi adjutant Braneckiego.

Cóż tam od panów Polaków?

Adjutant.

Pan jenerał uprasza o zgodę, o wojennych naszych znaków
Złączenie... a oto w liście obrażony osobiście
O satysfakcyę uprasza.

Kreczetnikow, drąc list.

Szutki... ja nie konfederat, ani młokos do pałasza;
Jeśli pan jenerał nie rad, żem go uderzył po wstędze,
To niech się w żałobnej księdze rozpisze...

Adjutant.

Toż mu odpowiem.

Wychodzi.

Kreczetnikow, do raportowego.

A jak tam z wojskowem zdrowiem?

Raportowy.

Po stu codziennie umiera grynadyer w grynadyera,
Chłop w chłopa... i co dzień gorzej...

Kreczetnikow.

Niech kancelarya położy
W dzisiejszym dziennym rozkazie,
Że kto się podda zarazie i położy na tapczany,
Za pierwszy raz... tysiąc pałek,
Za drugi raz... roztrzelany.

Raportowy.

Słuszaju's... Braknie nam skałek i prochu...

Kreczetnikow.

Ot i to sztuka Puławskiego, co nam bierze
Po drodze wszystkie jaszczyki...
No... jak zadzwoni pobudka, rozdać pomiędzy żołnierze
Kamasze, nowe trzewiki, pompony, kogucie pióra,
I kaszy... niech krzyczą hurra!

Raportowy.

Słuszaju's...

Kreczetnikow.

Precz raportowy!

Raportowy odchodzi.

Wchodzi adjutant Braneckiego.

Adjutant.

Pan mój jako afront nowy uważa, obelgę nową,
Pana jenerała słowo o uderzeniu po wstędze.

Kreczetnikow.

Nu... proś go, proś na herbatę.

Adjutant.

Nie wiem, czyli go dopędzę,
Bo wyjechał z sekundantem...

Kreczetnikow.

Powiedz mu, że na harmatę
Strzela się z paniczem frantem
Karciarzem — jenerał stary.

Adjutant wychodzi.

Oj dobrze, że my te Bary przycisnęli!... Ot depesza,
 Że tam jakiś car w Kazaniu jenerały nasze wiesza,
 I o carycy porwaniu zamyśla w imię Piotrowe.
 Oj dobrze, że my powstaniu polskiemu urwali głowę,
 Nie dopuściwszy odsieczy; bo gdyby... spasij nas, Boże!...

Żegna się.

Od takiej okropnej rzeczy, gdyby im pana we dworze
 A księdza puścić z łańcuszka,
 To ot... i Moskwa matuszka...
 Spasij, Boże! spasij, Boże!

Żegna się.

Ot, gdyby tu wojownika, to czart wziął państwo Ruryka,
 Spasij, Boże! spasij, Boże!

Wchodzi adjutant Kreczetnikowa.

Adjutant.

Panie, pod wieczorną zorzę widać pułk konfederatów.
 Chcieliśmy wystrzelić z wałów, lecz brak i kul i granatów.

Kreczetnikow.

Rzucić kilka pustych strzałów na to obdarte husarstwo;
 A potem te pany Lachy prosić na parlamentarstwo.

Adjutant.

Słuszaju's.

Odchodzi.

Kreczetnikow.

Ot nowe strachy!

Ot nam w mieście pewny cmentarz,
 Najstraszniejszy z mogiłników,
 Gdzie nam ziemia oczy wyje; jeśli to huf Pułaszczyków,
 Jeżeli ten parlamentarz, co tu przyjedzie, nie pije...

Wjeżdża konno Kazimierz Puławski, za nim pieszo Kosakowski,
 zawsze przebrany,

Kazimierz Puławski, zsiadając z konia.

Ty smolny parobku dżumy, potrzyмай mego rumaka,
 A strzeż mi dobrze czapraka, bo tu kradną.

Kreczetnikow, na stronie.

Pełny dumy.

Kazimierz Puławski, wchodzi.

Jenerale... twoja chrobra gromada bez kul strzelała,
Jest to grzeczność jenerała
Zapewne, nie brak w jaszczkach?
Zapewne myślał jenerał, że mi się pułk poobdzierał,
Że mam dosyć dziur w trzewikach
I w czapkach wiatranych świstów;
Za tę grzeczność siatełską i jego artylerzystów
Dziękuję...

Kreczetnikow.

Czy z przyjacielską ręką?...

Kazimierz Puławski.

Przyszliśmy po księdza.

Kreczetnikow.

Nie mogę... Jej Bohu buntowszczyk!

Kazimierz Puławski, zimno.

Pana jenerała zwoszczyk
Z końmi przez nas dziś schwytany.

Kreczetnikow.

Tak i miejcie, moje pany, moje konie, niech popasą.

Kazimierz Puławski.

Wózek z jenerała kasą...

Kreczetnikow.

Tak w złoto umoczcie dłonie,
No... ja złota mam niemało.

Kazimierz Puławski.

Pana jenerała żonie także się nieszczęście stało:
Zabrana z żołdactwa rojem jak nie nabita harmata.

Kreczetnikow, z wielką trwogą.

A rebiata?

Kazimierz Puławski.

Nu rebiata... także u nas i z konwojem
I z panią generałową.

Kreczetnikow, przysiadając i kładąc ręce na kolana.

Nu... tak ja dam na to słowo
Że ty pan Kazimierz Puławski...

Kazimierz Puławski.

Być może...

Kreczetnikow.

Więc proszę... z łaski, nim pogadamy o rzeczy,
Na wypitkę i przykuski, bo choć ja generał ruski
Od Rena pewny odsieczy, uzbrojony przeciw tobie
I w proch i w dobry ryszstunek,
To ja ku twojej osobie taki wielki mam szacunek,
Że chciałbym choć raz z weselem
Z tobą pić jak z przyjacielem.

Kazimierz Puławski.

A ksiądz Marek?

Kreczetnikow.

Nu, niemało ja z tym księdzem miał roboty!
Co jeszcze z niego zostało,
To wam oddam... Jakieś grzmoty! Co to znaczy?

Słychać zgiełk za sceną.

Wbiega adjutant.

Adjutant.

Jenerale, ktoś pozapalał szpitale;
Buntują się starowierce przy blasku ognia czerwonych;
Mówią, żeś ty zarażonych kazał w szpitalu podpalić.
Szpital jak ogniste serce bijące w dymu szatanie
Już pękł i zaczął się walić i pokazał na tapczanie
Wskroś, przez otworzone deski, trup zielony i niebieski
W trwodze oddający ducha. Potem się ta zawierucha
Skier, ognia, dymów gorących i ludzi uciekających
W kołdrach, w pokrwawionych chustkach

Zebrała na czarnych pustkach pogorzałych karmelitów.
Tam twój sierżant jeden, Tytów,
Chciał chorym dawać nauki, ale żołdactwo pijane
Rozerwało go na sztuki, tak że i ciało rumiane
(Straszne markietanek dzieło!)

W oczach mi nagle zniknęło cudownym prawie sposobem;
Niewidzialnym niby grobem ukradzione dłuższej mece,
Przez oszukanie natury. I tylko czerwone ręce,

Straszne, wzniesione do góry

O tym człowieku świadczyły, bo innej nie miał mogiły
Oprócz tych dłoni ohydnych,

Jasných — od požaru widných,

Nad głowami buntowników —

Tych rąk, tych szponów, krwawników.

Ach, i pierwszy tam raz w życiu

Słyszałem w ludzkim zawyciu

Zwierzęce głosy człowieka. Z ludzi się zrobiła rzeka,
Z rzeki morze, krwią rumiane, a jeszcze pohamowane,
(Któżby rzekł?) dziewicy głosem. Jedna, panie, żydowica
Błada, z rozpuszczonym włosiem, jedna, jak códotwornica,
Wiedźma, co w ogniu się pali,

Śród tych rąk, lasu koralu ohydnych, ze łzami w oku
O polskim księdzu proroku krakała jak kruk na dachu;

A co przydawało strachu u zabobonnych Moskali,

To jedno umierające dziecko. Jak w zamku Walhalli
U dziewic na piersiach miesiace,

Tak to dziecko, zawieszone na piersiach jej, już zielone.
Już nie dziecko u kobiety (jak to lud powtarzał głupi),

Ale do czarów użyty jakiś wielki miesiąc trupi,

Ukradziony u gwiazdziarzy. Dość, że za nią poszły pułki.

Za nią starowiec starzy. Aż skry, ogniste jaskółki

Na żydowicę napadły; i od włosów jeść począwszy,

Ciągle przerażoną jadły, aż upadła. Chciałem wtedy,

Pomiędzy ludem stanąwszy,

Choć Szwed, mówić do czeredy; ale ledwie się pokazał.

Krwia mię obłożoną zmazał ów lud, który cudzoziemca

Szweda kładzie obok Niemca i obu równo przeklina.

Została mi więc jedyna obrona w dobytej szpadzie,
 We wzroku i w rejteradzie spokojnej, we lwa odwrocie.
 A wtenczas żołdactwa krocie i różnej broni motłochy
 Napadły na ciemne lochy,
 Gdzie polskiego księdza skryto, i przed białym karmelitą
 We krwi i czarnych kajdanach, popadały na kolanach,
 Sine pokazując strupy, i krzycząc, że zaraza je goni.

Kreczetnikow.

Ot ja teraz poszedł w trupy!
 Ot Puławski! szpada w dłoni i śmierć dla Kreczetnikowa!
 Powiedz tam, niech będzie zdrowa
 Moja żona, moje dziatki. Ot nieszczęścia! ot wypadki!
 Już ja trup, pokojnik boży?

Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi Ksiądz Marek z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie.

Puławski, wstrzymując Kreczetnikowa.

Stój! gdzie lecisz?

Kreczetnikow.

Puść, niech ginę!
 Niech się ziemia pode mną otworzy!

Ksiądz Marek.

Dziatki moje blade, sine, leżące u nóg jak żyto;
 Tam wasz jenerał z dobytą szpadą śmierci szukający;
 A ja tu nędzarz cierpiący, exaltowan w ludzi tłóce
 Pasterz. Bo Pan niebios pragnie,
 Aby tu dwie były moce: jedna, która ciałem nagnie;
 Druga, co duchem podniesie i ukorzy w imię Pana.
 Siła wielka! niesłychana, która przy żywota kresie
 U wielkich duchów się jawi. A tę ludzie wydać muszą.
 Bo kto ją w sercu zostawi,
 Ze łą, z chlebem ludzkim strawi
 I uniesie razem z duszą, niebieskiej pragnąc korony,
 A tu nie pomoże światu, ten zaprawdę potępiony!

Lachman z bożego szkarłatu! Gwiazda upadła z anielstwa,
Gasnąca w błotnej kałuży! Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała, które mu służy, bez serca, co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zaryje i Boga prosi o litość.
A to jeszcze wielka skrytość u ludzi to ducha prawo,
Nie głoszone na ambonach, patryotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte,
A zaszczepione już w łonach jak dzieciąteczko spowite
W duszy, na rubinach śpiące. Bo oto ludzi tysiące
W jednej chwili strach poczuli,
I mnie, żebraka na kuli, do krwi ubiczowanego,
Jeszcze w niezakrzepłej bliźnie,
Jeszcze we łzach po ojczyźnie, jeszcze od męki krwawego,
Jeszcze w śmiertelnej bieliźnie,
Jeszcze w gorączkowych żarach,
Jeszcze w smętku i na marach,
Na rękach swoich wynieśli. Abym jako piastun cieśli,
Siadł na moim majestacie, rozkazał odejść zatracie,
Zarazie czarnej ustąpić. Więc jeżeli będę skąpić
Dziś mojego w kościach ducha,
Jak człowiek, co jęków słucha
I z łez sobie wieniec plecie; jeżeli jeszcze na świecie
Żywot mi się upodoba, i ta mych wrogów żałoba,
I to ich upokorzenie, i to na deskach siedzenie,
Które dał Ojciec niebieski, kładąc mi szpitalne deski
Jak męczennikowi tronem; jeżeli pogardzę zgonem,
Serca litością nie ruszę, i duszy nie dam za dusze,
Z ciała wyzwolić nie zdołam;
Lecz wstanę, Pana zawołam, o zemsty jego kropelkę
Poproszę — gromu, co bije, jak mściwy człowiek użyję,
I przyzwę śmierć jak mścicielkę,
Wszyscy zginiecie straceni.
Bo oto wy przerażeni nad głowami nie widzicie,
Że na pożarnym błękiecie kościotrup śmierci w czerwieni
Tańczy z trzaskiem goleni, kiściami zarazem śnieży,
Wije kłębem nietoperzy, żółtą kością ciągle miga;
I z ust okropnych wyrzyga kartelusz ognio-tęczowy,

Na którym imię Jehowy, zatraciciela narodów,
Wywrotnika twierdz i grodów, pisane ogniście stoi.
Któż tu jest, co się Boga nie boi?
Oprócz trupów... kto nie zadrży przed Panem?
Ja sam jeden okryty łachmanem,
Zakrwawiony, knutem zbity,
Ja sam, który za naród cierpiałem,
Ja sam, który memi jelity pasłem serca i serca kawałem
Nakarmiłem tych, co serca nie mieli.
Ja sam jeden stoję w bieli
I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście
I zawołać Nań o sprawiedliwość.
Oto naród mój jak zwiędłe liście!
Oto zdrady i serc niegodziwość!
Oto pierwsza niewoli godzina,
Co się przez wiek ciągnąć będzie!
Oto harfa płaczu ta miescina! Oto gołe kościoła krawędzie,
Przez które już kozom skakać
I rość trawie na dawnych mogiłach!
Panie Boże, nie pozwól mi płakać!
Ducha mego utrzymaj przy siłach!
Nie bierz mię w niebieską sferę, krzyczącego miserere,
Łamiącego dłoń na głowie.
Kto mię słucha, ojczyźnie niech powie,
Że sztandar zatknąwszy w Barze,
Ległem sam na tym sztandarze,
Broniąc go duchem i ciałem,
A przy śmierci sam jeden zostałem.
Kto tu śmierci jest mojej przytomny,
Niech widzi, jak ręka boża, biorąc jeden duch ogromny,
Podnosi całe stworzenie; nawet trupy ściąga z łoża,
I przez trumien odemknienie pomiędzy ludzkimi duchy
O zrzucającym łańcuchy zaświadcza pośród śmiertelnych.
Któż żyw, niech słucha weselnych
Harf, co grają różnym tonem;
Kto duch, niech duchowi memu, jak księżycowi złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem. Bo ja ojczyzny być muszę

Duchem, stróżem i patronem; i wyżej porywać dusze,
A żadnej ziemią nie skalać; ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny. A teraz zdjąć z tej miejsciny,
Gdzie włada dzuma i trwoga, zarazę, jak sztandar siny,
I z chorągwią tą odejść do Boga,
Do którego mię boleść porywa.

Kazimierz Puławski.

Ojczy Marku!

Kreczetnikow.

Podnosi ramiona.

Kazimierz Puławski.

Pochodni blaskiem opływa,
Bładnie, oczy mu gasną, już kona.
Za trupami dostąpić nie można, wokoło ciżba nabożna
Rozrywa jego habity, całuje wychudłe ręce.
Jaki zgiełk! światła jarzące i zarażonych błękity,
Twarze zielonawej cery, spisy, płaszcze i giwery.
I łoża, co jeszcze płoną, jakby w obchód święto-jański,
Prawdziwy kurhan słowiański, który po śmierci wzniesiono
Nad pierwszym z naszych rycerzy.

Kreczetnikow.

Bić z harmat, niechaj tu leży, niechaj się go lud dotyka
I położy na sztandary. A ja sam poniosę mary,
I polskiego wojownika o pomoc proszę w posłudze.

Kazimierz Puławski.

Jenerale, ręce cudze dotknęły się tego ciała,
I to ciało już nie nasze; ale jego duch i chwała,
Przelana w polskie pałasze i serca, świadectwo wyda.
A jak tu się teraz wznosi zmartwychwstańców piramida
I to ciało łzami rosi, o życiu świadcząc płakaniem;
Tak my... (głosy moje wieszczę!)
Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
Wszelki duch i ten, co jeszcze
Nie pomyślał o hańbie narodu.
Teraz idę z tego grodu, a serce mam tak ruszone,

Że ci oddam dzieci, żonę, i po tym buncie wojskowym
Na dwa dni wytchnąć pozwolę.

Do jednego z Moskali.

Gdzie jest ów parobek w smole, strażnik mojego rumaka?

Moskal.

Na koniu gdzieś purpurowym widzieliśmy tego ptaka,
Jak kruk odlatywał gdzieś z łupem,
A nie wiemy czy z chorągwią, czy z trupem,
Bo to, co za nim leciało, było jak ogień i ciało.

Kazimierz Puławski.

Ten lud, widzę, cały chory, wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory. A ja wszędy w tej krainie
Widzę jedną wielką bliznę,
Jedną moją cierpiącą ojczyznę!

SEN SREBRNY SALOMEI.

ROMANS DRAMATYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

A K T I.

Komnata w regimentarskim dworze. — Pan regimentarz *Stempowski* i pan *Leon*, syn regimentarza, przy stoliku z papierami. — *Semenko*, kozak dworski, siedzi przy progu na ławce, otulony burką.

Regimentarz.

Mój Leonie, już po Ave Maryi,
Siadaj waćpan do tych ekspedycyi.
Cóż tam piszą z króla kancelaryi?

Leon.

Rozkazują, byś rozesłał wici po Podolu jako regimentarz.
I z Grzyłowem się łączył Moskałem przeciw chłopstwu,

Regimentarz.

Odpiszę im z żalem,
Żem nie Moskał; pierwej pójde na cmentarz,
Niżbym moją moc regimentarską
Miał połączyć z kozacką i carską,
Z którą król mię żąda zaprzyjaźnić,
Chcąc, jak widzisz, mocanie, mnie zbłaźnić
Za to, żem był królowi posłuszny. Cóż tam dalej?

Leon.

Raport Gruszczyńskiego.

Regimentarz.

Czytaj wacan, bo to człowiek jest słuszny
I był dawniej moim szkolnym kolegą.
A dziś w mojej chorągwi mi służy.
Człowiek silnej ręki, człowiek duży!
Takich niema już dzisiaj na ziemi!

A są, to ich karty i kieliszek,
Już nie szabla z ogniami złotymi,
Nie koń bawi, harcujący przed szykiem.
Jak mi drogi ten święty Franciszek

Całuje sygnet.

Na pierścieniu dziadowskim z krwawnikiem,
Tak mi drogie serduszko w tym starcu;
Biały starzec — biały — jak kot w marcu,
A tak jeszcze ognisty!... Cóż pisze?

Leon, czytając list.

„Ja i moi towarzysze, stanawszy u Czarne go kurhana,
Stopy jasnie wielmożnego pana
Całujemy. Wszystko dobrze nam idzie.

A na wielkiej piramidzie nie spisać słowo po słowie,
Co jeszcze zamiarów w głowie i projektów i zasadzek.
Naszliśmy na kilka schadzek w lesie hajdamackiej czerni,
I tak się moi pancerni popisali jak zazwyczaj.

W jednej, sotnik pewien, Nyczaj,

Zarąbany; w drugiej sprawie,

Gdzie nam rzecz poszła na rękę, przydybaliśmy Tymenkę
I tak uszedł nam ciekawie, że jeszcześmy w zadziwieniu,

Na Salamandry w płomieniu, na Pliniuszowe bajeczki

Myśl i *mentes* obracamy. Widziałem go sam przy kordzie,

W żupanku ze złotej lamy, w kontuszu, ze krwią po mordzie

Kapającą jak berberys; lecz bestya w żar się rzuciła

Tanquam drago. De caeteris nie piszę. Chłopstwo jest czarne,

Krwawe, wściekłe i niekarne, wódką i miodem zalane,

I rzez popy oszukiwane, karmione w cerkwiach proskurą

Ś. ód krwi, mordów, których pióro dotknąć się boi w pisaniu.

Powiem też, że dzisiaj rano, będąc sam na harcowaniu,

Razem z jutrzeńką różaną, z ogniem płonącej aury

Do sławnego Wernyhory

Dotarłem. — Lecz żał się, Boże! —

Stary w samotnym futorze, nad którym dęby kołyszą

Swoje złote Sybillińskie listeczki, nie wart tej famy,

Którą pieśni ukraińskie rozniosły, i z czem się słyszą

W kraju — i futor augura do Trofoniuszowej jamy
Nie umył się — choć i to dziura
W pobliżu dawnych kurhanów,
Pełna starych lir i dzbanów, mogłaby wiatrem przeszyta
Wydawać sybilne jęki. Widziałem miecz Doroszenki
I złote końskie kopyta; sędzę, że są tylko z miedzi
W ogniu dobrze pozłocone.
Sam zaś starzec... w jamie siedzi
Sdokojnie i rzeczy śnione, pełne szumu i zamętu,
Rozповіда bez talentu mieszanym chłopskim językiem.
Żeby zaś był czarownikiem, nie wierzę... gdy na pytanie
De propriis, Wielmożny Panie, plótł mi, zwyczajnie gaduła,
Że mi żonka moja spruła kaftanik dawno zaczęty...
Że co do mnie, będę wzięty
Przez dwie chorągiewki w stepie,
Jak szczygieł i gil na lepie w przerażeniu odrętwiały,
Że prócz głowy, będę cały
W grobie. — Na te przepowiednie
Spoglądam jako na brednie, nic z nich nie rokując złego,
A do krzyża się krwawego w każdej niedoli uciekam.
Teraz na rozkazy czekam dalsze i jestem ostrożny.
A gdy pan jaśnie wielmożny rozkażesz, to krew się zbudzi,
I będę ryzykował ludzi i siebie...“

Regimentarz.

Pocciwy szłaga!

Leon, czytając list.

„Kończąc list w zwykłym afekcie,
Który mi się z wiekiem wzmaga,
Jaśnie wielmożnego pana sługa ściskam za kolana
I córce, co na respekcie w jego domu kornie służy,
Z tej krwawej mojej podróży posyłam błogosławieństwo,
Zupełnie o jej panieństwo i dalsze losy spokojny.“

Regimentarz.

Poślę mu huf jeden zbrojny. A ty, Iwie napisz, niech czeka
I niech unika rozprawy, aż przybędzie z niedaleka

Chorągiew kozaka Sawy, to pójdziemy na pewnika.
Teraz niech boju unika, w lasach lega nie na stepie,
Ani na wietrznym wertepie harcuje... Dodaj dwa słowa:
Że Salusia jego zdrowa, że my go wszyscy kochamy,
Z tej 'Trofoniuszowej jamy złego nie rokując sobie,
Wszakże onemu ciekawi... A jeśliby już był w grobie,
Proś go, niech głowę wystawi i nie straci polskiej duszy,
A ja go wyciągnę za uszy. Cha! cha! bajkarz Wernyhora
Staremu napłótl powiastek!... Pójdę do naszych niewiastek
Powiedzieć o tej potyczce z duchami... A ty... czy wczora
Oświadczyłeś się księżniczce?

Leon.

Nie śmiałem, ojcze kochany!

Regimentarz.

Głupiś! więc ja cię wyręczone.

Leon.

Ojcze!

Regimentarz.

Aniś do kieliszka, ani do... serce zajęcze!
Na sygnet świętego Franciszka przysięgam! że cię zaręczone
Dziś jeszcze tym oto krwawnikiem.

Całuje pierścień i wychodzi.

Leon.

Semenko, siadź za stolikiem i do Gruszczyńskiego napisz
Ekspedycję.

Wychodzi.

Semenko.

Dobrze, panie!

Zrzuca burkę i siadając przy stoliku pisze.

Złotyj Lach... Ot czart i papież na moje edukowanie
Musieli łożyć pieniądze. Oj, staremu ja szlachciurze
Taką wannę przyporządczę, takim pismem się przysłużę,
Taki bodiak mu przyczepię, że, oj wspomni on w purpurze,
Toj dziad, cały w krwawych ranach,

Jak mię kiedyś bił na stepie,
Szukając skarbów w kurhanach.
Stary dziad! żalosny sknera!

Bywało, chłopcy odziera i plecy nahajem porze
A złoto w szkatule dusi... Każdy dzień, mówi, wyorze
Pereleczkę dla Salusi i turkusik da błękitny,
Albo pasek aksamitny; aż, powiada moja córka,
Cała w perłach i brylantach, będzie grzebała jak kurka
W księżciach i grafach amantach. Ot i wybrała szczyglica,
Nim szesnastu latek doszła, gacha, przy blasku księżyca,
Z którym sobie za mąż poszła bez barwinku i bez księdza...
Tam stary w stepach się pędza za wiatrem i rzezunami,
A tu młokos dziecko plami na respekcie w ojca domu.
A ja... a ja... a ja ginę z miłości!

Nalewa szklanekę romu i pije.

Hej! szklanekę romu! Ot za tę jedną dziewczynę,
Gdyby słowo mile rzekła, skoczywby jak czart do piekła,
Wyrezałby dwór i pany. Był ja niegdyś wychowany
Na hetmana, nie na chłopca;
Choć syn Gruszczyńskiego popa,
To bywało na kurhanie, kiedy koń nade mną stanie
A miesiąc w oczy uderzy, to ja sobie śnił z rycerzy
Wielkie hufce, błyskawice, rusałeczki i księżyce;
Hej, i zamek na Ostrowie i hetmański miecz w alkowie;
A ja, wtenczas pan mieczowy, wyśnił sobie snem Widuna,
Od miecza jak od pioruna wyzłocone dno alkowy;
I w tej wielkiej ognistości, w tym oblasku i rubinie,
Śnił ja siebie przy dziewczynie pełnej wiary i miłości;
A to była jakaś nowa, blaskiem miecza koralowa,
Jakaś wielka hetmanowa, jakieś serce bohaterne,
Zapalone, na śmierć wierne, na atłasach, na kobiercu
Bijące mi tuż przy sercu. A dziś, co ja? Kozak dworny,
Rzeski, śmiały i przezorny, i do korda i do czaszy,
Lecz niedługo sługa laszy! Hej! kozaczek was nastraszy,
Pany Lachy! taj w godzinę ruszy całą Ukrainę
I z królem ją rozgraniczy.

Wbiega panna Salomea Gruszczyńska.

Salomea.

Semenko!

Semenko.

Od jej słodczy serce mi pęka... Szczo panna?...

*Salomea.*Troska jakaś nieustanna dręczy mię. Ciągłe sny miewam,
Chociaż przed każdym uśnięciem

Głośno Anioł Pański śpiewam.

Ciągłe sny, których pojęciem

Wytlómaczyć i pojąć nie mogę...

Ojciec mię także niebogę przestraszył tym Wernyhorą
I sen znowu spędził z powiek.

Powiedz mi, co to za człowiek?

Czy go znasz? skąd mu się biorą te wróżby?

Semenko.

Z ducha, panienko.

Salomea.

Kiedy ja byłam maleńką, to o nim słyszałam wiele...

Powiedz mi, czy on bywa w kościele?

Czy się modli do Najświętszej Panny?

Semenko.

Czart wie...

Salomea.

Czart wie? ach! jaki ty blady!

Lękam się go... czy ty chory, czy ranny? Ach!

Semenko nagle gasi świecę, Salomea złęknioma ucieka.

Semenko.

Ptaszyne maleńką ja spłoszył...

Taj nie da z tą Laszką rady

Człowiek, póki się krwią nie spanoszył.

Siada znów na ławie i udaje drzemiącego. Wchodzą regimentarz
i księżniczka, będąca u niego na oplece.*Regimentarz.*

Dosyć tu srebrnych blasków od księżyca,

Moja księżniczko, bo na to, co powiem,

Płoni się każda dostojna dziewczica;
Mój syn przepłaci tej miłości zdrowiem,
Jeżeli serca dla niego nie ruszysz;
Chłopca mi, moja piękna panno, suszysz.

Księżniczka.

Syn mię acana nazywa księżycem,
A księżyc ani suszy, ani grzeje.

Regimentarz.

Więc mi chłopczyna biedny oszaleje,
Ciągłe pod twojem rozwidnionem licem,
Na białe, srebrne strzały wystawiony.

Księżniczka.

Lecz mówi, żem ja księżyc jest czerwony.

Regimentarz.

Być może, moja dowcipna dziewczynko!
Czerwony, bo ty jesteś Ukrainką,
A ukraińskie miesiące w czerwieni,
Zresztą... nie mogę w dowcip iść zapaśnie...
Jak się syn z białym miesiącem ożeni...

Księżniczka, przerywając.

Będzie zaćmienie wielkie... miesiąc zgaśnie.

Regimentarz.

Dobrze!... po ciemku kochać się będziecie.
Weź ten pierścionek...

Księżniczka.

Zarzucę go w śmiecie.

Regimentarz.

Nie rób, acanna, sobie z tego śmieszek,
Bo to jest krwawnik mój święty Franciszek,
Sygnet cudowny, przez dziada mi dany,
A tak przez usta już wycalowany,
Że świętych rysów na nim ani śladu.

Usteczek twoich pierścionek, uwity
Z róż i perelek, będzie tak zużyty.

Księżniczka.

Więc go drugiemu oddam.

Regimentarz.

Daj cię gadu!

Jakaś dowcipna!... Tego nie chcę wcale.
Powiedz mi, kiedyż wam hymen zapalę?
I wniosę pierwszy za zdrowie kieliszek?

Księżniczka.

Jak się pokaże ten święty Franciszek,
Zejdzie z pierścionka i ślub da w kościele.

Regimentarz.

Czasu ci nie dam, dziewczyno, tak wiele,
Jutro mi staniesz przed wielkim ołtarzem,
Nie darmo jestem tu regimentarzem;
Zregimentuję was do posłuszeństwa...
Dziwno, że wszystkie waćpanny błazeństwa
Tak mi są miłe, jakby głos słowika.

Księżniczka.

Więc jako wdowiec oświadcz mi się z ręką,
A ja ci wrócę twojego krwawnika.

Regimentarz.

Co za szalona i głupia dziewczyna!
Jak to? więc wolisz mnie niż mego syna?

Księżniczka.

Nie wiem, co wolę, namyśleć się muszę.
Skowronków pełną wiosennych mam duszę,
Kapryśną jestem i trudną dziewczicą.

Regimentarz.

Więc się namyślaj, moja kapryśnico,
Ale nad suknią, nie zaś nad małżonkiem.

Wychodzi.

Księżniczka.

Otóż zostałam z szlacheckim pierścionkiem
 I sprawdzają się widzenia i świat jest z duchami zgodny,
 Bo krwawość tego pierścienia
 Świadczy o tem, że to pierścień rozwodny.
 Bo ta kropla, z Dejaniry koszuli na mnie skapana,
 Dawno mi przez srebrne liry była już zapowiedziana.
 Widzę na palcu człowieka ten pierścień; w ciało się wjada,
 I do kości dłoń wypieka i z węglem, z ręką upada.
 Ach! i widzę, ach! i słyszę jeszcze głos lirnego dziada,
 Co jak dumka na sen mię kołysze. Ach! i wioszczaną ulicą
 Leci rycerz — tak że chaty, miecza jego błyskawicą
 Oświecone, świecą w sadach jak złoto, różane kwiaty...
 Ach! i śpieszy po lewadach dziad do wesela potrzebny,
 Podarunek niosąc srebrny, a za nim co?... družka trupia...
 O! Boże, jaka ja głupia, że o snach marzę ogniecie,
 Jak gdybym z duchami żyła; gdym na świecier rzeczywiście
 Takie głupstwo popełniła, że choćby się teraz dręczyć
 I być braną przez miłość lub trwogę,
 To już ani się zaręczyć, ani żoną być nie mogę.

Spostrzegając Semenkę.

Jezu! kozak się rozczuhał, zginionam... jeśli podsłuchał,
 Jeśli mi stanie za świadka, że gdy słońce zejdzie z czoła,
 To ja nie zawsze wesola, ale czasem jestem smętna wa-
 Semenka. [ryatka.

Semenko, udając, że się budzi.

Czego potrzeba księżniczce.

Księżniczka.

Świętojańskiego robaczka w różyczce,
 Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,
 Fenixa, myszki białej, krokodyla,
 Sługi i pana, smutku i zabawy...
 Czy ty służyłeś pod chorągwią Sawy?

Semenko.

Nie, ale znam go.

Księżniczka.

Jakże on wygląda?

Czy na barana, czyli na wielbłąda?

Czy na kozaka, czyli na szlachcica?

Czy jest jak chmura? czy jak błyskawica?

Czy z oczu jemu patrzy chłop czy książę?

Semenko.

To patrzy, co mnie...

Księżniczka.

Ach! to być nie może,

Bo tobie z oczu popowicz wyziera.

Semenko, na stronie.

Ach! ty proklata!

Księżniczka.

Przebacz mi, ja szczeram...

Z tobą się o ten pierścionek założę,

Że ty syn popa.

Semenko.

A jak syn czarta?

Księżniczka.

Jezu! ten człowiek gotów mnie zadławić.

Ucieka.

Semenko.

Budesz ty sto hroszy warta, jak pozwolę się pobawić

Moim chłopom po zamczysku... jak z kosami potańcujem

Po nocy, na cmentarzysku, taj w sobie czarta poczujem...

Wychodzi.

Z M I A N A I.

Las dębowy, oświecony księżycem, między drzewami palą się ognie,
Żołnierze polscy gotują strawę... albo czyszczą konie. Wchodzą
na scenę *stary Gruszczyński* i pewien wojak *Pafnucy*.

Gruszczyński, do obozujących.

Na tej się leśnej lewadzcie rozłożmy, mości panowie,
Miesiąc do snu ludzi kładzie... trzeba dbać o koni zdrowie

I od rosy strzedz pałaszy; zgotujcie jaglanej kaszy,
Zaśpiewajcie hymn powstański! a śpiewem na Anioł Pański
Zakończyć tę wieczernicę... i sza! noc przepędzić cicho,
Bo po lasach nie śpi lichy, i można bez ostrożności
Zobaczyć swój łeb na tyce...

Bo to wojna bez litości, z orłami biją się krucy.

Wchodzi na scenę.

Mości wojaku Pafnucy, siądźmy tu na osobności,
Muszę pomówić z waćpanem.

Siadają.

Pafnucy.

Słucham, stary mój kolego.

Gruszczyński.

Więc bez exordu żadnego, jak gdybyś był kapelanem,
(Co być bardzo może... bo się Dominus vobiscum niby
Przebija w acana głosie) powiem ci, że jakieś grzyby
Smutku na sercu mi rosną. Oto, panie, z przeszłą wiosną,
Gdy były trąby wojackie, na hasło konfederackie
Nie poszedłem... Tak to bywa,
Że starość radzi leniwa a potem żal człowiekowi.
Bar upadł! Bar upadł, mocanie!
Zaufali Chrystusowi a upadli!...

Pafnucy.

Na kolanie pokutuj waść za te słowa.

Gruszczyński.

Świątynia to purpurowa pokuty — pierś moja stara,
W której się serce rozpara
Na wszystkich szwach, krwią lejące:
Bo serce było gorące, jak zwyczajnie w starym Lachu,
Ufne... a teraz w przestrachu do chmur wygląda nieśmiało,
Pod bicz ofiaruje ciało a jednak ptaszyna licha,
W piersi mojej ledwo żywa, o odwrócenie kielicha
Modli się. Bo kto używa żywota, obok potoku,
Którym sprawy boże płyną, kto chce spokojny z rodziną
Swoją kość gdzieś gryźć na boku,

Wiejskich kosztować słodocy, choć się nie policzą ludzie,
To się Bóg z takim policzy... A już wspomniałem podobno
Aści o posepnym cudzie, który mi rodzinę drobną
Nastraszył... Rzec niesłychana!

Pafnucy.

Chrystus do domku waćpana zapukał?...

Gruszczyński.

Trzy razy! trzy razy!

Pafnucy.

Mocanie, to są rozkazy, którym oprzeć się nie można.

Gruszczyński.

Toż widzisz mię waść na koniu,
Choć rodzina o mnie trwożna,
Żona w ciąży — na ustroniu dom obok czarnego lasu.
A kiedym siadał na bryczkę a dzieci aż pod kapliczkę
Biegły za mną, to się z pasu irysowego widomie
Odkryła jasność na domie, na którą dziatki łakomie
Patrzyły, aż zdjęte strachem
Krzyknęły, że widzą nad dachem jakąś nową tajemnicę,
Jakaś gorejącą świecę, co je bardzo niespokoi,
Bo nad samym domem stoi, jak krwawe serce z płomyków.
Na co ja patrzeć, zmaluchłali z dziatkami razem struchłali,
Bo nad domem nieboszczyków
I nad chatą ludzi chorą często takie światła gorą.

Pafnucy.

Pan Bóg litośniejszy bywa.

Gruszczyński.

Toć ja ufam, i leniwa dusza się krzepi nadzieją.
Wszakże gdybym tu ja zgwał, a duchy świecy nie zwieją
Z dworku, gdzie mi wiek przeminał
Tak słodko przy mej rodzinie,
Gdziem ja miał ojcowskie graty
Jeszcze wzięte na Turczynie, a pod dąb mój rosochaty
Wodził gości... i pił kawę

W dawnych, starych roztruchanach,
Pacierz mówił na kolanach, córkom gotował wyprawę;
Jeśli to wszystko pójsć musi z wiatrem... pomnij o Salusi,
Bądź dla niej jak ojciec szczerzy
I groźny jak ojciec drugi. Bo to skrzydlate chimery
Gotowe złotymi cugi przybyć po nią z pieśnią słodką,
I dzieciątko moje ciche, jakby jaką drugą Psychę,
Zrobić małą szczebiotką, którą za skrzydełka złote
Strzepotane Kupid chwyci. A potem gdy się nasyci,
To wypędzi na ciemnotę, rzuci gdzie jak dzban rozbity.
Pamiętaj! to dziecko krwiste, oczęta ma przezroczyście,
Zielone, jak selenity; a zdają się na zuchwałość
Podwodzić szatańskie wzroki...
A taka płci wielka białość! a takie gorsu uroki!
Że się boję o nią — boję! bardzo boję!

Pafnucy.

Bądź spokojny.

Gruszczyński.

Powiedz, że ja przy niej stoję
Zawsze... choćbym pozbył ciała;
To w anielską palmę zbrojny stanę... i będzie słyszała,
Jeśli się złego dopuści, mój głos z piekielnej czeluści
Wołający.

Pofnucy.

Nie wróż smutnie.

Gruszczyński.

Bo to widzisz, po tych dworach
Są Włochy dzwoniące w lutnie,
Ubrane w różnych kolorach, niby dyabli w opalowych
Zbrojach... a wewnątrz zepsuci;
Ci dziewczątek świeżych, zdrowych
Szukają... żądłem je wabią,
Aż ptaszeczek im w gardło się rzuci.
A są jeszcze sztuką babią zajęte stare matrony,

Co porzuciły robrony i kornety... a te dziecku,
Już ubrane po niemiecku, straszne czasem dają rady.
Gdy je widzę w strusich kitach,
Chodzące prawdziwe gady, tobym się na tych kobietach,
Pastwił! szelmyniegodziwe! prawdziwie są dyablą milicyą.

Wchodzi kozak regimentarski.

Skąd ty, kozak?

Kozak.

Z ekspedycyą od dworu.

Gruszczyński.

Czemu twe ślipie takie jasne? takie krzywe?
Czy się spił na jakiej stypie?

Kozak.

Witrom spity.

Odchodzi. Gruszczyński obraca się ku ogniewi i list czyta.

Pafnucy.

Co się zdarza waćpanu? bledniesz, czytając.

Gruszczyński.

Pieczęć jest regimentarza, lecz list?... Czy on urągając
Pisał? czy był śmierci blisko? Hej, rozpalić tam ognisko!
Niech lepiej te charaktery wyczytam...

Pafnucy.

Nie zmieniaj cery.

Gruszczyński.

Mocanie! pies pod podwórzem nie raz lepiej traktowany!
Patrzej, nazywa mię tchórzem! Na czyste Chrystusa rany,
Którym ja się krwią zadłużył,
Klnę się... powiada, żem stchórzyl,
Żem zleniwił, że... sto beczek
Krwi mojej na ludzi tych głowie!
Piszą, żem z chłopami w znowie,
Że... Będę mały człowieczek nie człowiek, jeśli przebaczę!

Pafnucy.

Daj aś — niech ja list zobaczę.

Bierze list.

To ręka i styl jest sługi.

Gruszczyński.

Na pieczęć patrz! krwawe strugi
Acherontu z ognia i krwi! Na te słowa marszczę brwi
I trzęsę światem... Ja tchórz! Otóż to tak, ludziom służ,
Nocój w lesie pod namiotem, to cię obrzucają błotem!
Otóż to tak z ludźmi tymi nowego serca i wiary!
Kazali ciągnąć w te jary, ciemny komin, loch na ziemi;
Gdzie wiem, że pewna zasadzka
I cała czerń hajdamacka zasadzona.

Pafnucy.

Więc im szczerze odpisz... ja z listem pojadę.

Gruszczyński.

Ja mazałbym po papierze? Ja!... oskarżony o zdradę
Nie krwią, życia fundamentem
Brouił się?... lecz atramentem i piórem z gęsi ogona?
Nie, mocanie! krew czerwona!
Ten mózg pod chłopów obuszkciem!
Mózg i krew ta na ich głowy. A potem duch purpurowy
Z rozdartą piersią nad łóżkiem!
I niech im Pan Bóg da zdrowie.
Ja tchórz... Na koń! do szabel, panowie.

Wybiega i widać go ruszającego obóz.

Pafnucy sam.

O! wielki Boże! sprawdzać się zaczyna
Domowi temu wróżona ruina,
I Chrystusowe do drzwi zapukanie
Karcące, późne krwi ofiarowanie,
Spełni się jako straszliwa nauka
Dla czekających, aż Pan Bóg zapuka.
Leniwy starzec był teraz ognisty.

Więc choć to pewno zmyśłone są listy,
 Teraz go w małej mogile położą
 Za to, że wzgardził wielką sprawą bożą.
 Lecz sądy boże są nieprzewidziane!
 Cokolwiek będzie, piersią przy nim stanę.

Wychodzi.

ZMIANA II.

Noc, ogród nad stawem, księżyc świeci. Wchodzi Leon w głębokiem
 dumaniu.

Leon.

To już ostatnia będzie schadzka nasza,
 Ostatni raz czekam na nią. Człowiek skarb serca rozprasza.
 Każda chce mu zostać panią
 Wieczną... a tego nie zgadnie, że gdy raz łatwo upadnie,
 To później chyba pod kłódkę człowiek zamknie taką żonę.
 Na to dzieciątko stracone, jak na małą niezabudkę
 Księżniczka patrzy z wysoka i ze mnie nie spuszcza oka.
 A kiedy uczyni wzmiankę, to mię tak śmiechem uderza,
 Jak gdybym kochał sielankę i sam wyszedł na pasterzą.
 Sali prosta jest i wierna. Ale w najprościejszej leży
 Taka obluda misterna, tyle głębokiej odzieży,
 Taki kałkuł na dnie duszy, taki instynkt oszukaństwa,
 Taka chciwość blasku, państwa, taka głęboka nauka
 Zadawania ci katuszy, że wierność ich jest to sztuka,
 W którą czart oczy pochował. One wiedzą, że to ołów,
 Coby samych archaniołów,
 Wisząc u skrzydeł, zamordował...
 One z tem na świat przychodzą,
 Wiernością nudzą, lub zwodzą, obdzierają nas z odwagi,
 Liczą na litość! — od matek nauczzone, że ten statek
 I lży, to są ich posagi.
 Nim się ze światem obezna, każda wie, że woń w narcyzach
 Jest drogą, że mąż ją zezna i zapisze w intercyzach,
 Ewikeyonując wyprawę. Naprzód je widzisz ciekawe
 Twego serca, słów niebaczyńch;

A do przyrzeczeń dwuznacznych
Podchwytywania umiętne; potem widzisz nagle smętne,
Ze łzą, co się w oczach kręci. A pewne dziwnej pamięci,
Książki, gdzie w papier różany
Sam przez siebie jest wpisany
Wszystkimi giesty i słowy; wkuty jak w kamień grobowy
W ich pamięć już nie gorący, ale przez ten papier ssący
Z ognia, z kolorów wypity; kwiat zwiędły w sercu kobiety.
I ty, co z gwiazdy pochodzisz, one dowiodą, żeś marny,
Głupi, żeś jak szatan czarny, że dla nich tylko się rodzisz.

Wchodzi Salomea.

Salomea.

Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

Leon.

Tak jak zawsze — ogień w głowie!

Salomea.

Ty wczoraj już byłeś dziki, już na miłość niepamiętny,
Bardzo dla mnie obojętny.

Leon.

Wczoraj to były ogniki, dziś ogień... dziś gorszy jeszcze.

Salomea.

Daj rękę — ja cię popieszczę, zamówię i uspokoję.

Leon.

Nie, nie, słodkie dziecko moje, ot byś lepiej szła nabożna...
Dostudyablów! taknie można żyć dłużej! czy my cyganie?

Salomea.

Powiedz, cóż się ze mną stanie?
Cóż ja nieszczęsna uczynię?

Leon.

Co?... miłość twoja przeminie. Dasz sobie na świecie radę,
Pójdiesz za męża, ja przyjadę, jeśli na wojnie nie zginę,
Przyjadę kiedyś w gościnę; a ty wtenczas, moja miła,
Przyjmiesz mnie, będziesz za siostrę.

Salomea.

Słowa twoje bardzo ostre... Jam się dziś szczerze modliła
Za ciebie.

Leon, na stronie.

Baran do rżnięcia!

Salomea.

Ty nie masz ani pojęcia, co to jest modlić się za tych,
Co nas gubią?

Leon.

Rozkosz czysta! Rozkosz aniołów skrzydlatych.
Dla drugich zaś krzyż i ognista
Męka, jeśli są modlitw niewarci...
Gdyby to wiedzieli czarci, mówiliby zawsze różańce.

Salomea.

Ach! piekielni obłąkańce więcejby litości mieli.

Leon.

My nie jesteśmy anieli, ani ja... ani ty... mała!

Salomea.

Jeśli ja tej gwiazdzie widna, to pewnie się rozplakała,
Widząc mnie... jaka ja biedna!

Leon.

Doskonała! doskonała! gwiazd wzywa! z kwiatami gada!

Salomea.

Wiesz ty, dlaczego ja blada?... Ja chora.

Leon.

Cóż ci dolega?

Salomea.

Nic...

Leon.

Spuściłaś na dół oczy? i łza ci po rzęsach zbiega?

Salomea.

Ach! niechaj się ta łza stoczy... niechaj obmyje sumienie...
O Panie! choć oburzenie czuję dla twojej srogości,
Jeszcze o trochę litości proszę, a to ei wynurzę,
O czem dotąd same róże i gwiazdy tylko wiedziały.
Otóż słuchaj... Na kawały serce się biedne rozpęka,
A jeżeli moja męka ciebie nie skruszy? to będzie
Cud... alboś ty jest narzędzie,
Którym Pan Bóg mnie ukarze...

Dwa temu tygodnie... śnię ja, że matka moja mi każe,
Abym ja u dobrodzieja Gruszczyńiec, twojego taty,
Prosiła dla niej o konie, bo ją człek jakiś brodaty
Ściga, straszy, chwyta w dłonie
I... (rzekła to najwyraźniej,
Jakby przestrachem wzdrygnięta...)
Jeśli się Salusia zbłąźni

A prośby tej nie spamięta, to będę z dziećmi zarżnięta...
To rzekła i we mgłę wsiękła. A ja zbudzona, przelekła
Myślałam, czy prosić czy nie;

A naprzód wstyd był dziewczynie
Mówić o snach i o marze, a potem: — (jak ja się ważę
Stać tu na takiej spowiedzi?)... myślę, jak tu nas odwiedzi
Matka — a spojrz mi w oczy, to mi rumieniec wyskoczy;
A ona słowo po słowie wypowiada, drżąc trwogą,
I zapewne nic nie powie, ale na mnie spojrz srogo,
Wzrok jak nóż w sercu obróci; zada mi boleści krocie;
Zacznie coś gadać o cnocie, z gorsu mi różę wyrzuci,
Każe włosy pleść inaczej, robotę na dzień naznaczy
I będzie patrzała z boku na łzy kręcące się w oku:
A ja... o Jezu kochany! nie będę już do altany
Mogła biegać nocną dobą, ani się widywać z tobą
Co wieczora pod tą brzozą, pod tą czarną altaneczką;
I może mię gdzie wywiozą, albo z jakim siejo-lhreczką
Ożenią. To o tych rzeczach gadałam ja sobie w nocy
I spałam jakby na mieczach; a budziłam się bez mocy,
Jak ukraińscy Widuni, którzy ciągle widzą trupy.
A wstydziłam się też kupy dziatki... i ślepej babuni..

Tu, gdzie takie toalety i woskowane parkiety;
A ona, co po jaskółkach świągotaniu deszcze wróży,
Albo się w krześle na kółkach każe wozić po ogrodzie...
Tu ja... w atłasie, przy róży u boku, ja, panna w modzie
Ze złoconym wachlarzykiem, musiałabym (myślę sobie)
Wozić ją i ach... przy tobie
Mówić z nią chłopskim językiem,
Bo ona po polsku nie umie... To bywało w sercu tłumię
Przestrachy moje tajemne, zgryzoty, przeczucia ciemne,
I te sny nazywam marą: lecz w noc i w godzinę szarą
Myślę i myślę o domu pełna niepojętej troski,
Ach... i do Matki się boskiej modłę we łzach i nikomu
Nie mówię, lecz drzę i płaczę. Otóż ja tej matki, panie,
Może nigdy nie zobaczę! Bo dziś pod samo zaranie
Śniła mi się gdzieś, w pustkowiu; potem tu, cała z ołowiu
I w ołowianej spodnicy, niby z perłowej macicy,
Z jednej perły była cała. A twarz zwiędła i schorzała
Także koloru ołówka była już jak trupia główka
Na krzyżu wyrysowana. Tu szła, panie... tu... tą stecką...
A ja w tej róży schowana, drżąca, jak małeńkie dziecko,
Które się przestraszy dziada, co główkę z liści wysadzę
A ujrzę, że ona blada idzie, to chowam się w ciernie,
Oczyrna za nią prowadzę, zziębła i blada niezmiernie,
Cierniami cała pokłuta, bijąc się jak słowik w nocy,
Gdy w klateczce spadnie z druta, chce latać i nie ma mocy,
Tylko się trzepoce w klatce... Tak ja, panie, mojej matce
Dziwiąca się, strzepotana, chowałam się w krzaku skryta,
Cała zziębła i rumiana, jak czerwona włóczka zwita
W kłębuszek... I cóż ty na to?

Leon.

Salynka, będziesz bogatą, srebrny sen bogactwo wróży;
A że się chowałaś w róży, to dobrze; pisano w górze,
Że w twym życiu będą róże.

Salomea.

I ciernie?

Leon.

I ciernie będą.

Salomea.

Otóż ty mię złotą wędą, panie, ułowiłeś sobie,
I porzucić chcesz, jak widzę? Ale póki ja nie w grobie,
To się ty nie możesz żenić.

Leon.

Jak to?

Salomea.

Bo ja cię zawstydzę: sama się będę rumienić,
Sama się wstydem ukarzę, a ciebie publicznie oskarżę.

Leon, na stronie.

Co słyszę! wejdźmy z nią w targi.

Salomea.

Słuchaj, i będą dwie skargi z jednych ust przeciwko tobie..

Leon, na stronie.

Co ja z tą dziewczyną zrobię?

Salomea.

Z jednych ust wyjdą dwa głosy.

Leon, na stronie.

Ach, wrywać teraz włosy! i z boleści kasać ręce!...

Salomea.

I zaręczyny książęce ja zerwę... zerwę szalona!
Bom jest na to podmówiona i udarowana mocą
Przez duchy... co tu w altanę weszły i tam się trzepocą
Jak gołębie krwią zwalane, o ten liść otarte suchy,
Jakieś białe, krwawe duchy!

Odchodzi.

Leon, sam.

Co? czy w obłąkanie wpadła? czy widzi krwawe widziadła?
Albo li też chce udaniem i aktorskiem obłąkaniem.

Sumienie ciężiej przywalić? Na Boga! to nowa sztuka
Niewieścia! serce rozżalić, potem jeść je dziobem kruka
I rozdzierać, aż zaboli, aż własnej pozbędzie się woli.

Wchodzi Semenکو.

Semenکو, na stronie.

Podśluchałem ich w altanie.

Leon.

Ach! Semenکو.

Semenکو.

Jasny panie!

Leon.

Chodź tu, Semenکو kochany,
Bóg mi cię pewno przysyła.

Semenکو, na stronie.

Skaży: czort.

Leon.

Ot, z tej altany tylko co tu wyskoczyła
Tego Gruszczyńskiego córka, z którą ty nieraz mazurka
Tańczył... i tej młodej pani zasługiwał się, figlował.
Ja wiem, że ty nieraz dla niej twoje dumki komponował
I pod oknem w torban dzwonił...
Ot, i teraz się zapłonił
Jak dziewczyna.

Semenکو.

Ta, czy druga! Ja nie szlachcic, ale sługa,
Kozak pański, król na stepie,
Szukam, gdzie serce przyczepię,
A nie można? jeśli Laszka wyżej sobie okiem mruga
I złotego łowi ptaszka, tfu! to dla mnie ta czy druga!

Leon.

Ja wiem... ale ta dziewczyna
Nie wyszła z pod adamaszków;
To równa tobie chudzina, a ty chwata do takich ptaszków.
Gdyby ty chciał, toby miał ją, spróbuj tylko.

Semenko.

Czart by chciał ją!

Na co mi się piąć do państwa! Z asawulstwa i poddaństwa
Kontent jestem... i ze służby u panycza.

Leon.

A mi jużby ty szlachcianki tej odmówił!

Cóż, na prawdę, mój Semenکو,
Jam z nią w tej altanie mówił,
I serduszko miał pod ręką. Kiedy wspomniałem o tobie,
Rzekła: nie, ale tak cicho, że mnie aż porwało лихо,
Bom ją kiedyś ja sam lubił... Lecz takiej biednej chudobie
Nie mogłem (bobym się zgubił u ludzi) oświadczyć z ręką.
Ot ja sobie z tą maleńką igrał, póki było można;
Lecz to dziewczyna pobożna, święcie w domu wychowana,
Gdyby ty miał ognia w kości,
To wyszedłby z nią na pana, i przyszedłby do miłości.

Semenکو.

Zróbcieź mnie, panyczu, panem... jeśli chcesz.

Leon.

A chcesz, to zrobię:

Osadzę gdzie nad limanem, dam ci futor na początek,
A wam, jak biednej chudobie, Bóg pomoże i dzieciątek
Wam naśle, które z zapалу gniewnego ojca ostudzą.

Semenکو, padając do nóg z udanym płaczem.

Nech tobi Boh!

Leon.

Stój... pomału! Trzeba z tą perełką cudzą
Ostrożnie... chociaż to cuda, jeżeli nam się nie uda,
Jak się dobrze weźmiem oba... ona ciebie upodoba.
Ja wiem, znam ją, z iskiei cała...
Gdyby teraz nie kochała, to cóż, że trochę zaszlocha?
Jak przywyknie, to pokocha...
Jak z tobą w stepach zagości,
To step... ach! step, raj w miłości

Z taką szlachecką panienką!
Cóż, głupcze? ... cóż ty, Semenکو?
Czy nie myślisz o kochaniu?

Semenکو.

Ach! ja, panie, w obłąkaniu!

Leon.

Nie bądź głupi...

Semenکو, znów rzucając się do nóg.

Ja twój sługa...

Leon, podnosząc go i biorąc pod rękę.

A co? a co? ... ta czy druga?

Wychodzą.

A K T II.

Noc miesięczna w ogrodzie. — Wchodzi *Księżniczka* i służąca
Anusia.

Księżniczka.

Moja Anusiu, siądźmy w tej altanie...
Sama się boję chodzić po ogrodzie.

Anusia.

Czy strach panience?

Księżniczka.

Powiedz mi, czy w modzie
Teraz u ludzi słowików śpiewanie?

Anusia.

Nie, panno, teraz w modzie klawikordy.

Księżniczka.

Głupiaś! W zapachu kwiatów są akordy
I różne wielkie na świecie muzyki...
Powiedz mi, czy dziś w modzie są krwawniki?

Anusia.

Tfu! to horrendum, małej szlachty kamień.

Księżniczka, dając jej pierścień regimentarza.

Więc mi ten pierścień krwawnikowy zamień
Za pierścioneczek chłopski, srebrny, gładki...
A choćby z kilku szkiełek były kwiatki,
Weź go i przynieś mi, proszę, do parku.

Anusia.

Jak to? prostego pierścionka z jarmarku?
Skądże księżniczce to dziwne zachcenie?

Księżniczka.

Nie wiem; nie powiem, że miałam widzenie,
Bo widzeń żadnych, ani snów nie miewam,
Choć często bardzo drzemię i poziemam,
Łowiąc ustami, jak mówią, skowronka...
Dlaczego ja chcę srebrnego pierścionka?...
Może mię jakiś kozak ze snu budzi,
Może ten kamień krwawnikowy nudzi,
Może na palcu krwi kolorem straszy...
Ach, zgub ten sygnet, albo zjedz go w kaszy,
Albo gdzie zamień za pierścień najprostszy.

Anusia.

Panienka moją ciekawość zaostrzy.

Księżniczka.

Więc zrób z niej sobie do krosien nożyczki.

Anusia wychodzi z pierścieniem.

Róże i nieśmiertelniczki to są moje lube kwiaty;
Adonisy i granaty lubię i z malw piramidy; [lów
Lecz gdybym mogła z opalów, z pereł, brylantów, z kora-
Pleść jako Oceanidy wieniec na zielonej fali,
Albo z siarki, co się pali, robić powój pasożytny,
I włos długi, rozczesany owijać w ten kwiat błękitny,
Pałący się, kwiat siarczany, i pokazać się tej szlachcie
Taką, jaką w myślach jestem; nazwaliby mnie azbestem
I w moim ślubnym kontrakcie zawarowałiby sobie,
Że w domu ognia nie zrobię, wioski nie spalę zarzewiem.

Skąd mi ten duch? sama nie wiem...
 To wiem tylko, że mię nie to bawi, co tych ludzi krwistych
 I że myśli mych ognistych
 Mój dowcip jest zdawkową monetą.

Wchodzi Anusia bez pierścionka.

Anusia.

Ach! panno, na nasz dziedziniec wjechał jakiś Ukrainiec,
 Który oczy, serce grzeje swą rzeskością, oka blaskiem.
 Widziałam, jak przez aleje leciał z piorunowym trzaskiem,
 A za nim jacyś pohańce nieśli czerwone kagańce,
 Podobno jego lirnicy, dziady, w ognia błyskawicy
 Świecące się jak upiory. A wśród lip, z jego żupana
 Różne lały się kolory, niby od świętego Jana,
 O którym panienka czyta widzenie.

Księżniczka.

A mój pierścionelek?

Anusia.

O pierścionelek panna pyta? Zgubiłam.

Księżniczka.

Zmów trzy koronek a odniosą ci go duchy.

Anusia.

A temu, co przybył, panu, jak dać imię?

Księżniczka.

Zawieruchy imię, nazwisko kurhanu
 A przydomek: ludu sława. Ten pan, Anusiu, to Sawa.

Anusia.

Sawa, ten syn hajdamaki? to on wyróżnie nas, panienko.

Księżniczka.

Chowaj się, Anusiu, w krzaki, bo już ciebie ma pod ręką.
 Patrz, z regimentarzem idą i mówią oba o rżnięciu.

Wchodzi regimentarz i Sawa.

Regimentarz.

Przedstawię ciębie panięciu ładnemu...

Do księżniczki.

Ty zaś, Cyprydo, lub Hebe, zaraz nam musisz
Nalać ze srebrzystej stągwi...

Jest to wódz lekkiej chorągwi, pan Sawa.

Do Sawy.

Tobie zaś powiem, że jej łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem i dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda. Nie prosz o nic, bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka; i nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka; i nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bolu głowy, snów gorących i takich feber trzęsących,
Że świat przeklniesz... Dodam i to,
Że jest z mym Lwem zaręczona.

Księżniczka.

To fałsz.

Regimentarz.

Jak to! fałsz? kobieto! Zastanów się... ty szalona!
Podstępna znowu jak liszka!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam, żeś mi przyrzekła.

Księżniczka.

Sygnet rzuciłam do piekła.
Kto mi go wyrwie z płomieni i odda, ten się ożeni.
Odchodzi z Anusią.

Regimentarz.

Widzisz, fantastka dziewczyna!
Idzie za mojego syna. Ale się jeszcze z tem chowa.
Cóż ty na to? ani słowa? cóż?

Sawa.

Jaśnie wielmożny panie, winszuję.

Regimentarz.

Chodź! chodź, przy dzbanie...

Tak nie można... nie można na sucho.

Sawa.

W sercu mi teraz tak głucho

I tak ciemno, żem nie do kieliszka...

Regimentarz.

Na świętego przysięgam Franciszka,

Że ci serce to wnet rozweselę.

Sawa.

Krwi dziś widziałem tak wiele!

Takie straszne nieboszczyki!

Taki mord i takie zbrodnie, że przez całe dwa tygodnie

Z obrzydzeniem na jadło popatrzę;

Pomnąc na te sine chłopczyki,

Na jakim one teatrze zakrwawionym czyniły horory...

Regimentarz.

Co? widziałeś wyróżnione gdzie dwory?

Sawa.

Gruszczyński.

Regimentarz.

Ach! co mówisz mi wasan?

Sawa.

Gruszczyńskiego chłop na wszystko rozpasan,

Przez jakiegoś obcego człowieka

Podżegniony, wyróżnął całą rodzinę

I przed mieczem w step ciemny ucieka.

Regimentarz.

Ja tu mam na respekcie dziewczynę.

Sawa.

Więc z rodzeństwa ta jedna została.

Regimentarz.

Jak to? cały dom?...

Sawa.

Rodzina cała bez litości w pień wymordowana.

Regimentarz.

Proszę! proszę wielmożnego pana...

Mam panienkę tu jego dorosłą;

Trzeba, aby się to nie doniosło do jej uszu.

Sawa.

Nikt o tem nie powie, bom chorągwi zakazał surowie
Szerzyć strachu.

Regimentarz.

I widziałeś dom cały?... Biedny ojciec!...

Sawa.

O słońca zachodzie, widząc, że mi koń mój biały
Utyka a Ukraińce zmęczeni, kazałem w chłodzie
Na górze, skąd widać Gruszczyńce,
Rozłożyć się obozowi; sam zaś ku temu domowi
Obrócony, na te ściany patrząc podupadłe, stare,
Choć dom był zorzą różany, choć lipy i pola jare
W słonecznem błyszczwały złocie,
Choć... ach! dotąd jeszcze śledzę,
Czemu ja w takiej tęsknocie
Patrzałem na kwietną miedzę, idącą przez żyta i wzgórki,
Na te łąny i służebne i pańskie, gdzie wróblów chmurki
Niby harfy szare, srebrne, wążąc się przez błękit blady,
Ulatywały na sady, w korony śliw i czerechów,
Niby harfy pełne śmiechów, szmerów, świegotan i głosów;
Patrząc na te morza kłosów,
Drzewa, miedzę, wyznac muszę,
Że snów miałem pełną duszę
Widzeń miałem pełne oczy. Zdało mi się, że ów dworek
Powietrze błękitne broczy, że wróble jakiś paciorek
Nad tą kalwaryjską stacyą, jakiś smętny Anioł Pański,
Jakąś smętną suplikacyą śpiewają do Panny Maryi.

Zostawiwszy więc powstański huf, pasący stepów trawę,
Sam wziąłem kilku z rajtaryi i uczynilem wyprawę,
Rekonensans na dwór Lacha. A jeśli przyznam się kiedy,
Żem w głąb serca wpuścił stracha...

Ja, co na czele czeredy rzucił się na działa, smoki
I na spisach brał pod boki żywe ruskie kanoniery,
I z ich bladej strasznej cery chorągwie robił straszliwe
Okiem łuskające, żywe, z śmiertelnych ludzi zrobione,
To wyznam, że strach miał oczy

Większe i bardziej czerwone,
Że mój włos, jak wicher smoczy,
Wchodzącemu w to pustkowie wyżej podniósł się na głowie.
Niechaj pan jaśnie wielmożny wystawi sobie ów domek
Taki cichy i pobożny, od Nimf, lasznych ekonomek
Ubrany w cebuli wianki, w malowane na papierze
Obrazki, miedziane dzbanki, cynowe misy, talerze,
Na policach tak błyszczące około ścian jak miesiące
Czarodziejskie, rusałczane;

Teraz wszystko krwιά zbryzgane, co uniknęło grabieży.
Trupy ludzkie bez odzieży i na ziemi i na łózkach,
Na krwιά ociekłych poduszkach; dziatki porąbane srodze
I na ceglanej podłodze porzucone i z puchówek
Pierze śnieżące podłogi. Sama pani... widok srogi!...
Dziateczki swoje bez główek za nóżki zimne, zielone
Trzymała... ach! jedną raną zabita, bo otworzone
Miała żywota świątnice i straszną płodu zamianą...
(Jasne stepowe księżyce! biorę was za krwawe świadki!)
Ze łono tej polskiej matki od strasznego nożów cięcia
Wyszło na łono szczenięcia i stało się psią mogiłą;
Bo i szczenie martwe było na dnie martwego żywota!
Ojczyzno moja! o złota ojczyzno moja kochana!
W matkach twoich zarzynana! i gubiona w matek płodzie!
Jeśli mój żywot na wschodzie

Czego wart, to Bóg to widzi, że go składam na ofiarę
I wszelką żywota marę składam, aż to, co mię wstydzi
We mnie, krew moja kozacza wypłynie sotkiem strumieni
I na węże się przemieni i ślady swe powytlacza

Mordem, ogniami i jadem; a ja wtenczas wpadnę na nią
I zerwę się jak gad z gadem, aż się stepy rozkurhania,
Zniknie czar, co łby podchmiela,
Prawosławna wira zgaśnie; a we mnie, jak w niszczyciela
Na jakim starym kurhanie stojącego piorun trzaśnie.
Straszne to ofiarowanie i ciała mego i ducha...
Bo i we mnie zawierucha i krwi strasznej słyhać grańie,
Bo miesiąców pozłacanie ja znam także w myśli ciemnej,
Bo ja także duch tajemnej pełny myśli o przeszłości;
Lecz to votum, nie śród gości,
Nie przed szlachtą, przy kielichu zrobił, ja, ale po cichu:
Tam w jednej wielkiej komnacie,
Przed babką rodu, co biała za firankami siedziała
W alkwie, w ponocnej szacie, jakoby furja tajemna,
Dawno już głucha i ciemna; a teraz na ten mord smoczy
I krwotok z ciemnej alkwy wytrzeszczająca te oczy
Tak, jak gdyby przed ą głowy
Dziatczek z włoski złotymi krwawe biegały po ziemi,
Strasząc ją razem i bawiąc: jak gdyby im błogosławiąc,
Oczyma się podziwiała, że one gadzinek ciała
Są biegające i zręczne przed nią i przed tym zegarem,
Który tam jak koło miesięczne
Zatrzymany strachem, czarem,
Poznawszy, że czas nie płynie, stał na północnej godzinie,
Do srebrnego ducha głowy podobny w głębi alkwy;
Przed skazówkami, co sine, groźnie podniesione w górę,
Pokazywały godzinę, na którą Bóg przywiódł naturę,
Łańcuchem trwogi poimał, krwią przeraził i zatrzymał;
Przed tym zegarem, co łóżko zczzerwienione opłomieniał
I przed tą martwą staruszką, której trup suchy skamieniał
I czarny jak zmyta chusta otworzone trzymał usta,
Krzyzące: gwałt i morderstwo!
Przysiągłem, że kawalerstwo polskie wygna krew kozaczą!
Że Ukrainki zapłaczą, na mój miecz, na mego konia
Rzucając klątwy i czary. Ba ja będę jak miecz kary,
Kosa ścinająca błonia, orlica na pół rozdarta,
Mająca dwa serca i dzioby;

Człowiek z troistej osoby,
Z Lacha, z kozaka i z czarta.

Regimentarz

Hamuj się waćpan w zapale, bo się takie słowa ważą
Srogo w bożym trybunale;
A te twoje -- aniołów przerażają.

Sawa

Jak to? więc ten mord?...

Regimentarz.

Mocanie! Mam siłę i prawo miecza.

Sawa.

Tam gdzie krwi ohydna ciecza, znalazłam torban kozaczy,
A na tym były torbanie twoje herby.

Regimentarz.

Co to znaczy? Śmiałżebyś na mój dom stary
Rzucać jakie podejrzenie?

Sawa.

Nie, ale twoje kotary i tych lip wiekowych cienie
Może dają cię jakiemu zdrajcy słudze.

Regimentarz.

Biada jemu!... Bo jeśli go znajdę we dworze,
To mu na karku położę regimentarską różeczkę.
Dotknę się go zimną ręką.

Sawa.

Jest posłuch, że sam Tymenko
Kryje się w szlacheckich dworach,
Jak wilk nakryty owieczką, i w różnych staje kolorach
Przed oczyma swego ludu, siłą rządzący fatalną.
A bunt, podobny do cudu ręką jakąś niewidzialną
Sprawionego, niby owe straszne napisy ogniowe
U Babilonii mocarza, napisane bez pisarza,
Tem okropniej szlachtę straszy.

Regimentarz.

Zmażemy ostrzem pałaszy te ogniowe dokumenta,
Które lud z czartem jurystą piszą ręką ciemną, krwistą...
A tak zmażem, że lud popamięta
I przeleknie się naszego pióra.
Gdzież jest, Sawo, ta krwawa bandura?

Sawa.

Lirnik ci ją mój Bajda pokaże.

Regimentarz.

Pozazdroszczą mi koronni pisarze
Mego oka w sądzeniu tej sprawy.
Znajdź tu sobie co dziś do zabawy,
Bo się trudnić waćpanem nie mogę.

Odchodzi.

Sawa, sam.

Jako trąba uderzyłem na trwogę
I podniosłem serce w tym szlachcicu.

Wychodzi z poza altany księżniczka.

Księżniczka.

Ach! dwie gwiazd... ach! dwie gwiazdek po licu
Mi zleciało, gdyś mówił o rzezi.

Sawa.

A do jakiej je przypiąć ferezyi?

Księżniczka.

Co, mój chłopku?

Sawa.

Co, mój biały księżycu?

Księżniczka.

Kiedyż nasze ogłosim wesele?

Sawa.

Dziś, kochanko...

Księżniczka.

Jak sobie podchmieleę ukraińską wonią, tom gotowa
Przysiądz na to, zem twoją jest żoną.

Sawa.

Sam czart na to jeszcze nie da słowa.

Księżniczka.

Ach! jak głupią byłam i szaloną,
Kiedym poszła za ciebie sekretnie.

Sawa.

Kiedyś poszła, uczyniłaś szlachetnie;
Że się przyznać nie chcesz... jesteś Ewą.

Księżniczka.

A radby ty potrząść drzewo? Co? bo cierpisz na to srodze,
Że nie wiesz, jakie ja rodzę owoce?

Sawa.

Jabłuszka winne.

Księżniczka.

Drzewko jestem bardzo czynne,
Co dzień w kwiatach jak pochodnia;
Kwiatek nowy rodzę co dnia, róże, astry i narcysy.
Ale co raz w myślach minie, to już jak napój zakisy
W listeczki się nie rozwinie. Ach! jaka ja byłam głupia,
Sekretnie idąc za ciebie!

Sawa, na stronie.

Gniew się srogi we mnie skupia jak piorun.

Księżniczka.

Pisano w niebie, że zawsze krzywo osądzę,
Zabłąkam się w zawierusze,
Wpadnę w dół, w lesie zabłądzę
I wybląkiwać się muszę.

Sawa.

Hej! księżniczko na Ostrogu, czy panno, czy moja żono,
Pókiś tu na obcym progu, możesz sobie być szaloną,
Zimną, wzgardliwą, zalotną,
W tęczach od stóp aż do głowy.
Bo wiesz, żem człek honorowy,
Wprzód mię na kawałki potną,
Wprzód mi serce w piersiach zjedzą,
Nim się szlachcice dowiedzą
O naszym małżeństwie. Ale, choć nie mogę w trybunale
(Boś ty akt ślubny podarła) przez adwokackie się gardła
Upomnieć o moje prawa; chociaż wiem, że pierwszej muszę
Chłopską z siebie wygnąć duszę i wysypać ci z rękawa
Me szlacheckie dokumenta,
Proszę cię, ach! nie bądź święta!
Nie bądź dla mnie tylko śmiechem,
Małżonki mojej zarysem,
Różą, bławatkiem, narcysem i pożądlivości grzechem...
Lecz pamiętaj na mój statek, na cierpliwość pełną dumy;
I na rzecz miłosnej sumy wylicz mi dzisiaj zadatek.

Księżniczka.

Co? mój panie kredytorze?

Sawa.

Posiadam ogniste morze, pełne pereł i koralu,
Które widzę na dnie fali. Jednej perły chcę, kochana!

Księżniczka.

Nie, nic, tylko sama piana dla ciebie, małżonka cieniu.

Sawa.

W dyabelskim ja odurzeniu.
Ach! raz, ach! raz tylko z ciebie
Trysnął płomień iskry boskiej...
Kiedy w rycerskiej potrzebie,
Pułaskich broniąc odwrotu, ranny, w kołysce żydowskiej,
W chmurze świszczącego śrotu

Śród dwóch rumaków wiszący,
Kazałem się jako krwawy sztandar w ogień gorejący
Nieść... i krzyczał hasło Sawy;
Gdym jak bachur z tej wyprawy,
Gdziem niejeden dostał siniec,
Przyjechał na wasz dziedziniec,
Zawsze w tej kołysce siedząc,
W pokrwawionych na łbie chustach;
Blady, bo przez dwa dni nie jedząc;
Żółty, głód miałem na ustach;
Straszny, bom był cały w ranach;
Brudny, bom spał na kurhanach;
Głupi, bom o świecie nie wiedział
I kręciło mi się w głowie;
Śmieszny, bom w kołysce siedział;
Hardy, bom nie dbał o zdrowie,
Ni o piękność kawalera; to wtenczas ty byłaś szczerą,
Potulna, jak małe kotki. W zamku u staruszki ciotki
Sama, bywało, w garnuszkę warzysz mi kaszę jaglaną;
I widziałem cię co rano w zorzach różanych przy łóżku;
Ach! i byłbym na kolano upadł jak przed bohomazem.

Księżniczka.

Pięknym skończyłeś obrazem!

Sawa.

Oszukałem się na tobie.

Księżniczka.

Oszukaliśmy się razem.

Sawa.

Kiedyż tej okropnej próbie koniec położysz?

Księżniczka.

Pomyślę i wynajdę coś w umyśle...
Odpowiedź waryatki godną. Słuchaj... póty będę chłodną,
Jak wąż ci uciekać śliski; póty na męża utyski,
Na twe skargi będę głucha i będę czysta jak mniszka,

Aż z ręki ognistej ducha pierścień świętego Franciszka,
Pierścień z krwawej kornaliny
Zerwiesz... na koniu tu wjedziesz
I przez drugie zaręczyny mnie zaręczoną rozwiedziesz...
Słowiki na ranek kwilą, bądź zdrów.

Odchodzi.

Salomea, sam.

Bądź zdrowa, Sybillo. Wymyśla różne przyczyny,
Ucieka się do wykrętów. Ale serce tej dziewczyny
Chłopstwa się mojego boi. A utrata dokumentów,
Które mieli ojce moi, co ród od Calińskich wiodą,
Jedyną mi jest przeszkodą. Ach! Ukrainę przewrócę,
Kurhany wszystkie rozwalę a z dokumentami wrócę.

Odchodzi.

Wchodzi Leon.

Leon, sam.

Ojciec mój w wielkim zapale, zachmurzony nic nie gada,
Tylko w swoim gabinecie poosobno ludzi bada.
A mnie wielki strach napada, czy to już nie dziewczki skarga?
Ach! to ona — list mój w ręku.
Sam jej widok za serce mię targa.

Kryje się za altanę i przez cały ciąg sceny zostaje na stronie. Wbiega
Salomea w bieli, w wianku z rozmarynu, ubrana jak do ślubu.

Salomea.

Ach, jak od słowików jęku kołysze się cały staw...
Jaka woń tych róż i traw! jak leci w usta! na czoło!
Ach! ach! jak mi wesoło! ach! ach! jak mi wesoło!...

Leon, na stronie.

Nieszczęśliwa, a szczęściem spojona!

Salomea.

Ten listek włożę do łona. Tutaj w białym w gorseciku,
Tu siedź w tajemnym kąciku, gdzie jedna róża czerwona,
Jako lampa zapalona, rzuca na mnie takie blaski
I tak opłomienia szyję, jak dno filiżanki saskiej,

Z której mój gołąbek pije i cały się złotem rumieni.
Ach! ach! ze mną się Leon dziś żeni!
Ze mną żeni się Leon sekretnie!

Leon, na stronie.

Niech mi kto łeb teraz zetnie i rzuci Meduzy głowę
Na trzewiczki atlasowe.

Salomea.

Jeszcze nie czas. Jak ta sina gwiazda nad topolą stanie,
To będzie ślubu godzina. A pod różane zaranie,
Sama wracając z cerkiewki, na tem miejscu sobie stanę
I pominąć na smutek dziewczki, na me serce oszukańce,
Na wstyd, bom wstydu się bała, będę z radości płakała.

Leon, na stronie.

Szelma ze mnie!

Salomea.

Ach, Boże mój! Dlaczego ta noc taka cicha!
Dlaczego tych gwiazd taki rój?
Dlaczego jedna, zda się, wzdycha?
A druga leci gdzieś zdaleka?
A trzecia krwawa jak pies szczeka
I na błękitach mi ujada;
A czwarta — ach! a czwarta spada,
I nad Gruszczyńcami zgasła.
Ledwie zem z trwogi nie wrzasła,
Widząc tę gwiazdę przy zgonie
Jak główkę ducha z oczami.
Ach! jak tam smutno w tej stronie!
Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

Leon, na stronie.

Każde jej słowo rozdziera.

Salomea.

Czy tam w domu kto umiera? czy kto leży konający?
A ta gwiazda... anioł złoty po duszę przylatujący!
Ach! ach! pełnam trwogi i tęsknoty.

Leon, na stronie.

O! słowiczku! o! skończ to śpiewanie!

Salomea.

Przez głębokie się wsluchanie
W powietrze, wsluchałam w trwogę.
Ach, cóż ja? Ja nic nie mogę! Co się ma stać, to się stanie.
Ach, jak smętnie, jak mi parno!
Jak mi smętnie, jak mi czarno!
O! stróžu, święty aniele, pamiętaj, że dziś moje wesele.
Wybiega ku wiosce.

Leon, wychodząc z poza altany.

Wesele... Ohydna sprawa! Z Semenką ślub malowany
Przez spitego księdza dany, bez świec, skrycie, potajemnie.
I moje miłosne prawa ten chłop zrodzony niktzemnie
Będzie nad nią miał po ślubie. On podejmie, co ja gubię:
Nie dyament szlifowany, ale perłę czystej rosy;
Nie tęczę, ale jej włosy; nie rubin w ogniach różany,
Ale usta jej... maliny; nie strojną w tony gitarę,
Ale czysty głos dziewczyny, który mu przysięże wiarę
I dotrzyma, gdy przysięże. A ja co mam?... włosy... węże!
Oczy jak szatańskie bielma, głos, co mówi mi, żeś szelma,
W sercu ranę i nóż w ranie; i twarz, którą krew porzuci,
Która na szelmy nazwanie jak słonecznik się obróci.

Wchodzi regimentarz.

Regimentarz, z daleka.

Panie Leon!

Leon.

Ojciec woła.

Regimentarz.

Panie Leon!

Leon.

Tu jestem w altanie.

Jakie grzmiące i ponure wołanie?
Co, mój ojczy?

Regimentarz.

Lud nasz cały dokoła
Zbuntowany... mój pop stanął na czele.
Wczoraj noże święcono w kościele.
Czy wiedziałeś, że tam takie święto?
A Gruszczyńce...

Leon.

Co, mój ojczy?

Regimentarz.

Wyrżnięto.

Leon.

Dom Gruszczyńskich?

Regimentarz.

Naszych starych sąsiadów.
A wiesz, synu, kto zgrają tych gadów
Rządzi? wieszli, kto Tymenko się zowie?
Zgadnij acan; bo ani ci w głowie
Taka myśl... zgadnij, synu kochany?
Oto kozak twój Semenko, poznany
Po tej krwawej bandurze.

Wyjmuje z pod kontusza bandurę kozacką.

Leon.

Chrystusie!

Regimentarz.

Wczoraj napadł w ogrodzie Anusię,
Która niosła mój pierścień z krwawnikiem,
Wyrwał jej z rąk, i chciał palec nożykiem
Uciąć dziewczce, jeżeli zakrzyczy;
Potem kazał nie mówić nikomu
I ten pierścień tajemniczy, święty, uniósł z mego domu
I będzie nim łotr wierutny oszukiwał szlachtę małą.

Leon.

Gdyby zaraz...

Regimentarz.

Łotr obrótny!

Leon, na stronie.

Wyjechawszy na noc całą, jeszcze mógłbym go dogonić;
Ale musiałbym odsłonić moją haniebną intrygę...

Regimentarz.

I cóż myślisz?

Leon, z pomięszaniem.

Ojczy drogi...

Na stronie.

Ach, z czartami wszedłem w ligę!
Ani cofnąć teraz nogi, ani wprzód uczynić kroku...

Regimentarz.

Patrzałem na ciebie z boku...
Ważć mi dziwnie zamyślony?...

Leon.

Ojczy, daj mi dwa szwadrony.

Regimentarz.

Jakto? a twoje wesele?

Leon.

Jutro czekajcie w kościele,
Przyjadę na czas z pierścionkiem.

Regimentarz.

Idź Waść.

Leon odchodzi.

Za moim skowronkiem

I ja stary ptak polecę. A teraz bożej opiece
Polecam mojego ptaka, syna mego jedynaka!

A K T III.

W domu regimentarza. Wchodzą *Regimentarz, Sawa i księżniczka.*

Regimentarz.

Czas teraz, mospanie Sawo, czynnie zająć się wyprawą
I buntowi uciąć głowę. Czas pokazać w ciemnym jarze
Wielkie miecze koralowe, jak dawni regimentarze

Ukraińscy i podolscy. Czas pokazać, żeśmy polscy
Posiadacze tej krainy, choć bez hełmów i kirysów;
To wszakże nie do pierzyny tylko i nie do kieliszka;
Ale naszych cór, narcysów, na świętego klnę Franciszka!
Nie damy chłopom za żony.

Syn mój, wzięwszy dwa szwadrony,
Przed nami zamiata pole i pewnie się na rosole
Rusalczanym nie rozpieści... A sędzę, że lada chwila
Od Gruszczyńskiego nam wieści
Nadlecą — pewnie się stary
Na erudycję wysila a szablicą przygasza pożary.

Do księżniczki.

Ty zaś, moja piękna parko, wiń nam żywota przedziwo,
Gdybyś była sprawiedliwą, tobym cię regimentarką
Ogłosił na kraj okolny, gdy sam jako hetman polny
Po rosie w pole wyjadę... Ale panienka ma wadę!
Ma wadę; pierścionki gubi...
Kto taką stratną poślubi, to kiep...

Księżniczka, spozierając z pod oka na Sawę.

Czy słyszy pan Sawa?

Regimentarz.

On się jeszcze rozpoznawa, ale nie zna się na tobie,
Boś ty mu ni siostra, ni żona...
Cóż? tęskno ci bez Leona? Ślubny wam dzień przyozdobię
I wyjaśnię wam świetlicę łbami kozaków na tyce.

Księżniczka.

Tateczku... a czy pan Sawa będzie pochodnią w lichtarzu?

Regimentarz, gładząc ją pod brodę.

Cóż to, mój regimentarzu?

Jaka ty już w myślach krwawa!

Ledwo dzisiaj na urzędzie a już rączki masz łabędzie
Zajęte głów zdejmowaniem?

Księżniczka.

Owszem, chciałabym rozdawać.

Regimentarz.

Cicho! bądź z uszanowaniem...

Widzisz, Sawo, te ptaśzeta trzeba śmieszkami napawać,
Na żartach się nie poznawać; to one swem świegotaniem
Przez różne szpaczków talenta smętny czas, grożący nocą.
Żywo po anielsku złocą; i zdaje się, gdy świegocą,
Że ta ziemia cała gajem zielonym, gwiazdą i rajem;
Gdzie za teatru kurtyną ludzie lepsi za kraj giną.

Wchodzi Pafnucy z pałaszem Gruszczyńskiego w ręku.

Cóż to znowu za szlachcie obdarty!

Pafnucy.

Od Gruszczyńskiego przychodzę.

Regimentarz.

A Gruszczyński?

Pafnucy.

Pozostał na drodze.

Regimentarz.

Powiedz wszystko i bądź z nami otwarty;

Tobie z oczu nieszczęście wyziera.

Umarł starzec? czy umiera?

Czy przez chłopstwo gdzie w sztuki rozdarty?

Pafnucy.

Jasny panie, posłuchaj cierpliwie a uderzę ci chrapliwie
(Tak, że zadrży serce mężne)

W nieszczęścia trąby mosiężne.

Wczoraj, panie, po twym liście otrzymanym starzec biały
Ruszył się jak lew ogniście, gotów targać świat w kawały.

Co! ja tchórz? krzychał, ja stary

Rotmistrz służący za Sasów? mnie każą wychodzić z lasów?

W twarzy i w gestach regimentarza widać zadziwienie.

Ciągnąć przez lochy i jary? gdzie ledwie węże się toczą
Po kwiatkach wstążką błękitną? gdzie rzezunie nas otoczą,
Z gór wystrzelają, w pień wytną i głowy nasze na tykach
Postawią żonom przed oczy... Tak krzychał, a na uboczy

Przy gwiazdach, wielkich świecznikach
Srebrnych, które ogonami w niebie wisały nad nami,
Zwierzyć się przede mną szukał
Z omenów, jak mu do dworku
Po trzykroć Chrystus zapukał
We drzwi, dwakroć we śnie zastał,
A raz zastał na paciorku; tak, że po stukaniu nastał
Wielki strach, i czeladź cała, matka, nawet dzieci drobne,
Owo stuknięcie żałobne, groźne, po którym nastąpiła
Cisza w domu i na dworze, wzięli za stuknięcie boże.
Jakoż, mówił do mnie stary, była to dla mnie nauka,
Abym poszedł pod sztandary, bo Pan do drzwi moich puka,
Pokazuje w kraju łodzi tonące ludzie w rozpacz;
I sam w domek zajrzeć raczy, sam po rycerza przychodzi.
Jakoż, mówił, mam ufanie, że na werbunku nie zginę,
To, jaśnie wielmożny panie, z jego ust słyszałem wczora,
Potem swoją mi dziewczynę, służkę u twojego dwora,
Polecił: i wnet z lewady pod rosę i księżyc blady
Ruszyliśmy, czyniąc pilny marsz, ażebyśmy o wschodzie
Przeszli cicho jar mohilny, i o irdynieckim brodzie
Zachwycić mogli gdzie wieści...
Rano... (ach, panie! w boleści
Mówić nie mogę!) nad rankiem,
Pod brzóz już ostatnich wiankiem
Jeszcze się zatrzymał stary, jeszcze mi tam swoje mary
Swoje sny i wizye chore, oraz starca Wernyhorę
Z wróżbą o dwóch chorągiewkach
Przypomniął. A w leśnych drzewkach
Był dziwny z powieścią związek, jakieś szeptanie gałązek,
Szmary stłumione pół głośnie; jakby śpiewania żałośnie
Przez duchy tych drzew czynione
Na kwietnem lewad wybrzeżu, jakby po starym rycerzu
Jakieś głosy utęsknione, (które jeszcze w uchu słyszę)
Radzące staremu na ciszę i spoczynek... Wtem z rozłogów
Podniosło się słońce złote, nakszałt moją szosowych rogów
Ubrane w ogniste słupy; i wiodło nas na robotę
Mieczową, którą już kupy kawek i wron i szulaków,

Zwite koło naszych znaków czarną koroną piekielną,
Okrakały za śmiertelną. Rota za rotą sprawieni,
Wszyscy dobrzy przyjaciele jechaliśmy — on na czele
Z chorągwią... i w jar ów głuchy,
Pełny deszczowych strumieni,
A po ścianach czarny, suchy, bokami słońcu zakryty
Wjechaliśmy, tak że słońce ozłociło nasze kity
I same sztandarów końce: a ciemność, jaka w kościołach
Panuje, grobowej blizka, na naszych leżała czołach,
Gdyśmy przez te uroczyska ciągnęli, żując myśli surowe;
I tylko kopyt iskrzyska, gdyśmy podkowa w podkowę
Za naszym wodzem lecieli, albo blask od karabeli
Swoje ognie piorunowe na ciemne jary te kładły;
Jakby tam furye u skały z ognistemi prześcieradły
Na nasze ciała czekały, tych ludzi mających ginąć
Gotowe w płomień owinać. Około dziewiątej rano
Przyjechaliśmy nad duże serca wód, wielkie kałuże,
Stawek, gdzie nam po kolano woda, oraz grzaskie błoto
Lgnące pętało rumaki... Tam starzec z chorągwią złotą,
A za nim pomniejsze znaki wbrodziły... a wody śpiące
W srebrne się wielkie miesiące rozeszły; jakby, o panie!
Niosąc nasze pożegnanie
Ojczyźnie gdzieś stojącej na brzegu...
Bo wtem, nie strzegąc szeregu, ładn i żadnej komendy,
Przyszedszy niewiedzieć którądy,
Pokazał się lud gruszczyński.
Ci się wężowemi stecki zlewali z gór na Polaków;
Ci się z jałowcowych krzaków ukazali, strasznej cery
Podpiłej... sino-zielonej. Rzekłbyś, że na ziemi onej
Jałowców ciemne ogrojce przeradzają się w siekiery,
W noże i w spisy i w zbójce... że te straszne jaru ciemnie
Całe się krwią zarumienia, i wyreżą się wzajemnie
I w dwie mogiły zamienia... że ze srebrnego jeziora
Zrobi się teatrum nowe, na którem śmierć jak aktorka
Swe tragedye purpurowe będzie odgrywać w ciemności;
Krwawe sztandary pozwiesza,
Ludzką kość do wilczej kości,

Ciała ludzkie z psimi ciałały ohydłą ręką pomięsza;
I temu, co trupy wskrzesza a niebios jest gospodarzem,
Takim okropnym cmentarzem ta ohydna monarchini,
Mająca świat w panowaniu,
Przy wiekuistem wskrzeszaniu
Litość albo strach uczyni i horror... Pierwszy Gruszczyński,
Obejrzawszy gór załogę i cały lud ukraiński,
Któremu nie mógł podolać, kazał długo i na trwogę
Żałośnie w trąby zawołać; a dotąd nie wiem, na kogo
Wołał — trąb serdeczną trwogą
I tem tak żałosnem graniem?
Bo mu góry z urąganiem odpowiedziały o męstwie
Próżnem, gdzie moc taka wroga!...
Więc sędzę, że Pana Boga
O swoim niebezpieczeństwie trąbami on zawiadamiał;
Więc sędzę, że pierwaj duchy
Na powietrzu gdzieś rozgramiał
I bił o anielskie słuchy
I był w niebie, nim na świat powrócił,
Porwał sztandar i na wrogi się rzucił.
I z białą głową odkrytą
Leciał gnany naszym gwarem
I krzykiem... (a nie słowiczy
To głos, kiedy szlachta krzyczy,
Pędząc zbrojna do ataku!) Już wódz na czele orszaku
Dobył się z grząskiego błota,
Już koń się na brzegu wspinał,
Już chorągiew wielka złota burczała, już rąbać zaczynał
I powietrze już zarzynał jęczące od szabli zamachu.
Wtem stanął i bladość strachu twarz mu oblała i rosła,
Z ust próżne wypadły dźwięki,
Sztandar złoty wypadł z ręki,
Miecz na tasiemce zawisnął;
A krew, co się wprzód podniosła,
Tak, że rumieniec wytrysnął, wróciła trwożna do łona,
I bladość straszna, zielona, bladość, co nigdy na Lachu
Nie występuje — ohydna! bladość, która w nocy widna

Na złodzieju, bladość strachu zielona i ołowiana,
Pierwszy raz wtenczas widziana
Przeze mnie na polskiej twarzy,
Przeraziła nas husarzy i mróz nam przeszedł przez kości.
Bośmy się zlekli bladości takiej czarnej, ołowianej,
Na twarzy wodza widzianej.
Bo ta przy srebrnym warkoczu
Twarz biała jak u komety, bo w twarzy te węgle oczu,
W oczach te wzroku sztylety i krwią i ogniem czerwone,
Gdzieś na powietrzu utkwione, wylatujące z rozłogu,
Gdzieś utkwione... jakby w Bogu, dziś widzę...
Teraz was proszę jeszcze o chwilę cierpliwą,
Bo starca pałasz przynoszę; więc i mękę jego żywą
Memi słowy wszczepić muszę jego mścicielowi w duszę.
Niech tego ojca obraza
Przejdzie w serce, w dłoń człowieka;
Niech ten kawałek żelaza, który rdza wieków powleka,
Znajdzie tu ręce gorące, i niech te umierające
Stare tureckie turkusy, gdy je polskie ręce chwycą,
Znów swe oczy rozbłękicą. Niech tej klingi kolor rusy,
Gdy nią człowiek krzyż uczyni,
Znów swoją twarz rozrubini,
Jak piorun polskich pałaszów,
I świat krzyżem czerwonym przestraszy.

Regimentarz.

Zawiesiłeś nas ciekawych nad przepaścią pełną strachu
I widm, jak upiory, krwawych.

Pufnucy.

Mówiłem wam, że w zamachu szabli, lecąc na gromady,
Starzec stanął... stał się blady, głuchy, jakby skamieniony,
Wysoko gdzieś zapatrzone, jak na kruki, jak na wrony,
Na słońce i na niebiosa, na anioły i na Boga.
A na niego szedł las wroga, gromada spis złotowłosa;
Las niby jakiś bez liści, który słońce rozogniści
I na wierzchołkach oświeci; las w środku pełny zamieci

Od mgieł zawiany posępnych; las tajemnic niedostępnych
Z girlandą ognia na głowie; a w tej girlandzie, o! Boże!
Słuchajcie, mości panowie! I dajcie też Wernyhorze
Świadectwo, że widzi, co gada:

Pośród spis dwoje główeczek,
Jedna i druga tak blada, a tak utkwione na tyce,
Że z tych dwojga dzieciątek były dwie płonące świece
I dwa umarłe księżyce wśród straszliwego ogroja;
Dwie główki, ścięte po szyje, szły prosto, prosto na ojca,
Jakby wiosenne lilije na krwawym zabójcy grobie;
Zda się, ucieszone obie tem wielkiem egzaltowaniem,
Tem powietrzem mogilnikiem, tą wolnością i lataniem;
Tem żelazem, co w nie tonął, i z główek wyszedł ognikiem
I palił się na wietrze i płonął

Jako świętych serduszek oferta,
Kto wam to lepiej naczerta, nie wiem? do ojca szły ręki,
Niby zebrać o niebieskie zasiłki; a ja sądzę, że mogiłki
Prosiły go i trumienki... Lecz on! gdy te dziatki ścięte
Ujrzał... i te spis wierzchołki! i wprzód pomyślał: aniołki!
A potem: że wniebowzięte, a potem: że już zarżnięte,
Pomyślał... to, mości panowie,

Włos mu biały wstał na głowie;
W zupełne wpadł obląkanie, pokazał na te świeczniki,
Ręką nam pokazał na nie i bełknął...: moje chłopczyki.
I nic nie mógł mówić więcej, bo w usta mu sto tysięcy
Pereł upadło... A wtedy jeden z nas krzyknął: mospanie!
Na potem domowe biedy! Na potem po dziatkach płkanie!
Teraz wrogom stawmy czoło, nim otoczą nas wokoło
I wytną na tej moczarze...

To rzekł ów głos, a zaś starzy husarze
Pewni byli, że im zemstę poruczy.

Ale starzec cały w gniewie

Krzyknął: któż to mię tu uczy?

Czy to wasz komendant nie wie,

Skąd mu brać w rozpacz radę?

Oto mój tu pałasz kładę, rzekł i rzucił ten miecz goły,
Tu mi stać, bo ja pojedę po dziątek moich popioły,

Po te krwawe jarzębiny i po domowe nowiny.
Choćbym miał przed moje chłopcy
Rzucić się, lizać im stopy, to wyproszę je od krzyża
Te główki, które wiatr piecze;
Wszakże to resztki człowiecze!
Których świętościom ubliża pogrzeb taki bez szacunku,
Takie urąganie z ciałek, taki mięsiwa kawałek;
Ten z boskiego wizerunku łachman zatknięty na dzidę
I na strach pokazywany, oczom ludzkim na ohydę,
Berberysem krwi skąpany,
Którego kruk kozakom zazdrości. To rzekł i pełen żalości
Pojechał... i wnet go czernie oblaży wkoło jak mrówki.
Z gestu widać, że niezmiernie, o swoje maleńkie główki
Starzec prosząc, spuścił z tonu, z gestu widać i z pokłonu,
Że pokorę wielką kłamał, że zupełnie się tem złamał
Ów szlachcic pod ręką bożą. Podjechałem wtenczas bliżej
I słyszałem, że go trwożą
Główek tych niezdjęciem z krzyży
I pogrzebem ich nieświętym, o domie mówią wyrzniętym,
O krwi, mordach, o płomieniu; nareszcie o żony złęzeniu
I o powiciu szczenięcia. Wtenczas rękę jak do cięcia
Podniósł z miecza obnażony,
I cały wstydem czerwony...
Bo i starość ma wstyd swój dziewiczy
I pudorem się różanym maluje,
Gdy kto świętość jej roztajemniczy,
Krzyknął: hyle! pomorduję!
Wytnę w pień! szelmy! gadziny!
I nieba fundament siny krwią czarną waszą zamażę!
Gdzie szabla? gdzie moi husarze?...
Krzyknął obłąkany cały; obejrzał się... i stał się biały
Jak trup... łzawić się zaczął i ślinić
I ogłupiał i nie wiedział co czynić.
Wtenczas jeden sotnik stary
Rzekł do niego: hej, Lachu i kumie!
Wydadz rozkaz, szczop tyje huzary
Ze szkap zlazły, taj w jeziorka się szumie

Nie kąpały, a na łaskę zdały się...

Słyszac to, oczy tygrysie, jasne, starzec w chłopcy wlepił
I oczyma ich oslepił, jakby słońcami tej ziemi,
Słońcami obłąkanemi we krwi, w płomieniach i w grozie,
I rzekł: Więć mię na powrozie jak psa, pany gospodarze,
Wiedźcie przed moje husarze, gotowe niosąc siekiery.

A jako znacie, żem szczery,

Tak i przed śmiercią nie zdradzę,

A wam szlachtę tu sprowadzę i pod siekierami będę
Ostatnią dawał komendę. To rzekł: a jemu pod boki
Włożywszy mordercze piki, tak, że zdawał się wysoki,
Jako dawne męczenniki, jak Chrystusowe sztandary,
Zbliżać się ku nam ów stary:

Chłopstwo go tak, pewne zdrady,

Wiodło przed własne szeregi. Ale oczy, nasze szpiegi,
Poznały, że starzec blady

Z chłopstwem się czarnem nie kuma,

Ale żywota ostatki, swój dwór wyrznięty i dziatki

Bogu na ofiarę składa i sam też o palmach duma,

Lecz męczeńskich... o czym chłopstwa gromada

Nie wiedziała, nie znając Jezusa.

Jakoż wśród tych dzid obrusa, jak na chuście Magdaleny,

Słońce jej okropnej sceny, słońce jasne, jego głowa

Spokojna a purpurowa od męki cierniów serdecznych,

Jakoby w kręgach słonecznych,

Dziś mi przed oczyma staje.

Dał znak, by ucichły zgraje i zamodlił się sam w sobie...

Nagle! w tem sercu, w tym grobie

Całej nieszczęsnej rodziny jakieś głosy wielkie, mężne,

Jakoby trąby mosiężne z Jozafatowej doliny

Zagrały... i będzie słynąć

Ta komenda w okropnym parowie

Zatrąbiona: Mościwi panowie,

Wrzasnął! za ojczyznę ginąć!

Ja trup!... To nam starzec krzyknął,

Jakby groźna trąba sądna,

I okrwawił się i z oczu nam zniknął.

I zaczęła się walka nierządna,
Bośmy z furią szatańską mścicieli
We łzach ślepi i na oślep lecieli.

Regimentarz.

Mniejszym stawia u ludów posąg.
U nas tylko powiedzą po wiekach:
Taki ojciec! taki rycerz był ongi! A husarze?

Pafnucy.

Na chłopskich zasiekach dali gardło; kilku tylko zostało,
I ci wstydzic się muszą żywota.

Regimentarz.

Kto tak gada jak ty, ten nie mało musiał czynić?

Pafnucy.

Późniejsza robota to pokaże, czy ja pański robotnik.

Regimentarz.

Któż ty jesteś...

Pafnucy.

Stary dziwak, samotnik, bez przyjaciół...

Regimentarz.

To nieprawda, mospanie,
Bo ja jestem twój przyjaciel i w stanie
Dać za ciebie i gardło i rękę...

Pafnucy.

O Gruszczyńskiego panienkę proszę, jako opiekun sieroty...

Regimentarz.

Gdzie Sałynka?

Księżniczka.

Ach! dębu wywroty czasem łamią i różne podleśne!

Regimentarz.

Co mi wróżą te słowa bolesne?

Księżniczka.

Kochany mój opiekunie, utraciliśmy Salunię.
 Zniknęła dzisiaj ze dworu, jakby na nią ojciec krwawy
 Rzucił kontusza rękawy i do anielskiego choru
 Na srebrne łabędzie stawy, gdzie przy harfach grają dusze,
 Zaciągnął. Może też ona, jako listek w zawierusze
 Z ziemi lekko podniesiona
 Duchową z rodzeństwem współką,
 Jak w jesieni listek klonu, co się wydaje jaskółką,
 Lub jako listek jesionu, co się zdaje gwiazdą złotą,
 Widząca się na świecie sierotą,
 Jak ton zlewa się do tonu, jako ognik do ogników,
 Za duszami nieboszczyków poleciała.

Regimentarz.

Kontrefekcie szpaka, mów mi bez ogródek.
 Ta panienka na respekcie dla wielu mi dziś pobudek
 Droga — niech prawdy się dowiem.

Księżniczka, na stronie.

Cóż ja mu nieszczęsna powiem? Domysłów mu nie wyjawię.

Regimentarz.

W krwawej nas trzymasz obawie.

Księżniczka.

Śniła mi się Deyanirą porwaną, a potem śniła
 U dziada ze srebrną lirą, jakoby brzoza pochyła
 Dumająca nad dumkarzem;
 Potem gwiazdą nad cmentarzem.

Regimentarz.

Tu o sny nie chodzi wcale.

Księżniczka.

Więcej nie wiem nic, prócz plotek.

Regimentarz.

Mów je.

Księżniczka.

Czy ja kołowrotek?

Regimentarz.

Waćpanna mi za zuchwale odpowiadasz. Tutaj chodzi
O cześć młodziutkiej dziewczyny,
O cześć szlacheckiej rodziny. O mój dom, któremu szkodzi
Ten rapt, trafiwszy się u mnie.

Księżniczka.

A waćpan mię też za dumnie pytasz się.

Regimentarz.

Rzecz tego warta.

Księżniczka, z gniewem.

Dziewczyna twoja rozdarta
Przez lwa... Miej to, czegoś pytał...

Odchodzi.

Regimentarz.

Gdyby to prawda!

Sawa, na stronie.

Zazgrzytał.

Regimentarz.

Ha! gdyby to prawda była!
Że mój Lew... To być nie może!

Wchodzi chłop ukraiński.

Chłop.

Panycz mię z listem przysyła.

Regimentarz.

Czy zdrów?... Nim ten list otworzę,
Pytam, czy zdrów? słyszysz, chłopie?

Chłop.

Tak, panie.

Regimentarz.

Co znaczy: tak, panie? oczy w tobie groźne topię;
Odpowiadaj na pytanie.

Chłop.

Panycz ranny.

Regimentarz.

A gdzie leży?

Chłop.

W moliłach.

Regimentarz.

Czy ty pijany?

Chłop.

Panycz żywcem pogrzebany.

Do regimentarza, który rękę podnosi do bicia.

Tak; niechaj mię pan uderzy...

Cóż ja winien?... chłopstwo męczy panycza.

Regimentarz.

Tego chłopca weźcie z mego oblicza,

Bo mię jego twarz czarna przestrasza...

Hura, pany! do pałasza!

W mojem dziecku ratować skrę duszy.

Wychodzi.

Sawa.

Tego trzeba, aż szlachcie się ruszy

I zupełnie pałasza dobędzie.

Wychodzi.

Pafnucy, sam.

Ach! Ukrainy nie będzie!

Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.

Ach! róż polnych z jasną rosą

Zabraknie, bo je ludzie ci kochankom rozdadzą.

Ach! dumy w grobach ucichną!

Bo się pieśni do polskich już rycerzy uśmiechną.

Ach! koniec Ukrainie!

Bo się sztandar szlachecki na kurhanach rozwinie.

Odchodzi.

ZMIANA I.

Przy chałupie popa. Noc oświecona pożarem. Wchodzi *Semenko z chłopami*.

Semenko.

Hej, świat, smutku trumnica! Pod czerwonym pożarem,
Serca nasze pod strachem, duchy nasze pod czarem.
Gonta się nam pokazał przy pożarnej pochodni;
Zabełkotał językiem Taj, wprost piszow do Kodni.
Trzeba, pany sotniki, jeszcze siekier spróbować,
Jeszcze raz przeciw czarom i krwią się rozczarować.
Jutro ja, gospodarze, przypnę czapline pióro,
A popi błahocześni niech wystąpią z proskurą,
Niech nakarmią jak na śmierć krwią Chrystusa umęczoną.
Taj, znów łysną siekiery na pożarach czerwono...
I budem ludźmi — Ojce...

Chłop.

A szczo bude z tą szlachtą?

Semenko.

Rizat'! taj że bude strach to na te pany; dworów blisko
Takie czarne cmentarzysko, kędy żywe trupy stoją
Dzidami wsparte pod boki. Niechaj się zaniepokoją
I otworzą trakt szeroki, sto-milowy trakt czerwony;
Gdzie jak spotkasz gród kamienny,
To uderzy w głośnie dzwony i rozpuści włos płomienny
I żydowskim płaczem wrzaśnie;
A jak chluśniem krwią, to zgaśnie
I przycichnie by mogiła. Strach, panowie gospodarze,
Strach to cała nasza siła. Szczob my mieli czortów twarze,
A z płomieni złotych kryła,
Hej!... a głos z szatańskich krzyków,
Rękawice jak z krwawników, piersi czarne i czuhunne,
Myśli gromkie i piorunne;

Tak świat nasz!... Idcie, sotniki!

Zabawcie's... jaką igraszką, bo ja dziś żonaty z Laszką,

Chciałby tę noc, jak słowiki,

Przepędzić na miłosnych gruchawkach...

Czekać mnie, dolawszy dzbanka.

Chłopi odchodzą — Semenکو stuka do chaty... i wchodzą na scenę
dwie Popadjanki w zielonych sukniach, w złotych kokosznikach.

Semenکو.

Hej, siostry! a cóż ta szlachcianka?

Popadjanka.

Ani usiądzie na ławkach, ani chce pogadać z nami.

Semenکو.

Jakże ona rubinami mogłaby wam co polecić?

Ustom takim tylko świecić i palić się i wyjadać

Serce z piersi, oczy z powiek; lecz nie jęczeć ani gadać,

Bo jękną — to skona człowiek!

Bo poproszą — w ogień skoczy!

Może was o co jej oczy prosiły?

Popadjanka.

Na nic nie patrzy.

Semenکو.

Jakżeby te oczy — ognie patrzyły, duszy nie zjadłszy?

Człowiek się, bywało, wzmognie na moc, na jedno spoj-

Taj te oczy, jak kamienie [rzenie ..

Szmaragdowe, gdy w nich błysnie!

Ona z wami tak umyślnie w słowach i spojrzeniach skąpa

Po spojrzeniach waszych stąpa, a po słowach waszych lata;

Aż ta zczarowana chata mej rusałce, mej dziewczynie,

W pałac srebrny się przekinie,

W zamek z pawich piór i złota...

Czy się ona nie kłopotą o co, siostry?

Popadjanka.

Ciągle wzdycha.

Semenko.

Ach! to uschnie od wzdychania, jak od wonności usycha Kwiat, aż zbędzie malowania i pomięte liście zrzuci... To wzdychaniem się wynuci z całej pieśni, z serca głębi, I serduszko swe zaziębi, i wyszepce słodkie słowa. Dajcież mi ją, bo gotowa, trwogą zaniepokojona, Westchnąć z serca tak, że skona.

Popadjanki wyprowadzają Salomeę z chaty.

Salomea.

Ach! jak straszno! Czy gdzie gore?
Czy to ty, panie Semenکو? Ach! bez męża mi nie skore
Płyną i smętne godziny... Często posunięty ręką
Zegareczek u dziewczyny ukraca długą tęsknotę...
Ale, choć ja słońce złote posuwałam serca biciem,
Choć księżyc wszedł nad futory, psy się odezwały wyciem,
Choć mruczają gdzieś senne znachory,
Nie słyszę mojego pana. Ach! jaka ja jestem biedna!
W chacie chłopskiej sama jedna!
Wraz po ślubie zapomniana i opuszczona po ślubie...
Ja tak tajemnic nie lubię...
Zawsze z ludźmi żyłam szczerze!...
Powiedz, kiedyż mię zabierze
Mój mąż od tych popadjanek?

Semenko.

Nie wiem, panno.

Salomea.

To ty może

Której z tych dziewcząt kochanek?

Semenko.

Brat.

Salomea.

Ach! to ja się założę, że ci one nie do duszy.

Semenko.

Hej! a to czemu, panienko?

Salomea.

Bo każda z nich tak się puszy,
Humor mają kwaśny, dumny. Gdyby mnie dotknęły ręką,
Myślałabym, że już leżę na marach... Ja tobie szczerze
Mówię, gdzie pop, tam i trumna.

Ale nie myśl, że ja dumna, lub z prostoty waszej szydę,
Albo się chłopami brzydę. Ja, bywało, pieśni wasze
I wieczornic słucham lubo; bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze i tam, jak za serca zgubą
Tęsknię, słysząc na torbanie śpiew i tańców tupotanie;
To mi i zapachy leśne i te głosy lecą dźwięczne;
Od smętności — aż miesięczne, z wesołości — aż bolesne;
A od krzyków, niby wściekle, a od ech, długie, rozwlekłe,
A czasem czyste jak ślozy, jak szkło, na serce się leją.
To czasem się mgły odwieją i odwiną srebrne brzozy,
I pokażą mi z kolorów wstążek girlandę upiorów
Lecącą... Czasem z kurhanu, kiedy się futrem otulę,
Patrzę, jak wy na Trzy Króle święcicie wodę Jordanu.
Gdzieś, na srebrnym, rzeczonym łodzie,
Co błyszczy, by złota blacha,
Pop wasz trojgiem światła macha,
Ogniem rzuca po narodzie; z trzema płomieniami w dłoni
To wstanie, to się pokłoni, to się pokłoni, to wstanie,
Aż z wody ognia dostanie zagaszoną wprzód świecą;
I ten ogień mu rozchwycą, rozniosą wnet na różany
Łód, pomiędzy tulipany z chorągwi, gdzie mi w pamięci
Jeszcze dzisiaj widni Święci,
Na dnach złotych malowani, i te popy...

● *Semenko.*

Jak szatani.

Salomea.

Nie, Semenka, każda wiara prowadzi ludzi do Boga.
Tatko mówi: świat to mara! a dobrodziej: śmierci trwoga.
Taj my, bywało, we dworze, kiedy okna śnieg zawali,
Przy tatku kolendowali w srebrne Narodzenie Boże.
Jak pośród małej stajenki pastuszkom strzygącym runo

Zjawiło się pańskie łuno, płomień przezroczysty, cienki,
Od złota, rubinów żywszy; i pastuszki oświeciwszy,
Takim je natchnął weselem, że wybiegli, o dzieciątku.
Co miało być Zbawicielem, rozpytując się po drodze.
A potem, w jakimże kątku, na jakiej oni podłodze,
Na jakich prześcieradełkach, różach, rubinach, perełkach,
Narcyzeczkach i bławatkach,
Przy jakichże biednych świadkach,
W złóbeczku małym przed matką
Znaleźli Pańską Dziecinę! Ach! gdy nam zaśpiewał tatko,
Że znaleźli, to mnie małą dziewczynę
Łzy zalały, dreszcz radosny przechodził,
I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
Chrystus Pan się narodził w stajence!
A dziś, Boże! cóż ze mną się dzieje?

Semenko.

Co mi ten kur ranny pieje?
Ot, nie mogę od łez... Słuchaj panna...

Salomea.

Ach! ja, by świeża dziewanna, obrastałam w kwiatki złote,
A dziś porzuciłam cnotę. Bóg wie, co to jeszcze będzie;
Co się ze mną jeszcze stanie!...

Te wspomnienia, śpiewające łabędzie...

Wchodzi Leon z kością trupa w rękę, ścigany przez kilku chłopów.

Co to jest? w brudnym żupanie

Mój mąż... w błocie cały, bez szabli?

Semenko.

Czy go wypuścili dyabli?

Leon.

Ty podły zbójco! gałganie! chłopie! napadłeś mię w lesie,
Wyrąbałeś mi szwadrony, wiozłeś rannego w kolesie,
Gdzie jęczał szlachcic czerwony,
Gorącą mię krwią oblewał i pode mną jak trup ziewał.
Jeńcem jestem, więc nie będę się targał,

Lecz ci powiem wprost w oczy, żeś szelma!
 Żeś liberyę moją krwią zaszargał!
 Że ten szlachcic, co w oczach ma bielma,
 To twój... krwią cię on swoją zaleje,
 Kiedy staniesz przed Boga jasnością.
 Ot, wy katy! rzezunie! złodzieje!
 Ot ja wolny... i trupa wam kością
 Dam ostatnią i krwawą naukę...
 Łby wam podle na miazgę potłukę!
 Tę kość w moim ręku Bóg zapali
 Jako piorun i będę was gromił,
 Aż się cmentarz pode mną zawali...

Semenko.

Ot się Laszok na krew połakomił.
 Hej... pokornie ja proszę waszmości,
 Daj mi z żonką noc przepędzić miodową.

Leon.

Ot ja przy tej trupiej kości,
 Ty przy szabli -- a tam purpurową
 Błyskawicą pożary nam świecą;
 Tu się tłuczmy, aż łby nasze polecą
 W drobne drzazgi do błyskawic -- i znikną.

Semenko, do chłopów.

Hej! parobki...

Chłopi chwytają Leona za ręce.

Leon, mocując się z chłopstwem.

Włosy wszystkie mi wstaną,
 Wszystkie jak gadziny sykną,
 Wszystkie jako węże świsną,
 Wszystkie jak pioruny błysną.
 A choć członki skrępowane w rękach u czarnych rzezuni,
 To cię włosami dostanę, bo się mój włos rozpioruni,
 Powietrzem ciebie doleci i na węgiel czarny spali,
 A paląc, twarz ci oświeci, abyśmy się raz spotkali,

Nim się napotkamy w niebie,
Raz jak trupy spojrzeli na siebie.
Bóg to widzi, że nie chcę żywota,
Ale śmiercią chcę twej śmierci, gałganie!
Chcę do mogilnego błota w robaków i krwi bluzganie
Zaciągnąć ciebie za włosy, zęby tobie wszczepić w gardło,
Gryźć się z tobą jak połosy, aby się na nas podarło
Ubranie nasze cielesne, a członki same bolesne
Po stepie skakały jak żmije. Ja cię prosto nie zabiję
Za króla złoto i srebro; ale cię kiedyś za żebro
Odwinie, kościo-pióre, siekierą tak odwalone,
Że ma zawiasami skórę, powieszę jak żywą wronę!
Jak ty, krwawy pastwicielu! Na jednym obywatelu
Stawszy się piersi felczerem, usta mu zrobiłeś zerem
I straszną krwawą pustoszą, a ze skór odartych skrzydła,
Które go w niebo unoszą i pół ludzkiego straszycła
Panu Bogu teraz jawią i pośród aniołów stawia,
Strasznym go czyniąc aniołem;
Otóż ja pod twojem czołem,
Jeśli się żywi spotkamy, wygryzę takie dwie jamy,
Aby w nie mózg wolno ściekał, jak ty woskiem powypiekał
U tych dwóch, co na wznak leżą,
Kłębiąc się w krwi jak delfiny,
I bluzg roztopionej cyny na piersiach mają odzież,
Krzyżem i srebrną kałużą, pod którą ciało się dymi.
Więc ja cię, gadzie olbrzymi! nim się duchy przenaturzą
W psa i obłok z krwawej pary, w żebrach ci porobię szpary
I te znituję ołowiem; a jeśli kiedy odpowiem
Przed Bogiem, to wiem, że nie za to.

Semenko.

'Ty mój dobrodzieju!... ty chatą obdarzył mnie i połonką
I znitował mnie z tą żonką, która mi tu pachnie rajem.
'Taj przyszedł... co? z korowajem na wesele twego sługi?
Gdzie krew, to jak wina strugi, gdzie mogiły, jak wyprawa,
Księstwo całe, ziemia krwawa; a pieśń na te zaślubiny
To wasze straszne łaciny, to wasz smętny pacierz laszy.

Co mi głupie chłopstwo straszy, wyjąc w nocy po mogiłach.
 Szczob ty był lwem? przy lwich siłach,
 Toby wczora z twymi pany
 Bił się niepardonowany i krwią las ojcowski zrosił,
 A u siekier się nie prosił, tego był, co dziś, humoru.
 Gdyby ty był człek honoru, toby swą kochankę cenił
 I sługi z nią nie ożenił, wypaliwszy wstydu znamię.

Salomea.

Leonie, mów mu, że kłamie.

Semenko.

Ja twój mąż...

Salomea.

Leonie drogi, czemu ty patrzysz pod nogi?
 Podnieś oczy, w oczach siła.

Leon.

Trzeba, abyś uwierzyła w smoki, że na złocie siedzą
 A piskłeta własne jedzą; w gadziny słońcem rozgrzane,
 Ciałami własnych rodziców na stepach powypasane;
 W upiory, co od księżyców
 Wziąwszy gust do krwi czerwonej,
 Częściej spowinowaconej pragną, niż obcą się mażą.
 Gdy cię te wszystkie przerażą
 Monstra, chodzące w purpurze,
 Czyniące przeciw naturze, by własnej dogodzić strawie,
 Wierz we mnie... i bądź w obawie,
 Czy ja nie gorszy niż one...

Salomea.

Zdrapał rany... ach! utonę w tej krwi...

Semenko.

Weźmijcie ją, siostry. A ciebie, panyczu, ostry
 Topór albo kosa skosi, albo miłość jej od śmierci wyprosi.

Popadłanki wnoszą dó chaty Salomeę. Semenکو za Leonem, prowadzonym na cmentarz przez chłopcy, wychodzi.

A K T IV.

Obóz polski... zdala widać okop czworogranny, oświecony wewnątrz przez chłopskie ogniska... z bukietem lip i cerkwią. — Wchodzi

Regimentarz z garstką szlachty zbrojnej.

Regimentarz.

Przed nami, mości panowie, serce buntu, gniazdo chłopie,
Oto w piaskowym okopie siedzą dymami nakryci.

I gdyby o jeńców zdrowie nie dbać, że będą zabici,
Nim się wedrzymy na wały, dawnobym polnemi działa
Zagrał śmiertelnego marsza. Ale już drużyna starsza
Zaczyna z nami układy, i ciągle lirowe dziady

Włóczą się niby upiory, tych kruków negocyatory,
Kawałki ludu chodzące. Dawniej to, bywało, dziady
Szlachectwu dobrze życzące nieraz brano do porady
I przychodzili zgarbieni, zasiadali rzędem w sieni,
Lub na dziedzińcu pod drzewem;

I tam sobie lirnym śpiewem

Jak kawki, bywało, gwarzą.

Aż pan dziecko wysłe z groszem,

Z pełnym obwarzanków koszem; to dziecinie błogosławią,
Obrazkiem nieraz obdarzą, albo coś o przodkach prawią
Dziwne i ciemne powieści,

Co się potem sniła w nocy dziecięciu.

To, bywało, ze czterdzieści dziadów, o wiosny poczęciu,
Schodziło się nam do domu.

Mój ojciec, niech mu Bóg świeci!

Polecał nie lada komu karmić te dawnych stuleci

Chodzące żywe kroniki, ale zawsze nas chłopczyki

Posyłał. Nie wiem dlaczego, dziś ten afekt ojca mego
Dla dziadów w myślach mi stoi? czy to, że dusza się boi

O syna i przeczuć słucha i ojca też jako ducha

O świętą pomoc uprasza; czy też, że dziwnie myśl nasza

Z wiatrem bożym się odmienia,

Raz pełna w sobie płomienia,

Pewna szczęśliwego skutku...

To znowu, trumnica smutku,

Dusza . . . niespokojna, trwożna,
Jako ślimak w skorupie ostrożna.

Wchodzi Sawa w sukmanie diaczka ruskiego z wertepem pełnym
jasetek na plecach.

Cóż tam, Sawo? czy dobrze wertepem
Oszukałeś to chłopstwo pijane!
Czy im ciągnie jaka pomoc stepem?
Czy widziałeś cmentarze rumiane
Jeńców krwią? Czy mój Lew jeszcze dycha?

Sawa, zrzucając sukmanę.

Dajcie mi pierwszej z kielicha pociągnąć nieco węgryzna.

Regimentarz.

Widziałeś mojego syna?

Sawa.

Zdrów.

Regimentarz.

Czy dociągnie do nocy?

Sawa.

Dęby przetrwa . . . on pełen jest mocy;
Cóż za myśli twe, regimentarzu?

Regimentarz.

Więc byłeś na tym cmentarzu?
Ach, opowiedz, na coś patrzył oczyma.

Sawa.

Dawno już, mości panowie, od Drewiczam się nauczył
Podstępów, różnych maskarad.
Więc i teraz z tym wertepem
Na plecach, udając diaczka, takem dobrze odgrał rolę,
Że jedne tylko sokole oczy na mnie się poznały.
Skoro tylko pociemniały czarne lipy nad cerkiewką,
Wszedłem na wał raźnie, krewko,
Na wał, gdzie przy kołowrocie
Dawniej żebrak lub cyganka
Siedzieli . . . a dziś w ciemnocie

Straszna krwi gospodarzanka,
Rzeź czerwona stoi w dymie pędzonym od Zaporozów.
Bo te zbrodnie tak olbrzymie, ta góra węży i nożów,
Nożów, które w Boga imię poświęcone śród rozruchów,
Mają zaciętą naturę, i okropną świętość duchów;
Bo ten, który mogił górę olśnia, lecz nie wypogodzi
Księżyc . . . i sam przestrach czuje,
Bo z jednego trupa schodzi i na drugiego wstępuje;
Bo jedną porzuci głowę i zdejmie z niej białe skrzydło,
I znów drugie koralowe odkrywa we krwi straszidło,
Gdzie w ranach jak ślepy brodzi.
Wszystko to na myśl nawodzi tę marę wpół obłąkaną,
Niegdyś przed rzezią widzianą,
Na cmentarzach i kurhanach,
W ludzkich ślinach i psich pianach
I zgniliznach i zamachu i w zgrzytaniach i tęsknotach.
Bo przy ukraińskim strachu
Zawsze w miesięcznych pozłotach
Stoi smutek . . . w sercu boli i myśl puszcza w lot sokoli.
Z takim to smutkiem a z ręczne
Oczy posławszy na szpiegi na ciemne wzgórze miesięczne
I krwią zroszone mogiły, aby mi tam wypatrzyły
Na razie ratunku brzegi, wszedłem strachu będąc blisko,
Na to ciemne uroczysko z krzyżami . . . i tam ujrzałem,
Że pomiędzy żywym ciałem
Niektóre resztki z krwawników,
Ciała smętne nieboszczyków leżały, a w oczach próżnych
Nietylko że brakło życie, lecz na miesiąca odbicie
Nie było szkieł; więc się blaski
Po krwawnikach gdzieś kałużnych
Błąkały i szły w roztrzaski,
W garście złota, w kwiaty cudu;
Które pewnie wzroki ludu, co na krwi kałużach wiszą
Obłąkane strachu snami, nazwą krwi tulipanami
I Rusałkom je przypiszą, widząc kwitnące śród cieni . . .
Wszedłszy tam, gdzie mgła jesieni
Mży a liść lipowy cięży i na miesięcowych strunach

Kładzie swoje czarne plamy;
Gdzie gałęzie, jak kłęb wieży
Lecących z piekielnej bramy,
Matki, przy synach ksykunach zatrzymały się i leżą
Na ogniach, jak na piorunach, panując nad horodyszczą,
A patrzą, gdzie żądłem uderzą
I na serce trupów świszczą; spostrzegłem drugi ponury
Tłum, co śmierci się spodziewa. A czasami jeniec, który
Odetchnie śmierci ciężarem, a czasem który zaśpiewa,
A czasem jęknie nad żarem; albo ci nagle z pod nogi
Zawoła kamień czerwony: ratuj! Panie Jezu drogi!
A drugi: bądź pochwalony! I tak to robactwo w próchnie
Szepce; aż z krwawych rozcięków
Straszniejsza głowa wybuchnie
I krzyknie: na wieki wieków! I wszystko na chwilę uciszy.
Tam wśród pijanych towarzyszy
(Miałem go prawie pod ręką)
Twój sługa siedział Tymenko,
Skarżąc się chrapliwie z gardła,
Jak człowiek, co ma suchoty, że małżonka mu umarła,
Że go z tą czernią kłopoty już do syta udręczyły,
Że, ot — wyjdzie na mogiły, każe rznąć obywateli,
Krwawym się przypatrzy pluchom;
A potem, na wiwat duchom
I dyabłem, w łep sobie strzeli i kopnąwszy o płomienie,
Jak szatan światem pomiota. Spojrzałem: a odurzenie
I niepamięć i zgryzota, żył posiniałych napięcie,
Owo straszne przedsięwzięcie pisały na jego twarzy...
Wtenczas ja, mając na straży i pieczy jeńców żywoty
Teatr mój łożówką złoty na srebrnej kurhanów darni
Odkryłem, mości panowie. I na ciemnych mogił głowie
Zjawiłem w mojej latarni to, o czem, jak wiecie sami,
Śni się nam pod mogiłami. I tak do Betleem złote
Oświecone... gwiazdą było rozlewającą tęsknotę,
Słońcem myśli zakrwawionych;
Bo niektórym o domach mówiło,
O dzieciątczkach straconych,

O śpiewanych gdzieś kolendach
I o tych żywota błędach,
Co dopiero przed śmiercią są widne.
Wtem, o panie, na ohydne cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip węzowiska, od kurhanów na kurhany...
Wiodąc światła złotych roje, przez miesiąca ołowiany
Blask... sunąc chorągwi tęcze
Na wieczności gdzieś pokoje snujący złote obręcze
Waż... pogrzeb wioszczany, lichy,
Pachnący czarnym jałowcem
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę bez żadnej pychy, ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalje; jasną... bo w niej anielica
Ubrana jak na batalje z piekłem w słoneczności lica
I w niewinności ubiory i w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży, leżała.
A skoro mary wstąpiły na cmentarzysko,
Ruszył się Gruszczyński stary,
Prawdziwe dla mnie zjawisko
Krwawego z pod grobu trupa,
Za którym czarna wron kupa
Upędza się, goni i wrzeszczy.
Przybiegł, obaczył te mary
I... jak dąb, co w sobie zatrzeszczy,
Powieje liścia sztandary, pokłoni się światu — i runie,
Tak on na tej białej trunie, gniotąc narcysowe pączki,
Leżał, głową powalony na obrazek umarłej i rączki.
Z drugiej strony zaś syn twój szalony,
Z równą, zdaje się, żalością
Przybliżał się z trupią kością, białą, w ręku podniesioną,
I z taką twarzą szaloną, że strach nam serca zamroził;
Bo zdało się, że obłokom, gwiazdom, latającym smokom,
Chimerom, aniółom groził; że oczyma niebo ranił
I tą kością szatanom hetmanił.
Nie wiedziałam, co wszystko to znaczy;
Aż twój syn padł na kolana i w piekielnika rozpaczy

Zaczął siebie sam przeklinać.
Dajcie, krzyknął, nóż starcowi!
Jeśli kto tu ma zarzynać? jeśli wy zarznąć gotowi
I oblać się juchą krwawą, to on większe ma tu prawo
Mścić się... bom uwiódł mu dziecko
I to dzieciąteczko cudze darowałem memu słudze,
Zrobiłem córką zbójceją; tak, że ją rozpacz rozdarła
I oto leży umarła, jasna jak zwiędłe lilije,
Ludowi temu w podziwie. Niechaj starzec mnie zabije
A uczyni sprawiedliwie. Puście! proszę was z litości,
Jeśli nie chcecie dać noża, ja mu pożyczę tej kości;
I będzie jak ręka boża, którą ja zgonem uświęcę,
Jak dłoń boża, w ojca ręce
Jak grom... Tu przerwał Gruszczyński,
Równie zdając się szalony: co to za szatan czerwony,
Krzyknął, ów człowiek przede mną?
Czy jaki duch ukraiński z szatą gwiazdzistą i ciemną,
Który mi tu płakać broni? i stoi z piorunem w dłoni?
Z włosów swych uczynił gady, grożąc mojej córce bladej,
Która jest aniołów panią; i nie daje mi iść za nią,
Sił ostatecznych pozbawia i krzyżem drogę zastawia.
O! bo tam krzyż z wielką gwiazdą,
Krzyknął, biorąc nas za świadki...
Na nim pelikana gniazdo karmiącego krwią, swe dziatki;
A z Chrystusa krew wytryska coraz jaśniejsza i bledsza,
Aniołkowi wśród powietrza lejąca się w puchar złoty.
O! Chrystus i różne zjawiska
Jawia mi się wśród ciemnoty, i przejęty jestem trwogą;
Ja nie mogę zabijać nikogo...
Tu mu głos twojego syna przerwał: jeśli widzisz Pana,
To Pan mię pewno przeklina; bo dusza zaturbowana
W oczach moich teraz stoi i nie widzi i Boga się boi.
Tak ci gadali do siebie przez trumienkę otworzoną,
Gdzie z narcysową koroną będąca na swym pogrzebie
Srebrna dusza pewnie onych mów się przelekła szalonych,
I od takiej świata lutni, i od takich męki krzyży
Uciekała coraz smutniej, uciekała coraz wyżej...

I nie mogłem się obronić, aby nad nią leż nie ronić,
Nie zatrzymać w myśli rysów,
Nie żałować tych narcysów...
Co się z temi ludźmi stało dalej? panie, nie wiem wcale.
Bo mię jeden z brodą białą dziad w wielkim duchu i szale
Uderzył tam po ramieniu i nazwawszy po imieniu,
Odwiódł od umarłej dziewczki i od obłąkanych ludzi
Do jednej pustej cerkiewki,
Gdzie... co mówił... to wam uszy utrudzi,
Bo wy gadek nie znacie stepowych.

Regimentarz.

Ach, rzeczy piekielnie nowych powieść twoja pełna, Sawo...
Mój syn z tą kością plugawą, mój syn, mówisz, waryatem?
A starzec nie chciał być katem,
Pomnący na pokrewieństwo przyjaźni, co nas łączyła;
A może też przez szaleństwo, a może wzgarda to była
W szatę szaleństwa ubrana, ach! i tak zamaskowana
Zdała się tobie waryacyą?
Ach! przed tym okopem klęczę

Kłeka.

Jak przed kalwaryjską stacyą i do Pana mego jęcę
W ufności i w krwawym żalu. Mogiło! krwawy koralu!
Krwia mego dziecka oblana! patronuj za mną do Pana!
Przemów krwi modlitwą ciemną!
Niech się zlituje nade mną!
Cóż to jest?... ktoś na okopach?

Pokazuje się na okopie w powietrzu mglistem Gruszczyńskiego duch.

Duch.

Gońcie! bo na czarnych chłopach
Krew nasza!... powietrze rwiemy!
Gońcie! bo poszalejemy! bo nam na błękitach krwawo!

Regimentarz.

Czy widzisz go?

Duch.

Sawo! Sawo!

Znika.

Regimentarz.

Czy go słyszysz?

Sawa.

Wernyhora prawdę zapowiedział wczora;
Ten krzyk, to jest nasze hasło...

Regimentarz.

Powietrze czerwone zgasło i zniknął ten człowiek stary,
Skrwawiony.

Sawa.

Czekano tej mary na Ukrainie u ludu...

Regimentarz.

Niema w tem żadnego cudu.
Gruszczyński o pośpiech woła...
Każ uderzyć do kościoła z hakownic... aż srebrne gonty
Polecą na dachu zrębie i pierzchną niby gołębie
Chmurą białą... niby świstki,
Na których nasze afronty spisane...

Sawa.

Lub jako listki ruszone z białych narcysów...

Regimentarz.

Hej, Orel... burkę z tygrysów...
I szablę... Do szturm, panowie!
Kto żyć będzie, ten jutro rozpowie
O dzisiejszej godzinie kobietom...
Reszta szablom i końskim kopytom.

Wychodzi, za nim Sawa i cała szlachta.

ZMIANA I.

We dworze regimentarza. Wchodzi *Księżniczka* i za nią *Anusia*.*Księżniczka.*

Ach, Anusiu! Anusiu!

Anusia.

Co, panno?

Księżniczka.

Gruszczyńskiego duch mi się pokazał.

Anusia.

Być nie może.

Księżniczka.

Z piersią krwawą i ranną
Cicho stojąc, na powietrzu namazał
Krzyż czerwony i zniknął.

Anusia.

Horory!

Księżniczka.

Przepowiednia się, ach! Wernyhory
Sprawdza na mnie...

Anusia.

Niech się modli panienka.

Księżniczka.

Jeszcze krwawa i ognista ręka
Musi oddać mi ślubny pierścionek.
Widziałam już pierwszą marę.

Anusia.

Zmów panienka choć kilka koronek;
Uczyń z czego serdeczną ofiarę.

Księżniczka.

Ach! z rozumu ja i śmiechu ofiarę już uczyniłam.
Jak płótno jestem na blechu pokrwawione ducha dłonią;
Z oczu się jego napiłam światła, co nad świętych skronią.
Dowiedziałam się z postaci,
Że człowiek nic w grobie nie traci,
Widząc go w złoconym pasie, może z ognia robaczliwych,
Każe się pogrześć w atlasie, w kolorach nielitościwych
Dla serc, które teraz jęczą: i po śmierci będę tęczą,
Jeśli Pan Bóg pozwoli, od topoli do topoli
Na cmentarzu pajęczyną z róż, brylantów i motyli...
Przez którą przejdą niemili, a mili tak się owiną,
Że wiecznie ze mną zostaną... Ach, Anusiu, jutro rano
Los mój się rozwiązać musi
Tak jak dumka śpiewana na Rusi.

Wychodzi z Anusią.

ZMIANA II.

Przy cerkwi pod lipami... *Leon* z kością w ręku, obłąkany na twarzy... Wbiega *Semenko*.

Semenko.

Złociste Lachów sztandary gnają wiatr... i dym, i krew.
Leci z szablą pan mój stary, złoty jak kudłaty lew;
Ołowiany ja mu grad ze szturmaka sypnął w brzuch,
Taj nie zadrżał i nie padł
I zdjął mię strach. Szczo ty za duch?

Leon.

Przysięgam na blask księżyca,
Żem nie człowiek, ale lwica;
Żem nie człowiek na cmentarzu,
Ale śmierci herb w herbarzu;
Na czerwonym polu stoję i złotych się gwiazd nie boję,
Nie boję się twojej spisy.

Semenko.

Ach, daj paść na jej narcysy i umrzeć.

Leon.

Nikt nie umiera, ale piekło się otwiera,
Gdy w bramy stukam tą kością.
Widzisz tam, pod lip ciemnością
Postacie widać piekielne, o drzewa poopierane.
Powietrze jak ołowiane, a deszczem gonty kościelne,
Lecące jak śniegi białe, na ogniu i krwi stopniałe,
Węży sinych bielą kuszcze...
Precz do piekła! bo do cerkwi nie puszczę.
Bo tam teraz z wielką ciszą dusze umęczonych wiszą
Na krzyżach i Boga chwala, a słońca jasne się palą
Koło ich głów jak tarcze złote.

Semenko.

Miałby ja teraz robotę, gdyby z waryatami gadał;
Puskaj w cerkiew.

Leon.

Na pierś skoczę i będę oczy wyjadał.

Semenko.

Strach ty... lecz ja w tobie umoczę
Moją spisę aż po dłoń...

Leon odbija spisę kością... i wlatując na Semenkę, obala go na
ziemię i dusi.

W rękach mam twe gardło i skroń, a co?

Semenko, przyduszonym głosem.

Dusysz mene, panyczu!

Wbiega regimentarz na czele polskich żołnierzy.

Regimentarz.

Co za widok? mój synu! mój synu!
Patrzcie! na jego obliczu obłąkanie; jedna ręka
Potrząsa palce z rubinu, a w drugiej kość ludzka się pęka
W drzazgi, a wzniesione brwie.
Mój synu! mój drogi! mój Lwie!
Ach, co za okropny los!...

Leon, wstając i przychodząc do zmysłów.

Co to jest? ojcowski głos?

Regimentarz.

Poznał mnie... weźcie go stąd! tu jeszcze kule świegocą.

Wyprowadzają Leona.

A jutro rano na sąd dostawić tego zbrodniarza.

Pokazuje na Semenkę.

Żyły mu w gardle charchocą, oczy wyszły z wirydarza
Czaszki, jak dwa blade króle
Pełne przestachu, w purpurze,
Kiedy Pan ludów na chmurze napisze słowo stracenia.
Wziąć go... i w mojej szkatule
Znaleźć co do otrzeźwienia, a zdrowego mi dostawić;
Bo ja się z nim będę bawić jak kot z myszką.

Wchodzi Sawa.

Cóż za wieści?

Sawa.

Pałasz mój do rękojęści czerwony krwią mego ludu.
Podobnie się nam do cudu ta krwawa walka powiodła,
Ani jeden z nas nie zginął...

Regimentarz.

Ten dzień wiecznie będzie słynął,
Bo mię Pańska nie zawiodła łaska, syn mi się odrodził,
Zmartwychwstał na moje słowo. Co rok to będę obchodził
Jak wielką fetę domową i aniwersarz rodzinny.

Sawa.

Do końca muszę być czynny i kopnąć się dziś z wieczora,
Bo nam zniknął Wernyhora z ciałem umarłej dziewczyny.
A teraz jasno to widzę, że on rozhukane gminy
Utrzymywał z sobą w lidze,
Z duchami wiązał w sojusze; aż go święte jakieś dusze
Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
Że dziad uciekł na mogiły.

Regimentarz.

Ruszaj w pogoń, bo te trądy trzeba zupełnie wyleczyć,
A choćby ziemię skaleczyć
W leczeniu, wrzód wyrznać trzeba.
Jutro rozpoczynam sądy,
Gdzie dom Gruszczyńskiego z nieba
Będzie mi adwokatował... Bom go już zastawszy trupem,
W martwe czoło ucałował
I przyrzekłem, że kruków go łupem
Nie zostawię i beze mszy żałobnych,
Ale go do dziatek drobnych przybliżę... i niech uśpiony
Położy się obok żony i u nóg staruszki matki...
A waść jemu przynieś kwiatki, ciche kwiatki narcysowe
Pod srebrną staruszka głowę...
To i wszystko w ciemnym grobie
Znajdzie ten człowiek przy sobie...

Sawa.

W tem ci najwierniej usłużę,
Kładąc w tok kurenne spisy, ale ty mi za narcysy
Będziesz musiał oddać róże. Do jutra, regimentarzu!

Odchodzi.

Regimentarz.

Pokój duchom na tym smętnym cmentarzu.

Wychodzi z rycerstwem.

A K T V.

Sala we dworze regimentarskim, przybrana posępnie jak na sądownictwo, oświecona jarzącem światłem. Wchodzi *Księżniczka* z orszakiem panien respektowych, bogato ustrojona.

Księżniczka.

Jaki jęk na dziedzińcach! Jak płaczą młodyce!
Klną stepowe księżyce i słońce i rwą włosy.
Ile krwi w Ukraińcach, tyle teraz tu rosy
Wyleje się na kwiaty, astry, gwoździki, róże.
Gdym wyszła na podwórze, zobaczyłam i katy
Okropne i czerwone, nie wiem skąd przywiezione.
Ach! a ze mną co będzie? czy jak srebrne łabędzie
Spłynę na krwi czerwieni? czyli mi się odmieni
Ten skrwawiony poranek w wieczór słodkiej tęsknoty,
Cichy, księżycem złoty, tak miły dla kochanek!
A dla pijaków panów tak wesoly po wojnie!
Świecący tak spokojnie dla starych gdzieś kurhanów!
A dla dziś osądzonych, mogli świeżo czerwonych
Taki pełny spoczynku! Włos mam w listkach barwinku
A chociaż z wrózek szydę, taką się dzisiaj widzę,
Jaką się, ach! widziała w przyszłych myśli szafirze,
Kiedym dziesięć lat miała,
A dumkarz grał mi dumki na lirze.

Wchodzi regimentarz, Leon, sekretarz sądu i orszak szlachty.

Regimentarz.

Czemuś, moja panno, dziś nie w czerni?
W dzień tak straszny, tu, gdzie kryminały

Będę sądził... Towarzysze pancerni
 Zasiadajcie... Żupan wdziałem dziś biały,
 Gdy go zrzucę, to będzie czerwony...
 Kazać w cerkwi uderzyć we dzwony
 I wprowadzić tu herszty rzezunie.

Zasiada na krześle... Polscy wojacy wprowadzają okutego w łań-
 cuchy Semenkę i kilku z naczelników rzezi.

Pierwszy z chłopów, kłaniając się.

Daruj, pane!... Taj czart niechaj splunie
 Czarną krew, co my z panów wylały.
 Taj bądź ty nam jak car biały,
 Bądź litosny.

Regimentarz.

Bóg to widzi! nie mogę.

Uderzyliście w trąby na trwozę,
 Zapaliliście wioski i dwory,
 Świat was widział jak krwawe upiory
 Tańczące w pożarach, ohydni!
 Niech wam Pan Bóg po śmierci rozwidni
 Piorunami i drogę pokaże...
 Ja nie mogę... ja was śmiercią ukarzę,
 Jako wężom jad czarny odbiorę
 A na waszę udaną pokorę
 Nie uważam... Ściąć im łby, i w kawały
 Poćwiertować...

Chłopy.

Taj szczob bisy prokłały

Twij dom czarny.

Regimentarz.

Exekwować ich zaraz.

Do Semenki.

A ty?

Semenko.

Ze mną nie będzie ambaras,
 Cienką szyję mam...

Regimentarz.

Słuchaj, Semenکو, jak ty jeszcze tu niedawno
Mój chleb jadł!...

Semenکو.

Taj mi niestrawno.

Regimentarz.

A dzisiaj pod kata ręką? pod ręką sprawiedliwości?..

Semenکو.

Taj proszę ja jegomości o śmierć, a nie o naukę.

Regimentarz.

Znałem cię za śmiałą sztukę; lecz za takie dyable szczenię
Nie mógłbym nigdy osądzić. Jak ty mógł tak rozporządzić
Buntem? i takie płomienie zapalić?...

Semenکو.

Jak?... Sercem, panie...

Regimentarz.

Syna ty mego, gałganie, jak smok uwiodłeś na zgubę...

Semenکو.

Oj, dzieciątko twoje lube! jemuz to i rosa szkodzi!...

Nie czart... no, on czarty wodzi.

Szczob ja jego miał był oczy,

Jego serdeczną przynętę, byłby ja wiódł życie święte,

Uciekł z nią do Pawołoczy. Byłby ja gdzieś o hetmanach

Śnił na trawie, na kurhanach, choćby przyszło pod Kozyrą

Zostać w Siczy tabuńczykiem, albo lud obchodzić z lirą;

Byle nie być niewolnikiem, nie żyć sercem przez połowę,

A położyć dumną głowę na kochanki wierne łono.

Że ja nie z tą się koroną co twój syn urodził, panie,

Toż ja za to na majdanie

Stał jak czart w pożarach czarny;

A dziś ty mi, pan bezkarny, w domu twoim zetniesz głowę.

No, zobaczysz ciało zdrowe, żyły jak krwią jasną trysną;

No, zobaczysz, jak się ścisną moje zęby a nie zgrzytną;

No, zobaczysz twarz błękitną, a nie strachem śmierci bladą;
 No, rozporzesh przed gromadą i rozedrzesz na dwie szmaty:
 Taj poznasz, że ja chłop z chaty,
 A nie tchórz na dokumentach.

Regimentarz.

Myśl teraz o Sakramentach,

Semenko.

Pan Bóg bez tego oczyści.

Regimentarz.

Cherubinowie ogniści najczystsze duchy uwodzą;
 Lecz kto stoi aż do końca pod aniołów takich wodzą,
 Ten zaprawdę nie wart słońca. Semenکو, ty Boga blizki,
 Zamódl-że się teraz w duchu... Zakneblować jemu pyski,
 Nogi zostawić w łańcuchu, zawiesić mu kir na czoło,
 Ręce wzniesić, słomą okręcić i całego oblać smołą;
 Potem przez księdza poświęcić, i czarną figurę smolną
 Podparłszy, gdy zechce się walić,
 Na samym wierzchu — zapalić
 I przez wieś prowadzić wolno, jako świecznik zapalony:
 A ciągle niech biją w dzwony, póki zgore żywa świeca,
 Okropna ludu gromnica, świecąca buntu trupowi.

Wyprowadzają Semenkę.

Księżniczka, do regimentarza.

Ach! strach mię przeleciał mrowi! Panie!

Regimentarz.

Cicho mi bądź, dziewczko, bo ci żupana podszewką
 Krwawą zamaluję usta.

Księżniczka.

Ach, blada jestem jak chusta! jaka to czarna godzina!

Regimentarz.

Sąd się od drugich zaczyna a zakończy się na sobie...
 Wiedźcie zaś, że to, co robię w imieniu swoim i syna,
 Z aniołów idzie nakazu: którym nietylko wyrazu
 Wnętrznego trzeba od ludzi, lecz i kształtu, co żal budzi,

Skruchą serce zadawalnia,
A przed sądem już aniołów uwalnia.

Daje rozkaz, wnoszą ciało Gruszczyńskiego i opierają trupa na krzesło, z którego zszedł regimentarz; ten zaś, wzięwszy syna za rękę, klęka przed umarłym i mówi:

Szkolny mój niegdyś kolego, przyjacielu dziś nieżywy,
Tyś był zawsze sprawiedliwy; sądz mnie i syna mojego.
Zaprawdę! obaśmy winni! ja twojej, człowieku, zguby
A on hańby: my istynni zabójce twojej rodziny.

Choć w tobie już żadne śruby martwej ręki nie poruszają,
Weź ten miecz ognisty duszą, jeśli to uczynić zdolna,
I na karki spuść nam zwolna

I każ odnieść na swój cmentarz.

Boś ty wielki Regimentarz, sędzia Pana Boga święty;
A my twoje delikwenty leżym w prochu... zetnij! zetnij!...

Lecz co mówię? przebacz stary.

Ja wiem, żeś ty, pełny wiary,

Od nas czystiej żył, szlachetniej...

Czy ja cię nie znam, człowieku?

Starego druha i kuma? Czy ja nie wiem, co trup дума?

Trup, jednego ze mną wieku, trup, jednego ze mną serca,

Jak ja niegdyś śmiały, butny, jak ja teraz blady, smutny,

Na tym krzesle zamysłony.

Wstaje i mówi do przytomnych.

Panowie! ja nie morderca... Oto boleścią szalony

Rzucam się w okropnej męce przyjacielowi na ręce...

Czy nie widzicie, że ściska, że ściska mnie, nie odpycha?

Ta twarz jego smętna, cicha,

Patrzcie, niby słońcem błyska.

Wzywam was wszystkich na świadki,

Że to jak twarz smętna — matki,

Nie twarz, która sądem grozi...

Jeden ze szlachty.

Ten trup powietrze zamrozi...

Daje znak i wynoszą umarłego.

A ty, nasz Regimentarzu, ze smętnych myśli otrzeźwij

I z żywymi staw się rzeźwiej.

Regimentarz.

Coraz więcej na cmentarzu mogił, a śmierć ciągle kosi,
 I tam wszystko się przenosi a tu coraz puściej co dnia;
 I dla nowego przychodnia coraz obszerniej przy stole...
 Sumienie zaś w sercu kole. I to najgorsza z boleści!
 Najstraszniejsza! jak widzicie,
 Gdy człowiek leż w oczach nie zmieści,
 Smutku nie dożyje skrycie; ale żal otwarcie głosi,
 Na zimne kamienie pada i o przebaczenie prosi,
 A śmierć mu nie odpowiada, cichą będąc tajemnicą.
 Więc tak pogodziwszy siebie z tą jasną duchów różycą,
 Która pośmiertny na niebie kościół osłonecznia nieco,
 By się oczy ducha pasły blaskiem serc, które tu zgasły,
 A w anielskiej róży świecą... Wiem i to, że mi koniecznie
 Z światem się godzić należy
 I biedz razem, jak czas bieży,
 Bo stanąć jest niebezpiecznie, ...
 Jakoż pogrzebowe świeczki
 Gęstym zagasiwszy płaczem, afektów będę tłumaczem
 Mego syna dla księżniczki.

Księżniczka, na stronie.

Otóż znów z pod rysiej burki szlacheckie pokazał ucho.

Regimentarz.

Mogę cię imieniem córki powitać? mogę z otuchą
 Wnosić, że mi jedynaka uszczęśliwisz?

Księżniczka.

Ja niezmienna.

Regimentarz.

I cóż?

Księżniczka.

Ja zawsze jednaka.

Regimentarz.

Zgadzasz się?

Księżniczka.

Jestem kamienna, nieskruszona.

Regimentarz.

Pókiż tego?

Księżniczka.

Aż pierścienia czerwonego dostanę...

Regimentarz.

Dalejże, synu! pierścień z jasnego rubinu

Wypal na bielutkiej dłoni pocałunkiem, aż się skłoni

Być twoją...

Leon.

Mój ojciec drogi, pozwól, żec uścisknę nogi

I powiem także tej pani pokornie, żem nie jest dla niej

Dzisiaj nic więcej prócz brata i sługi...; bo także muszę

Odejść od krwawego świata i za tamtej pani duszę,

Przysypany od popiołów, odpokutować w klasztorze.

Bo moje serce nie może, przekłete raz przez aniołów,

Ofiarować się nikomu.

Regimentarz.

Jakiś czar na moim domu... Lękam się, że runie w gruzy.

Księżniczka.

To jest coś nakształt rekuzy,

Nakształt grochowego wieńca.

Regimentarz, do syna na boku.

Patrz na nią, w zorzach rumieńca stoi napół zagniewana,

Jak księżyc srebrno-różana; w koronie ze złotych szpilek,

Na których siadają kwiatki, jak przy motylku motylek,

A spodem buk i bławatki ciemności rzucają silne,

Alabastrem lic przychylne, szmaragdom oczu zazdrosne,

Rubinom ust nieszkodzące. Patrz, te piersi, dwa miesiące

W staniku ze złotej lamy: dwa słońca, dwa kręgi głośne,

Które, gdy jej ust słuchamy, one do ust niosą głosy,

Jak harfy sercem dotknięte. Patrz na jej leciuchne włosy

Z pod zieleni... Na te wcięte a pełne tajemnych zacisz

Gorsy, te labędzie chody... Patrz i pomyśl, co ty tracisz?
Na Boga! gdybym był młody,
Pomyślałbym o tem dwa razy.

Księżniczka.

Ach! senne moje obrazy biorą kształt.

Wchodzi Wernyhora w płaszczu dziada z lirą.

Regimentarz.

Czemu tu gwary ucihły jak wroni skir?
Co to za siwy dziad stary? Wygląda jak dawny król Lir.
Parobku, z jakiej ty chaty?

Wernyhora.

Z mohił, panie.

Regimentarz.

Bardzo wierzę, boś podobny do upiora.

Wernyhora.

Ja stepowy Wernyhora.

Regimentarz.

Szukają ciebie rycerze.

Wernyhora.

Rycerze błędzą po drodze, ja sam na słowo przychodzę.

Regimentarz.

Więc jesteś mi w domu święty. Siadaj, staruszk, na ławie.

Wernyhora.

Za żadne ja dyamenty z wami długo nie pobawię,
Nie usiądę tu na ławie jako człowiek z wami bratni,
Bo ja lirny król ostatni; pójdę... duchy jak zórawie
Odprowadzać do hetmanów. Słyszeli wy, jak z kurhanów
Dobyl ja stepowej liry? jakie płacze, jakie skwiry
Wron i orłów słyszać było, gdy ta lira, pod mogiłą
Ręką Lacha zakopana, odezwała's z pod kurhana
W blask miesiąca czerwonego: jak córka do ojca swego,
Jak zaklęta upiornica, jako Lachów niewolnica,

Jak duch srebrny do księżyca. A gdy ja rozkopał doły
I przytulił ją na rękę, słyszał jej duch cały w brzęku,
Jak pierś u brzęczącej pszczoły;
A gdy otrząsł z niej popioły
I w klawisz ręką zatętnił, to się ja sam aż zasmętnił,
Usłyszawszy pierwsze granie i rozplakał na kurhanie,
Jakby w księżycowym raju. Wże ja teraz ne zahraju,
Panny!... idę w sen, na ciszę!... Oj liro! twoje klawisze,
Gdzieś ze srebra dawniej lane, nogą pieśni wydeptane,
Jakby stare sęki drzewne, i kamienie przedcerkiewne
I zapadłe w dół mogiły świadczą, że pieśni chodziły
Po klawiszach, pieśni chyże i siadały na sen w lirze,
W krąg siadały pieśni tłumy; posążnice — stare dumy,
Piorunnice — stare krzyki, szumki lotu — konie kare,
Szumki płaczu — dum słowiki, błyskawice — myśli stare,
Rusałczanki — dzwony szklanne,
Smętne dumy podkurhaune,
Kędyś aż od Zaporoża. Taj dla wszystkich dom uprzejmy...
Siadą w lirze, jak na sejmy; a pośrodku duma boża,
Krwia Chrystusa purpurowa, siedzi jakby dum królowa
I radzi świat podbić cały... Darujcie, pany, ja biały
Dziad... ja trochę szalony, może co złego powiedział?

Regimentarz.

Zagrałeś nam w dziwne tony, jakby na kurhanie siedział.
Czego chcesz? tłumacz się jaśniej.

Wernyhora.

Pane, ot po krwawej waśni, gdyś ty ludu krwią czerwony,
Przyszedł ja ci w moje dzwony
Zagrać głucho, tuż nad uchem
I pożegnać ciebie duchem mego ludu.

Regimentarz.

Gdzież idziecie?

Wernyhora.

Ot ja, panie, miał na świecie jeden futor gdzieś pod borem:
Dom bez złota, adamaszków, i trzy brzozy pełne ptaszków,

I trzy źródła pod futorem, jak ze srebra tarcze lane,
 Jak kąpiele rusańczane. Taj póki lud był szczęśliwy,
 Póki duch żył, ja był żywy,
 Teraz, pane, Boh ze mnoju! . . .

Regimentarz.

Czegoż ty chcesz?

Wernyhora.

Ot w pokoju rozstać się z wami, panicze.
 Jeszcze spojrzeć wam w oblicze, aby zapamiętać długo
 Duchom, szczo was proklinaje . . .

Regimentarz.

Mój staruszk, czas nastaje, że nie będąc naszym sługą,
 Możesz sicho zostać z nami . . .

Wernyhora.

Szczo? ja, batku? trup z trupami?

Regimentarz, do szlachty.

Dumny szelma!

Wernyhora.

Ja szalony! może ja głupstwo powiedział . . .
 Przez dziedziniec wasz czerwony
 Jam szedł i drogi nie wiedział,
 Choć dwór widział odemknęty;
 Aż mi jeden człowiek ścięty poswytył łbem aż do sieni . . .

Księżniczka, zbliżając się.

Ojczy! ach, my przerażeni
 Twemi słowy, wszyscy smutni;
 Zagraj nam lepiej na lutni jaką piosenkę z księżyca.

Wernyhora.

Szczo heto za Anhelyca? Ach! ja do niej, idąc w lesie,
 Szedł jak gdyby w interesie. Panno, nie chodź mi od boku,
 Bo mi widy jakieś w oku błyszczą, serce drga jak struna.
 Ja odzyskał sen Widuna, patrząc w lice tego dziecka.

Kto ty? czy ty Wiśniowiecka? czy pamiętasz tego dziada,
Co, bywało, tobie gada śród pasieki dumy stare?
Co, bywało, ciebie senną na łóżeczko, pod kotarę
Nosi i tam, jak kamienną, uspioną dumami kładzie?
Czy pamiętasz, co ja w sadzie
Wróżył tobie na dzień ślubny? że to ludu mego zgubny
Będzie dzień... jak pożar krwawy...
A w pożarach żywa świeca; a koło niej lud ciekawy,
A ona aż w twarz księżycy tryskająca krwią czerwoną,
Aż na twoje tryśnie łono.

Księżniczka.

Ach! pamiętam, i cóż dalej?

Wernyhora.

Taj gromnica gdy się spali pod szablicą pana Sawy,
Przyjdzie i Franciszkan krwawy,
Pasem się krwi przewiązawszy,
Niosąc pierścień jeszcze krwawszy.

Księżniczka.

Ach! pamiętam Franciszkana! widzę nawet jego rysy.

Wernyhora.

A potem družka ubrana w srebrne, podśnieżne narcysy,
Przyjdzie družka, trupie ciało...

Księżniczka.

Ach! pamiętam družkę białą.

Wernyhora.

A co pierwiej?

Księżniczka.

Ach! nie pomnę.

Wernyhora.

Przed mężem, księdzem i druchną?

Księżniczka.

Ach! jakieś blaski ogromne, dary, świecące jak próchno,
Ślubne moje podarunki!

Wernyhora.

Podobna ty do Widunki! Wszystko sen i prawda szczerą!
Pierwej... moja srebrna lira rozbita i odemknięta.

Plucze lirę o podłogę i wyrzucone z niej papiery oddaje księżniczce.

Wyrzuci te dokumenta, które ja krył, póki sądził,
Że Sawa będzie hetmanem. A teraz ja rozporządził
Wszystkiem, nad czem ja był panem:

Lirą, pieśnią, wychowanką i hetmanem i hetmanką;

Taj wychodzę z szlachty proga,

Jak wszedł — a nie bez łez, pany,

Bo ja z wami chleb łamany, od jednego dany Boga,

Długo jadł — aż zęby stracił.

Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił za jadło i za gościnę...

Regimentarz.

Gdzież idziesz?

Wernyhora.

Na Ukrainę.

Księżniczka.

Czy to prawda, że po ciebie koń jakiś biały przyleci?
Koń, co po mogiłach grzebie, okiem rubinowem świeci;
Jakiś dziwny koń piekielny, mówią, że koń nieśmiertelny?

Wernyhora.

Ja nie wiem, tak pieśni głoszą.

Księżniczka.

Gdzież takie konie unoszą,
Powiedz?... bo ja będę wiodła długo za tobą oczami...
Bo mi w oczy sypnął skrami,
Smutkiem nappełnił nieznanym
Ten koń z lirą grającą u siodła
I z dumkarzem zapomnianym ulatujący na wieczność.
Czy tam jaka pół-słoneczność
W tych mgłach? czy tam ciągle strachy?

Wernyhora.

Każdy kwiat ma swe zapachy,
Każdy duch swój wid pół jasny,
Każde serce swój strach własny,
Każdy orzeł lot przelotny; a ja wiem, że ja samotny,
Jak ty głosiem to wywiodła, przez piekielnego rumaka
Porwan... wściekły... bez czapraka,
Z lirą grającą u siodła, umarłe trzaskając kości,
Polecę w niespokojności, w strachu, w żalu, ale w mocy.
Aż kiedyś, gdy na godzinie stanie miesiąc o północy;
To koń znowu z siodła skinie mego ducha na kurhany.
Taj znów zagra dziad z powagą;
Taj znów jęknie... a kto zna go,
A kto słyszał poza światem
Pryde — w łańcuch zórawiany,
Pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
Pryde — z serca pić jak z czary,
Pryde — z piersi czerpnąć wiary,
Pryde — iskry wziąć z ogniska.
Ten dziad, co tu lirę ciska jak fałszywą sorokówkę,
Taj z trupami na wędrówkę
Wietrznym koniem teraz pędzi,
Naprowadzi wam łabędzi i rycerzy i hetmanów.
Taj słuchajcie, gdy z was panów
Budut' trupy, budut' hlazy,
Taj gdy się wasz trup trzy razy,
Pod mogiłą rwąc do sławy,
Znów przewróci na bok krwawy;
I pomyśli, nędzarz boży, że i piorun nie otworzy
I nie zdejmie wieka z truny,
Taj świat przeklnie i piorunny;
To jak stanę ja, dziad rzewny,
Jak mu ręce lżą uroszę, po żebracku jak poproszę;
Jak ja lirę upokorzę i na sercu mu położę
I do czoła mu przycisnę, i przeszłością w oczy błysnę,
Starych dum nasypię w uszy;
Klnę się na duch! że się ruszy,

Taj swą twarzą księżycową spojrzysz na was jak upiory...
Otóż macie moje słowo, macie dumę Wernyhory.
A stepowe gdzieś miesiące
Wiedzą, o czym ja nie wiedział;
Czemu ja przez usta klnące
Wam przekleństwa nie powiedział.

Księżniczka.

Stój... Więc Polska?

Wernyhora.

Ja stepowy dziad, panienko... ja nic nie wiem.

Księżniczka.

Mówią, że kopiec grobowy,
Gdzie ty zaśniesz pod modrzewiem, zniknie?

Wernyhora.

Moja panno miła, mówią, że zniknie mogiła,
Ja nic nie wiem. Czas pokaże.

Księżniczka.

Weźże ty ode mnie w darze tę zausniczkę z turkusa;
Jak twój srebrny koń da kłusa
Tu z powrotem, na kurhany,
Czy po wiekach, czy po latach,
To mi, staruszkule kochany,
Dasz ten turkus i przypomnisz pasiekę,
Gdzie ja, bywało, na kwiatach pod piastunką się opiekę
Uciekałam... gdyś ty gadał o marach.

Wernyhora.

Ot, panienko... młodość w czarach!

A co dziś? ja człek grobowy!

Pany! wasz dom purpurowy niech śpi... i ja spaty budę.

Odchodzi.

Księżniczka.

Pierwszy raz duch tego ludu słyszałam jak o łyzy żebrze.
Dotąd na miesięcznym srebrze malował nic kolorowe.

Dajcie mi księżyc na głowę! dajcie mi tęczę pod nogi!
Za tym dumkarzem polecę! Ach, co widzę? Sawa! z drogi?
W jakiej on czerwonej rzece
Kapał się? figura krwawa!

Wchodzi Sawa w białym żupanie zbryzganym krwią, z pałaszem
w rękę.

Sawa.

Nie udała się wyprawa. Przebiegłem stepy, kurlhany,
Całe mgieł posępnych morze: a nigdzie o Wernyhorze
W Ukrainie ani słuchu. Co gorsza, że się tu lichu
Dyabelskiemu dałem skusić, i chcąc jeden ogień zdusić,
Cały oblałem się krwią; dlatego z posępną brwią
Stoję tu, mości panowie. Jadąc przez wioski ulice,
Spotkałem żywą gromnicę, z płomieniskami na głowie,
Ze smołą ogniem kapiącą
Na mnie... w oczy wprost idącą. Tak że pomimo harapa
Złękła, zdębiła się szkapa; a ja rozjuszony złością,
A może też i litością wpół pomieszana z przestraczem,
(Bo nie myślę czynu krasić) na koniu, szabli zamachem
Chciałem to światło jarzące, tę straszną marę zagasić
I w zamachu uciąłem jej ręce.

A to wszystko w smolnym dymie

Stało się, niby w ukryciu,

Przy żałosnych dzwonów biciu.

Tak, że gdym wyleciał z chmury,

To za mną... widmo olbrzymie,

Ręce podniósłszy do góry, biegło, zda się karku blisko

Leżące pogorzelisko, mszczące się samym honorem

Goniło za mną widziadło. I aż tutaj, pode dworem,

Na piasek złoty upadło, wylawszy dwa koralowe

Strumienie... co zda się pisać przeświète Y Jezusowe.

Regimentarz.

Dość... bo uszy moje słyszą

Krzyczącą krew. Niech kto bieży,

Do łba mu lufę przymierzy i skończy ciała męczarnie.

Wchodzi Pafnucy przewiązany pasem krwawym mnicha Franciszкана.

Cóż to? czy krwawą latarnię duchy postawiły w sieni?
I wpuszczają mi tłum cieni skrwawionych do mego domu?

Pafnucy.

W chwilę chłopskiego rozgromu,
Szablą Gruszczyńskiego zbrojny,
Szukałem zemsty... jak mściciel;
Aż mi szabli tej właściciel,
Po śmierci, widzę, spokojny,
Zemsty nad ludem zabronił.
Jakoż, zaraz mię nieznany strach ujął, siłem uronił,
Miecz się gwał jak ołowiany;
Chłopstwo mię porwało srogie;
I poznawszy po tonsurze za księdza, ciało ubogie
Ustroiło w krwawe róże, w świętego Franciszka pasy.
Bo dziś wiek, że polskie lasy
Dotąd kwiatkami panieńskie,
Od pszczołek, by lutnie brzmiące,
Widzą nagoście męczeńskie,
W czaszkach siekier półmieszące,
Ręce w płomiennych okowach,
Wszystkie męczeństwa oznaki,
Oprócz złotych słońc na głowach;
Bo te płomieniste ptaki później na czołach usiedą,
Gdy się nam duchy podniosą.
Takem się ja przed komendą
Sawy, krwi okryty rosą, meldował, cierpiąc katownie.
I miałem to już zasługą, że z ran uleczon cudownie
A pomny, że bożym jest sługą,
Widząc tu dwie wielkie główne
Zgaszone Sawy szablą, nad tą konającą świecą,
Której duch w płomienie śpieszył,
Tyle dokazałem słowy, że się ten duch purpurowy
Ugwał a jam go rozgrzeszył. Tak mi dopomogły duchy,
Że wydobyłem akt skrucy,
Jęk z pod smolnego płomienia
I rozkaz, dany oczyma, które szukając pierścienia,

Na rękę, co jeszcze się zżyma,
Krwia leje i w prochu się rusza,
Zwróciły moją uwagę.

Regimentarz, biorąc pierścień krwawnikowy z rąk Pafnucego,
obraca się do księżniczki.

Pierścień... to wielką ma wagę!
Bo to mię, panno, przymusza ponowić ci prośby moje.

Księżniczka.

A ja zaś przy dumkach stoję. Sawa z ust ognistych węża
Jak błędny rycerz szalony wyrwał ten pieścien dla żony;
A ja z ręki mego męża biorąc, będę go nosiła.

Regimentarz.

Sawa? Czyś głowę straciła?
Sawa słuszny kawaler, lecz nowy;
Nie wiem nawet, czy szlachcic herbowy?

Księżniczka.

Dla mnie: rycerz ukraiński, a dla was już: pan Caliński.
Na co dokumenta składam i te kościelne dowody.
A sama do nóg ci padam, prosząc przyzwolenia i zgody
Na ślub, który ci oszczędza, panie, kościelnych wydatków,
Bo dawno już był dany przez księdza.

Regimentarz.

Ty ślubna?

Księżniczka.

Lecz na kształt kwiatków
Jeszcze, panie, nie dotknięta...

Sawa.

Na co złoży dokumenta.

Regimentarz, do Sawy.

Pamiętaj, że z twoją szkodą bierzesz gadzinę nadobną.
Caliński był tu podobno kiedyś naszym wojewodą?

Sawa.

Tak, panie, dla tych szparłagów
Ojca mojego zabito i te dokumenta skryto.

Regimentarz.

Życzę wam długich zapalów!
Życzę szczęścia!... pij nektary
Z tej złoconej filiżanki, a z trwogą... Cóż to za mary?
Wchodzą dwie popadjanki, niosąc za końce prześcieradło białe.

Popadjanka.

My ze stepu popadjanki
Przyszły z srebrnym darem w rękę,
Szczob tebe o brata Semenku prosyły...

Regimentarz.

Na tom ja skałą. Semenka, wasz brat, nie żyje.

Popadjanki, odkrywając z prześcieradła śpiącą Salomeę.
Witże, daj ciało za ciało.

Regimentarz.

Co widzę?... białe lilie! moja szlachcianeczka trusia?
W srebrnem prześcieradle Salusia!
Patrzej, Lwie... dzieciątko miłe!
Ach! mogiła za mogiłę! oddać im zwłoki kozacze.

Leon.

Ojczy! puść... niech ją zobaczę.

Regimentarz.

Trzymajcie go! Panie Boże! On na to patrzeć nie może.

Popadjanki.

Bud' szczęśliw... że ty nam ciała
Nie odmówił... my szczęśliwe...
No, choć twa ręka wspaniała, to my wspanialej wyrosły,
Bo wam dały ciało żywe a od was trupa wyniosły.

Wychodzą.

Regimentarz.

Co mówicie? Synu! synu! patrzaj, kolorek rubinu
Wystąpił z ust bladziuteńki... Jeden paluszek u ręki
Ruszył się... słońce w nią wpływa...
Patrzajcie! ach! żywa, żywa!
Żywa w moich rękach... o! widzicie!

Podnosi ją w rękach.

Moje ukochane dziecię! w rękach moich żyć zaczyna
Bijąca sercem ptaszyna.

Salomea.

Co się ze mną biedną stało?
Czy ja w gorączce, czy chora?
Wczora usnęłam z wieczora i śniłam coś białe... białe...
Przez te dziewczyny spojona,
W krainie jakiejś bez brzegu,
Gdzie jedna tylko na śniegu
Plama... okropna... czerwona...
Ach! strach mówić, com ja śniła!

Regimentarz.

W naszym ty rękach była, ciągleśmy widzieli śpiącą,
Duszkę twoją latającą, ciągleśmy, panno, widzieli;
Teraz jaśniej nam, weselej, że jesteś z nami, dziewczyno!
A nim dwie pory przeminą, na świętego klnę Franciszka,
Z weselnego pociąganiem kieliszka.

Leon, klękając przed Salomeą.

Narcysie mój...

Regimentarz.

Już różowy! Już nie narcyz, ale róża.

Salomea.

Dla mego anioła stróża ten wianuszek zdejmę z głowy,
Bo mię skrzydłami osłonił,
Stał ciągle nad mojem łóżem i narcysem łoża bronił,
Kiedym ja tam spała — z nożem
Skrytym pod moją poduszką.

Regimentarz.

Nie myśl o tem, moja duszko...

Wszystko dobrze się skończyło.

A kto tam już nad mogiłą,

Dowiesz się... Jesteś sierotą...

Aleś moją gwiazdą złotą, jesteś moją córką drugą,

A syn mój będzie twym sługą, choćby na lat sto tysięcy;

Lecz jeśli zechcesz, czem więcej

Tobie mój chłopczyzna będzie. Ot, daj mu rękę, bo prosi,

Salomea rzuca się klęczącemu Leonowi na ramiona.

O, tak! jako dwa łabędzie, jeden na swym grzbiecie nosi

Drugiego głowę w upały; tak mi dziełek tych dwie pary

Szczesne za ręce pobrały, a ja w środku jak dziad stary.

Leon, klękając z Salomeą.

Błogosław mi, ojczy, z żoną.

Regimentarz.

Chodźcie tu na moje łono. A za te przestrichy senne,

Dziadki, odprawcie nowennę za dusze w czyśćcu będące;

A potem niechaj wam płyną słodko miodowe miesiące

I raj utracony winą odkwitnie; a ja odnowię

Przez obchody bardzo świetne

Te dwa małżeństwa sekretne,

Które wczoraj bym surowie karmił, a dzisiaj pochwalam.

Sawa, do księżniczki.

Więc nie jeszcze?

Księżniczka.

Nie pozwalam, aż tę nowennę odprawię.

Sawa.

Gołąbku z tęczowym pasem!

To ja pójdę ku Warszawie i porwę króla tymczasem.

Regimentarz.

A wy się już tam kłócicie?

Sawa czegoś jak dziad żebrzel

Księżniczka.

Chce mu się miesiąca w cebrze,
Chce się gwiazdy na błękicie.

Regimentarz, do Sawy.

Nie znasz jej — a nie proś ładnie,
To sama ci na nos spadnie. Sawo, chodźmy do kielicha,
Spłukać z ust proch i krwawiznę.
A weźmy i tego mnicha, który się bił za ojczyznę;
Obaczym, czy dobrze pije...
Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie tej Salomei na niebie,
Której święto nam przypada w przedostatnim listopada.



SPIS RZECZY.

Str.

UTWORY MISTYCZNE.

Lilla Weneda	7
Księżę Niezłomny	123
Ksiądz Marek :	209
Sen srebrny Salomei	279

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

6386/III-IV



001-006387-00-0